



WACŁAW NIEZABITOWSKI

GOLFSZTROM

POWIEŚĆ

WARSZAWA — 1935


TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

WARSZAWA

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

Odbito w druk. „GRAFIA”. Warszawa. Ud. 1187-52

CZEŚĆ PIERWSZA.

Rozdział I.

Naczelny lekarz miejskiego szpitala w Harrisburgu zmęczonym wzrokiem powitał ostatnią parę interesantów przekraczających właśnie próg jego gabinetu.

Zapewne o widzenie? Na chorego ani jedno ani drugie nie wygląda — pomyślał, powstając w lekkim ukłonie.

Nie mylił się.

Młody człowiek, Stefan Podhorski, student uniwersytetu w Cincinnati i jego towarzyszka, koleżanka z uniwersyteckiej ławy, miss Jany Twyford przybyli do Harrisburga w celu dowiedzenia się o stanie zdrowia Harry'ego Burlingтона, lotnika, który pięć dni temu, pilotując aparat znanego powszechnie w New Yorku potentata bankowego, Abrahama Lewisa, podczas gęstej, przedwieczornej mgły rozbił samolot na mokradłach, rozciągających się tuż za Harrisburgiem w kierunku północnym.

Lewis zginął na miejscu, zaś pilot nieznanego nazwiska, jak donosiły dzienniki, po całonocnym przeleżeniu w gnijącej wodzie bagna, w które powoli zanurzał się roztrzaskany samolot, spostrzeżony został rankiem przez wałęsających się tam chłopców i przewieziony do szpitala w beznadziejnym stanie, z połamanymi rękami i nogami oraz zgniecioną piersią.

Rzecz prosta, że Podhorski przybył do Harrisburga nie tylko celem poinformowania się o zdrowie serdecznego przyjaciela. Równie dobrze mógł skutecznie to w drodze telegraficznej, a nawet i przez telefon. Ale w głowie jego świeża nadzieja, że pozwoli mu, chociażby przez krótki moment, spojrzeć w drogą twarz Harry'ego.

Wypowiedziawszy, przeto stosowną prośbę, patrzył z niepokojem na szare, apatyczne nieco oblicze lekarza.

Ten przestał gonić roztargnionem spojrzeniem za lekkimi chmurkami, pełzającymi leniwie po ozłoconym przez zachodzące słońce niebie i, zwracając wzrok ku Podhorskiemu, rzuciła

— Przyjaciel chorego? Hm... a może i pilot również?

Podhorski skinął skwapliwie głową na znak potwierdzenia.

— Pilot....! — powtórzył lekarz. — A towarzyszka pana? Może krewna rannego?

Pomiędzy zadaniem pytaniem, a odpowiedzią młodego człowieka nastąpiła krótka, lecz zupełnie wyraźnie dostrzegalna zwłoka.

Przerwał ją dźwięczny głos kobiety.

— Czemu nie odpowiadasz, Stef? Czyżbyś się wstydził swej narzeczonej?

Pociągłe, smagłe oblicze młodzieńca rozjaśniło się szczerym uśmiechem.

— Tak... miss Twyford jest moją narzeczoną. Harry, jako mój przyjaciel, zna ją dobrze i widok jej sprawi mu prawdziwą radość — rzekł pewnym głosem.

Krzaczaste brwi lekarza podniosły się ze zdziwienia w górę.

— Miss Twyford? Czy córka prezesa trustu węglowego i członka Kongresu? — pytał zaciekawionym tonem.

Policzki miss Twyford zakwitły lekkimi rumieńcami zmieszania. Rychło jednak zapanowała nad sobą.

— Niestety... nie! — zaśmiała się wesoło. — Ojciec mój jest lekarzem w Prescott-Pa...

— Uhm! To, zdaje się, na Dzikim Zachodzie? — mruknął lekarz.

— Tak... w stanie Arizona.

Lekarz zamyslił się, utkwivszy z powrotem wzrok w błędzących po niebie chmurkach.

Wreszcie ocknął się z zadumy.

-- Hm... cóż... odwiedzi go możecie - mówił, bębniąc palcami w sukno biurka. — Ale muszę was uprzedzić, że... niema już dla niego ratunku... żadnego....,

— Wielki Boże! — zakrzyknął Podhorski,

Lekarz wzruszył ramionami:

— Niema — ciągnął dalej. — Co pan chcesz. Prawa noga kompletnie zgruchotaną... lewa w dwóch miejscach złamana... Znaczne obrażenia wewnętrzne... to są poważne, bardzo poważne rzeczy! A do tego komplikacje. Biedak leżał całą noc zanurzony do połowy ciała w bagnie..... w rezultacie czego przyplątała się złośliwa tyfoidalna gorączka! Ona właśnie powoduje ropienie ran, które zupełnie nie chcą się goić. W rezultacie przyjdzie zakażenie... koniec. Powinno to nastąpić mniej więcej za cztery... pięć dni. Ale tymczasem jest zupełnie przytomny i może mówić.

Podhorski zwiesił smutnie głowę.

Lekarz nacisnął jeden z kilkudziesięciu guzików dzwonek elektrycznych.

W drzwiach stanął młody sanitariusz.

— Jak numer sto szesnasty? — rzucił lekarz.

— Prawie bez zmiany.... zupełnie przytomny, chociaż gorączka wzmaga się stale — odparł sanitariusz.

— Ci państwo mogą go odwiedzać, ile razy tylko zechcą! — rozkazywał lekarz, powstając z fotelu. — I teraz zaprowadzisz

ich do chorego... Mogą pozostać u niego aż do przepisowej wieczornej godziny! — dorzucił, wyciągając dłoń ku Podhorskiemu.

Ten, poruszony do głębi informacjami o stanie zdrowia przyjaciela, zaledwie zdołał wyjąkać parę słów podziękowania.

Miss Twyford również była przejęta niemniej od towarzysza. Zresztą pragnęła jak najprędzej pożegnać lekarza, gdyż obawiała się, aby ten nie począł rozpytywać o jej ojca, „owego lekarza z Prescott-Pa“.

To też odetchnęła swobodnie, znalazłszy się wreszcie na korytarzu szpitala.

Opowiadanie o ojcu, lekarzu, było najzwyczajszą bajeczką, ukutą na poczekaniu celem zachowania incognita. W rzeczywistości ojcem miss Jane był znany szeroko w kołach finansowych i politycznych James Twyford, prezes trustu węglowego i członek Kongresu. Majątek Twyforda obliczano na miljarde. Na arenie politycznej odgrywał również bardzo poważną rolę. Powszechnie twierdzono, że odrzucał już kilkakrotnie zaofiarowane sobie stanowiska sekretarza stanu do spraw zagranicznych i finansów.

Jane była jedynaczką. Matka jej zginęła w katastrofie kolejowej w Anglii, gdy cna miała zaledwie trzy lata.

Twyford ubóstwiał córkę, będącą żywym portretem tragicznie zmarłej żony.

Jane po wyjściu z opiekuńczych objęć niezliczonych bon i guwernantek wstąpiła na uniwersytet w Cincinnati. Tam poznała Podhorskiego, syna emigranta politycznego z byłego naboru rosyjskiego.

Stary Podhorski tak się zaaklimatyzował na ziemi amerykańskiej, że nie opuścił jej nawet na wieść o niepodległości porzuconej ojczyzny. Cieszył się jak dziecko, czytając w dziennikach o zjednoczeniu rozdartych ongiś ziem polskich, drżał w 1920 r. na wieść o zbliżaniu się hord bolszewickich ku Warszawie, szalał z

radości, kiedy echo „cudu nad Wisłą" rozbrzmiało na cały świat, budząc wszędzie podziw.

Ale do kraju nie wrócił.

Zmarł w roku, w którym Polska obchodziła dziesięciolecie swej niepodległości.

Stefan miał wówczas lat osiemnaście. Pozostawszy sam, gdyż matka zmarła przed dwunastu laty, nie wiedział zrazu, co począć. Pierwszą jego myślą było jechać do Polski, lecz po rozwadze zdecydował się wstąpić na uniwersytet w Ameryce, aby przybyć do ojczyzestego kraju, jako człowiek dojrzały.

Kapitalik, jaki pozostał po ojcu, w zupełności wystarczał na pobyt w Ameryce.

W Cincinnati, wśród tysiąca kolegów i koleżanek czas upływał wesoło i szybko.

W gronie towarzyszy znalazł i przyjaźń, i miłość.

Przyjaźnią darzył go Burlington, z którym razem, niezależnie od nauk uniwersyteckich, ukończył szkołę cywilnych pilotów — miłością zaś — jasnowłosa Jane Twyford.

Pomimo starannego ukrywania tajemnicy wieść o ich miłości dotarła do uszu Twyforda, wzbudzając w nim szalony gniew.

Ojciec Jane nie miał arystokratycznych, jak też burżuazyjnych przesądów. Mało go obchodził fakt olbrzymiej różnicy majątkowej pomiędzy jego Jane, a biednym studentem. Twyford należał do tego rodzaju ludzi, którzy wierzą jedynie w potęgę własnego mózgu i siłę swych rąk. Olbrzymi majątek, zaszczyty, sława jakie obecnie szły krok w krok za nim, nie zagłuszyły zdrowego rozsądku prawdziwego Amerykanina, który wie, że powodzenie człowieka w życiu zależy od niego samego.

Oddałby swą jasnowłosą Jane najbiedniejszemu nawet, aby tylko człowiek ten był uczciwy.

Z wyjątkiem cudzoziemca!

Twyford, wywodzący swój ród z grona owych pierwszych rodzin, przybyłych z Europy na ląd Ameryki Południowej, w głębi duszy gardził cudzoziemcami, opuszczającymi swe ojczyste kraje, aby powiększyć i tak już kolosalnie wielką ludność Nowego Świata.

On był inicjatorem i niestrudzonym propagatorem idei bezwzględnej amerykanizacji dzieci emigrantów w ochronkach i szkołach.

W kongresie stał na czele licznej grupy przeciwników udziału Ameryki w gospodarczej odbudowie Europy. Jego sprzeciw udaremniły kilkakrotnie dojskie do skutku transakcyj mających na celu zasilenie w złoto wycieńczonych przez okres Wielkiej Wojny krajów europejskich.

On pierwszy rzucił myśl, porozumienia pomiędzy Ameryką a Japonją, kosztem Anglii i Francji. Azjatyckie koleje tych państw miały stać się owym smakowitym kąskiem, który powinien zaspokoić głód wojowniczych wyspiarzy i raz na zawsze usunąć niebezpieczny antagonizm amerykańsko - japoński.

Odkoczną wszystkich jego kombinacyj politycznych i ekonomicznych była teza: „osłabić Europę“.

Powtarzał wciąż, że ludy Europy, doszedłszy do szczytu kultury, od pewnego czasu zatrzymały się w swym rozwoju, stając się prawdziwą kulą u nogi ludów młodych, nie skażonych jeszcze wyrafinowaniem i przesytem fałszywej cywilizacji.

O przodujących w Europie nacjach wspominał zawsze z pogardą i nienawiścią.

Nic dziwnego też, że otrzymawszy anonim, donoszący o uczuciu Jane do cudzoziemca, natychmiast przedsięwziął środki zaradcze. Jednym z nich, bez wątpienia najbardziej skutecznym, było przewiezienie córki z Cincinnati do uniwersytetu w Waszyngtonie. Jane, jakkolwiek, jak każda zresztą Amerykanka,

mająca dość sporą dozę stanowczości i uporu, musiała zadość uczynić woli ojca. Groźna, nigdy dotąd niewidziana, zmarszczka na czole rodzica wyjawiała jej aż nadto wyraźnie rzeczywisty powód nakazu pożegnania się z Cincinnati.

To też obecnie, idąc obok ukochanego przez długie korytarze szpitalne, wspomniawszy na ową groźną zmarszczkę, z niepokojem rozmyślała nad tem, że dzisiaj w południe miała już być w Waszyngtonie.

Pomimo dość czupurnego usposobienia, odczuwała jednak pewien lęk przed rozmową z ojcem.

Właśnie chciała podzielić się swemi obawami z Podhorskim i wynaleźć z nim wspólnie jakieś możliwe wytłumaczenie opóźnionego przybycia do Waszyngtonu, gdy sanitariusz zatrzymał się przed jednymi ze szklanych drzwi, ciągnących się rzędami po obu stronach korytarza.

— Tutaj! — rzekł i, skłoniwszy się, odszedł.

Podhorski pchnął lekko drzwi; otworzyły się bez szmeru.

W głębi sporego, jasnego pokoju na białym szpitalnym łóżku leżał Harry. Lecz jakżeż zmieniony! Rumina, zazwyczaj uśmiechnięta jego twarz pokryta była teraz nienaturalnymi, ceglastego niemal koloru, wypiekami. Oczy wpadnięte w głąb i otoczone ciemnymi kręgami sińców świeciły fosforycznie.

Rozwarte szeroko usta o splekanych i poczerniałych wargach szybko, raz po raz chwytaly powietrze w utrudzone, zbolale piersi.

Od jednego wszakże rzutu oka poznał w przybyłym przyjaciele.

Bolesny wyraz twarzy ustąpił miejsca radosnemu uśmiechowi.

Podhorski pochylił się nad leżącym.

— Harry! Biedaku mój drogi! — szepnął, ujmując delikatnie jego dłoń.

Żrenice Burlingtona zamigotały blaskami radości i wzruszenia.

— Nie zapomniałeś o mnie... spodziewałem się ciebie — przemówił ożywionym głosem. Przeobraził się tak, iż wierzyć się nie chciało, iż tego człowieka czeka nieodwołalny koniec.

Podhorski obruszył się lekko.

— Ja... zapomnieć! Nigdy! I nie tylko ja! Jane jest tutaj również!

Burlington dopiero teraz dostrzegł postać dziewczyny, trzymającej się nieco na uboczu.

Podbiegła ku niemu szybko.

Usiadła na krawędzi łóżka i poczęła pieszczotliwie głaskać jego wychudłą rękę swymi małąnkami dłońmi.

— Dobra jesteś, Jane! Nic dziwnego, że cię kochają — szepnął ranny.

— Jane od miesiąca jest moją narzeczoną — pośpieszył poinformować przyjaciela Podhorski.

Na usta lotnika wybiegł uśmiech zadowolenia. Ujął obie rączki dziewczyny w swą potężną, lecz osłabłą dłoń i potrząsnął nimi lekko kilkakrotnie.

— Wiedziałem, że tem się zakończy wasz flirt. Daj wam Boże, jak najlepiej! On wart ciebie, a ty jego. Niestety... nie będę wam drużbował.

Przymknął oczy, jak gdyby zmęczony rozmową.

Nastąpiła chwila przejmującej ciszy, którą przerwał nieco drżący, ale pełen przekonania głos Podhorskiego.

— Przesada! Wykaraskasz się z tego i będziesz zdrow. Lekarz mówił nam, że niebezpieczeństwa rzeczywistego niema i że w niedługim czasie.....

— Stef... przestań blagować — zaśmiał się gorzko Burlington, zwracając ku niemu z trudem głowę. — Lekarz nie mógł

ci tego mówić, chyba, że jest skończonym idiotą i nic a nic się nie zna na swym fachu zaprzysiężonego ekspedjenta ludzi na tamten świat. Ale w to wątpię, gdyż wygląda dość solidnie.

I rzuciwszy jeszcze parę dowcipów na ten temat, kategorycznie zapowiedział tak Stefanowi jak i Jane, aby nie próbowali wzbudzać w nim nadziei, która jak on sam wie doskonale, może być tylko fałszywa.

Poczem, jakkolwiek nie pozwalali mu dużo mówić, opisał ze szczegółami przebieg lotu z New Yorku do Harrisburga. Według jego słów dzienniki, podające opisy katastrofy, miały się z prawdą.

Jeszcze w New Yorku horyzont zasnuła lekka mgła. Burlington nadaremnie starał się wytłumaczyć Lewisowi niebezpieczeństwo lotu w takich warunkach, zwłaszcza, że ni on, ni też Lewis nie znali kompletnie lotniska w Harrisburgu.

Lecz bankier nie dał się odwieść od swego zamiaru. Spieszył na doroczne posiedzenie jakiegoś towarzystwa handlowego, którego był współwłaścicielem.

— Wystartowałem wściekły! — ciągnął dalej Burlington. — Naturalnie, jak przewidywałem, mgła gęstniała coraz bardziej i niebawem poczęliśmy błędzić, nadaremnie upatrując jakiegoś światła, któreby mogło nas choć cokolwiek zorjentować. Wreszcie zdecydowałem się krążyć w górze do rana. W pewnej chwili uczułem silny wstrząs. Prawe skrzydło zawadziło o drut jakiejś radjostacji... dostrzegłem we mgle w oddali zarysy żelaznej konstrukcji, aparat skręcił raptownie w prawo... nie mogłem go już wyprostować... lecieliśmy tak ukośnie jeszcze paręset metrów i uderzyliśmy o ziemię! Całe szczęście, że w ostatniej sekundzie, widząc ziemię o kilkanaście metrów przed sobą, wyłączyłem motor... inaczej splonęlibyśmy jak zapalka! Przy upadku

poczułem potworny wprost ból w piersiach... zabrakło mi tchu... straciłem przytomność! Zbudziłem się tutaj: to wszystko.

Podhorski westchnął ciężko.

— Że też ty, Harry, taki doświadczony lotnik, zgodziłeś się na lot podczas mgły — rzekł po chwili milczenia. W głosie jego brzmiała nuta żalu i zdziwienia zarazem.

— Właśnie — podchwycił chory z ożywieniem. — Prawda? Rzeczywiście strzeliłem bakał Ale cóż! To miał być ostatni mój lot z tym przebrzydłym Lewisem. Nazajutrz rankiem zamierzałem udać się do was i zabawić z wami dwa tygodnie. Miał to być wypoczynek. Ra... wyobrażam sobie, jakbyśmy szaleli... co? A następnie... następnie.... miałem objąć posadę prywatnego pilota... Wiecie, u kogo?

Zatrzymał się i roześmianym spojrzeniem obwiodł zaciękawe twarze przyjaciół.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Nie... nie domyślcie się nigdy — rzucił Burlington.

Wyczekał jeszcze moment, najwyraźniej bawiąc się ich zakłopotaniem.

— U twego ojca, Jane! — oznajmił wreszcie triumfującym tonem.

Dwa zgodne okrzyki zdziwienia wydarły się z ust Stefana i jego narzeczonej.

Wiadomość ta była tak niezwykła, że na prośbę Jane musiał zaznaczyć ich dokładnie ze sprawą swej nowej posady.

Okazało się, że jeden z jego kolegów wycofujący się z lotnictwa ze względu na sprzeciw żony, proszony był przez znajomego kierownika biura ogłoszeniowego w New Yorku o zaprotegowanie wytrawnego pilota. Kolega ów wymienił nazwisko Harry'ego i skomunikował się z nim.

Było to w południe, tego samego dnia, w którym samolot Lewisa uległ katastrofie.

— Oczekiwałem lada chwila przybycia Lewusa na lotnisko, więc nie mogłem udać się osobiście do owego biura — odpowiedział po chwili odpoczynku Harry. — Załatwiłem jednak wszystko telefonicznie, dowiedziawszy się zarazem, że moja nowa posada da mi zapewne częstą sposobność do zamienienia paru słów z Jane. Zobowiązałem się przed owym biurem słowem gentlemana. Ha... cóż... śmierć rozwiązuje wszelkie zobowiązania.

— Nie mów tak, Harry! Należy wierzyć w miłosierdzie boskie — prosiła dziewczyna.

Harry przymknął oczy. Na jego obliczu odmalował się nagle wyraz najwyższego cierpienia.

— Nade mną nie może być miłosierdzia — wyszeptał. — Mam na sumieniu ciężki, bardzo ciężki grzech.

Tyle beznadziejnej rozpacz i bólu kryło się w tych słowach, że tak Jane, jak i Podhorski wzdrygnęli się ze zgrozą.

Lecz natychmiast obojgu przyszło równocześnie na myśl, że przez usta chorego przemawia gorączka.

Podhorski położył mu dłoń na czole.

Harry zachnął się.

— Tak... tak, mam gorączkę i zapewne dość wysoką, lecz nie wpływa to na sens mych słów! Nie mówię w malignie! — ciągnął, denerwując się coraz bardziej. — Popełniłem wielki grzech i to, co mnie spotkało, jest bez wątpienia karą Nieba!

Poprawił się na poduszkach i począł opowiadać.

Nieprawda... nie był sam. Gdzieś... na olbrzymich połaciach Stanów Zjednoczonych, a może nawet poza ich granicami tuła się jego brat młodszy, Bill.

Rodzice ich byli biedni. Ojciec pracował jako górnik w jednej z kopalń węgla w okolicy miasta Helena, w Stanie Montana.

Zginął w katastrofie kopalnianej. Matka na wiadomość o tem zmarła w ataku aneuryzmu. Zarząd kopalni nie przejmował się zbyt losem sierot. Wezwano Harry'ego jako starszego do biura, wypłacono mu pięćdziesiąt dolarów zapomogi i polecono wynieść się z mieszkania w ciągu jednego dnia. Zostali z bratem na bruku.

Znajomy maszynista kolejki kopalnianej, odstawiającej węgiel do Helena, przewiózł ich do tego miasta.

Przenocowali w hoteliku i rankiem Harry wraz z bratem wyszedł na miasto w poszukiwaniu pracy. Dobrze już pod wieczór znalazła się praca dla Billa.

Otyły Parkins, właściciel największej piekarni w Helena, przyjął chłopca do rozwożenia pieczywa po mieście. Bill dostał pięć dolarów na miesiąc, utrzymanie i mieszkanie w baraku robotników piekarni.

Niestety Harry'emu los nie uśmiechnął się tak jak bratu. Nie znalazł pracy w Helena. Tutaj potrzebowano tylko dorosłych, obdarzonych siłą mężczyzn. Na szesnastoletniego chłopca nikt nie chciał spojrzeć.

Z przerażeniem wreszcie skonstatował, że z pięćdziesięciu dolarów pozostała zaledwie połowa.

Poradzono mu, aby udał się na Wschód, do wielkich miast przemysłowych, gdzie łatwiej o pracę.

Obiecał Billowi, że w ciągu dwóch, trzech tygodni napisze do niego i pojechał.

Trafił do Detroit.

Olbrzymie miasto i ruch oszołomiły go tak, że dopiero po paru dniach pobytu w niem, gdy znalazł się na bruku z kilkudziesięciu zaledwie centami w kieszeni, począł gorączkowo biegać po niezliczonych fabrykach, warsztatach i przedsiębiorstwach przemysłowych.

Po dwóch wreszcie dniach znalazł zajęcie przynoszące mu dolara dziennie, śniadanie, obiad i kolację.

Zmywał naczynia w garkuchni w dzielnicy robotniczej. Zajęty był nieprzerwanie od szóstej z rana do jedenastej wieczorem.

Wracał do domu noclegowego tak znużony, że walił się na tapczan bez ducha, zasypiając niemal przed przyłożeniem jeszcze głowy do poduszki.

— O Billu nie zapominałem, lecz napisanie doń listu odkładałem z dnia na dzień — ciągnął dalej Harry, odpocząwszy nieco. — Byłem spokojny o niego. Jakkolwiek był młodszy ode mnie o trzy lata, cechowała go rozwaga i spryt. Upłynęło tak pięć miesięcy. Wreszcie zdobyłem się na napisanie listu do Billa. Posłałem mu trochę pieniędzy i poleciłem przybyć do Detroit.

Po dwóch tygodniach list wrócił nienaruszony z dopiskiem poczty, że adresat przed trzema miesiącami opuścił Helena. Przerażony tą wieścią tegoż samego dnia udałem się do Helena. Miałem prawie sto dolarów oszczędności. W Helena dowiedziałem się strasznej prawdy. Parkins, ów chlebobawca Billa, bił chłopca za lada przewinienie. Bicie to nierzadko przybierało formę katowania. Pracownicy Parkinsa opowiadali mi, że częstokroć Bill tracił przytomność pod razami swego oprawcy. Wreszcie, nie mogąc przetrzymać ciągłych tortur, uciekł. O katowaniu chłopca zameldowałem szeryfowi, a sam udałem się w okolicę na poszukiwania.

Umilkł, oddychając ciężko. Widoczne było, że dłuższe mówienie nuży go dotkliwie. Zauważywszy to Podhorski pochylił się nad nim.

— Przestań, Harry! — rzekł proszącym tonem. — Jutro dokończysz nam swego opowiadania.

Chory poruszył gwałtownie głową.

— Nie... nie! Jutro mogę być już nieprzytomny, albo i nie żyć! Dzisiaj, teraz... muszę wypowiedzieć wam wszystko! Bo widzicie... — mówił patrząc na nich błagalnie — chcę was prosić, abyście gdy umrę, szukali nadal Billa! Od czasu mego powrotu z Helena wciąż go szukałem bezskutecznie! Zamieszczałem wezwania w dziennikach... zwracałem się do biur policji we wszystkich niemal większych miastach... przez radjo... przez prywatne instytucje wywiadowcze... nic i nic! Jak kamień w wodę!

— Oboje przyrzekamy ci, Harry, nie szczędzić trudu przy poszukiwaniach twego brata — uspakajała go wzruszona Jane.

— Dziękuję wam! Umrę spokojny! — wyszeptał przymykając oczy.

Jane rzuciła wzrokiem na zegarek. Do siódmej brakowało kilkunastu minut.

Poruszyła się niespokojnie... co powie ojciec? Czem tłumaczyć spóźnienie? Nawet, gdyby teraz wyjechała z Harrisburga, to i tak będzie w domu dopiero bardzo późno. Co robić?

Poczęła szeptać naradzać się z Podhorskim. Ten poddał projekt powrotu do Cincinnati i wyjazdu jutro do Waszyngtonu.

Plan był dobry, lecz miał jedno „ale“, które podniósł sam projektodawca.

Oto Twyford, zaniepokojony nieprzybyciem jedynaczki, może w drodze telegraficznej, lub telefonicznej zażądać wyjaśnień w pensjonacie uniwersyteckim. Stamtąd otrzyma odpowiedź, że Jane opuściła Cincinnati jeszcze rankiem,

Jane zafrasowała się nie na żarty.

— Ostatni pociąg, którym mogłabym dzisiaj przybyć z Cincinnati, przychodzi do Waszyngtonu o dziesiątej. Należy się spodziewać, że ojciec wyczekiwać będzie tego właśnie pociągu — rzekła po chwili.

Harry poruszył się i zwrócił głowę ku rozmawiającym.

— Słyszałem waszą rozmowę... trzeba koniecznie, aby Jane była w domu przed dziesiątą!

— Chyba aeroplanem — rzucił Podhorski.

— Właśnie — potwierdził Harry. — Aeroplanem! Pędźcie natychmiast na lotnisko... Tam na pewno znajdziecie jakiś aparat! Stąd do Waszyngtonu jest nie więcej, jak dwieście kilometrów... wszystkiego godzina z minutami drogi!

— Ba! A jeżeli żaden pilot nie zechce lecieć ze względu na późną godzinę? — reflektował go Podhorski.

— To wynajmiesz samolot i poprowadzisz go sam! Pieniądze przecież chyba macie?

Podhorski uczynił lekceważący nich ręką na znak, że to jest kwestja mniejszej wagi. Pomimo to jednak na jego twarzy odmawiało się zakłopotanie.

— No... więc cóż jeszcze? — dopytywał się Harry nie spuszczać zeń oczu.

— Właśnie z wynajęciem sprawa przedstawia się gorzej! — trąc czuprynę mówił Podhorski. — Dokumenty lotnicze pozostawiłem w Cincinnati... bez nich niema mowy o wynajęciu.

— Bierz moje! — zakrzyknął Harry. — Przecież to wszystko jedno. — Chciał sięgnąć ręką pod poduszkę, ale Jane nie pozwoliła mu się ruszyć i wyjęła sama portfel, który zasunął się głęboko za wezglowie.

Za chwilę Burlington trzymał w ręku dyplom lotniczy.

— Gotowe! Jane, zbieraj się! — mówił wesołym tonem. — Ot, ciekawy wypadek! Burlington umiera w szpitalu i tenże Burlington prowadzi równocześnie aparat! Co... prawda?

Urwał nagle i zagryzłszy wargi zamyślił się głęboko.

Patrzyli na niego zadziwieni i niespokojni.

Zamyślenie Harry'ego trwało dość długo. Wreszcie skinieniem głowy przywołał ich oboje do siebie.

Twarz jego miała wyraz niezwykle poważny. Mówił ściszo-
nym głosem, jak gdyby obawiał się, że ktoś niepowołany mógłby
usłyszeć jego słowa.

— Czy twój ojciec, Jane, zna Stefa? — zapytał, ujmując
dłoń dziewczyny.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Nie... skądże?

— Bo wspomnieliście, że Twyford wie o waszej miłości?
— niecierpliwiąc się, pytał dalej chory.

— Jane domyśla się tego, jak się zdaje, trafnie. Inaczej
trudno sobie wytłumaczyć przyczynę tak nagłego zabrania jej do
Waszyngtonu. Lecz, żeby ojciec Jane miał mnie widzieć, to niema
nawet o tem mowy! — wyjaśnił Podhorski.

— Wspaniale! — zachwycił się Harry. — Więc projekt
mój ma wszelkie szanse udania się.

Odetchnął kilkakrotnie głęboko, krzywiąc się przytem z bólu.

— Chwila rozstania będzie zapewne przykrą dla was? Co...
nieprawdaż? — zapytał, uśmiechając się do nich.

Jane skinęła głową. Na jej rzesach zaperliły się nagle duże
łzy żalu.

— Tak — potwierdził jego domysł Podhorski. — Jane pro-
ponowała, abym i ja przeniósł się do Waszyngtonu, lecz osobiście
uważam ten projekt za niefortunny. Zapewne Jane będzie śledzo-
na i moja tam obecność wydałaby się natychmiast.

— Naturalnie... to więcej niż pewne! Ja mam inny projekt,
który pozwoli wam na widywanie się, może nie częste, nie co-
dzienne, ale...

— Mów, Harry! — przerwała mu drżąca z niecierpliwości i
zaciekawienia Jane.

Podhorski ściągnął ciemne brwi.

— Zaczynam, zdaje się domyślać się... ale... — mówił powoli, nie spuszczać zeń swych przenikliwych oczu.

Harry syknął niecierpliwie:

— Ty, Stef, zawsze musisz we wszystkim znaleźć jakieś „ale“. A to jest sprawa całkiem prosta. Kładziesz w kieszeń mój dyplom, chowając swój na dno walizki i za dwa tygodnie obejmujesz pod nazwiskiem Burlingтона posadę pilota u mister Twyforda! No... cóż!

Jane zerwała się z krawędzi łóżka, klaszcząc w dłonie z wielkiego zadowolenia.

— Cudownie, wspaniale! — entuzjazmowała się. — O... Harry, jaki ty jesteś mądry!

— Ale... — rozpoczął po namyśle Podhorski.

— Znowu „ale“! To uparciuch niepoprawny. Będziesz z nim miała kłopot w przyszłości, Jane! Zresztą... ja poddałem projekt, a zmuszenie cię, abyś go przyjął, nie należy już do mnie. To sprawa Jane i mam nadzieję, że jej pójdzie z tobą dość łatwo. No, a teraz do Waszyngtonu... do Waszyngtonu! Wyoście się.

W pół godziny później z lotniska, znajdującego się tuż obok szpitala poderwał się w górę dwuosobowy samolot, unosząc w swem wnętrzu rozkochaną młodą parę.

Burlington nie mylił się.

W ciągu godziny i dziesięciu minut osiągnął Podhorski lotnisko w Waszyngtonie. Jane zdążyła jeszcze przejechać samochodem z lotniska na dworzec i zjawić się na peronie w chwili przybycia pociągu.

Sytuacja była uratowana. Ojciec Jane wspomniał co prawda o opóźnieniu, lecz jedynaczka zdołała mu wytłumaczyć, że powodem tego była konieczność pożegnania koleżanek.

Rankiem Podhorski powrócił do Harrisburga.

Gdy po załatwieniu zwykłych formalności na lotnisku zjawił się w szpitalu, powiedziano mu, że Harry zmarł nad ranem na aneuryzm serca wskutek gwałtownego podniesienia się gorączki.

Następnego dnia przy dżdżystej pogodzie z bramy szpitalnej wyruszył w stronę cmentarza skromny karawan, a za nim, ze zwieszoną smutnie na piersi głową kroczył Podhorski.

ROZDZIAŁ II.

Twyford jak zwykle powitał Wartingtona z radością. Z pośród niewielu ludzi, jakich darzył przyjaźnią lub zaufaniem, nigdy zresztą całkowitem, największe przywiązanie czuł do swego starego profesora.

Stale pozostawali z sobą w ścisłym kontakcie, chociaż Wartington porzuciwszy już od dawna zawód profesora, mieszkał dość daleko od Waszyngtonu, bo aż w Tampa na Florydzie.

Lecz regularnie co trzy... cztery miesiące zjawiał się w Waszyngtonie, aby przepędzić parę dni na długich gawędach z najzdolniejszym niegdyś i najulubieńszym ze swoich uczniów.

Twyford odwiedzał zazwyczaj Wartingtona podczas feryj odpoczynkowych Kongresu. Przyjeżdżał z Jane i po paru dniach gościny w Tampa zabierał profesora do Miami, lub innej modnej miejscowości kąpielowej.

Tam Jane szalała na plaży wraz z tysiącami swych rówieśniczek, przyjaciele zaś spędzali czas na dysputach.

Wartingtona uważano powszechnie za dziwaka.

Jeszcze za swych profesorskich czasów był przedmiotem złośliwych dowcipów młodzieży, którą nadzwyczajnie śmieszyły mniej lub więcej oryginalne przyzwyczajenia i postęпки uczonego.

Opowiadano sobie na ucho, że w młodości przeszedł bolesny zawód miłosny. Narzeczona jego, nauczycielka z sąsiedniego kolegium, zerwała z nim na kilkanaście zaledwie dni przed terminem ślubu, wychodząc za mąż za biednego jak mysz kościelna, emigranta Norwega.

Odtąd Wartington znienawidził cudzoziemców, a zwłaszcza Europejczyków.

Każdy z uczniów o cudzoziemskim brzmieniu nazwiska, którego los postawił na egzaminie przed Wartingtonem, przepadał bezapelacyjnie.

Nienawiść jego do obcokrajowców była tak potężna, że doprowadziła kilkakrotnie do straszliwych awantur, które dopiero łagodzić musiał senat uniwersytecki.

Twierdzono powszechnie, że te właśnie powody wpłynęły na opuszczenie katedry profesorskiej przez tak słynnego hydrotechnika, jakim był Wartington.

Nie ulega wątpliwości, że niechęć profesora do cudzoziemców i jego ciągle na ten temat nauki zapadły głęboko w duszę tak wrażliwego i rozwiniętego młodzieńca, jakim był Twyford za swych uniwersyteckich czasów.

Wspomnienia o teorjach Wartingtona przybrały realne kształty nienawiści w wieku dojrzałym, gdy nadewszystko umiłowana jego Agnes straciła życie w katastrofie kolejowej ekspresu na linii Londyn — Southampton, w chwili, gdy członkowie wycieczki dążyli z mglistego Londynu do roześmianego słońcem i radością życia Paryża.

Twyford, któremu prace Kongresu nie pozwoliły towarzyszyć małżonce, na wiadomość o wypadku zachorował tak ciężko, że najwybitniejsi lekarze Waszyngtonu i New Yorku zwątpili zupełnie o jego życiu.

Całym szczęściem dla chorego było to, że przeleżał nieprzytomnie więcej niż miesiąc.

Oszczędziło mu to bolesnego widoku zwłok żony, sprowadzonych do Ameryki. Pogrzeb odbył się również bez jego udziału. Okres powrotu do zdrowia był zarazem okresem zewnętrznego i wewnętrznego przeistaczania się Twyforda.

Dotąd wesoły, szczery, stał się teraz cichy, małomówny i tak skryty, że najserdeczniejsi przyjaciele nie poznawali go zupełnie pod tą maską obojętności jaką nałożył na swe oblicze. Przestały go obchodzić plotki ze świata wyższych „Dziesięciu Tysięcy“ i najnowsze wypadki sportowe. Natomiast całą, pozostałą po strasznym ciosie energję zużył na popularyzację swych myśli i projektów politycznych oraz społecznych.

Majątek rósł mu sam, zdawało się, że bez specjalnych o to starań.

Umiał dobierać ludzi. Na stanowisku szefa oddziału handlowego stał stary dysponent, niedoceniony przez znaną firmę „Mors and Chopman“, w której przedtem pracował.

Twyford wygrzebał go jakimś cudem i powierzył mu zarząd interesów. Stary Hoen okazał się niebawem genjuszem.

Biuro propagandy politycznej prowadził dr. Simpson, młody, lecz bardzo zdolny prawnik. Stąd wybiegały na oba kontynenty Ameryki hasła jaskrawego szowinizmu i nieokiełznanej niczem nienawiści do Starego Świata.

W olbrzymim, wybitym skórą gabinecie Twyforda meły się myśli i zdania, aby z nich wyłoniło się na świat prawdziwe, czyste mlewo gigantycznych pomysłów.

Zwykle w rozmowach tych brał udział tylko Twyford i Simpson. Z chwilą przyjazdu Waring tona narady przybierały często burzliwy charakter.

Powodem był, naturalnie, profesor.

Hołdował on teorii bezwzględności działania, łamania umów, zrywania traktatów, deptania zobowiązań i walki... walki bez pardonu... bez odpoczynku, aż do zwycięskiego końca, aż do triumfu Ameryki.

Musiano go mitygować godzinami, gdyż nie ustępował łatwo, a argumentacja jego należała do rzeczywiście przekonujących.

W każdym bądź razie zadziwiał on częstokroć Twyforda i jego pomocnika swymi śmiałościami, trafnie ujętymi pomysłami. Wiele z nich przyoblecło się już w kształty realne, przynoszące niemałą korzyść dziełu.

Rzec można, że w gabinecie ojca Jane lękano się nieco tych pomysłów, jako stanowczo przedwczesnych, lecz zarazem i ceniło je w wysokim stopniu.

To też pewnego wieczora, gdy kamerdyner zameldował Twyfordowi przyjazd profesora, tak on, jak i Simpson ucieszyli się serdecznie.

Wartington wbiegł do gabinetu drobnymi, kroczkami.

Po dość głośnych powitaniach, przeplatanych pytaniami o zdrowie, nastąpiła w gabinecie chwila ciszy, przerywanej tylko nerwowymi pochrząkiwaniami profesora.

Chwila ta miała rację bytu, gdyż składały się na nią momenty oglądania, obcinania i wreszcie zapalania cygar. Każdy prawdziwy Amerykanin staje się wówczas niezwykle poważny, niemal że uroczysty.

Zaciągnąwszy się raz i drugi wonnym dymem, Wartington padł na fotel i rozsiadł się wygodnie.

Twyford zasypał go pytaniami o powody tak późnego pojawienia się w Waszyngtonie, przypominając, że prawie siedem miesięcy minęło już od ostatniego widzenia.

— Kochany profesor musiał dopiero laufrować, jeśli wszystkie depesze i listy wracały z nieodmiennym dopiskiem: „wyjechał niewiadomo dokąd“ — śmiał się Simpson.

— Zaraz my tu profesora wybadamy! Musi nam się przyznać do tej lauferki! — groził żartobliwie Twyford.

Wartington obrzucił obu bystrem poważnym spojrzeniem.

— Oto owoce tego, jak twierdzicie łobuzowania się! — rzekł, uderzając ręką po grubo wypchanej skórzanej teczce, jaką przez cały czas od wejścia do gabinetu trzymał pod pachą, a teraz umieścił na kolanach.

— No to niezbyt wielkie, skoro się dały pomieścić w teczce! — zażartował Simpson.

Przez wąskie, zaciśnięte usta profesora przewinął się ironiczny uśmieszek.

Spojrzał na rozweselonego Simpsona.

— Żartuj... żartuj, doktorze! Dobrze ty się jeszcze napocisz nad tym, co jest w tej teczce! Oj, dobrze się napocisz — rzekł pobłażliwym tonem.

Twyford poruszył się żywo.

— Aha! — domyślił się. — Zapewne profesor przywiózł nam nowe projekty?

— Uhm! — bąknął Wartington, zmrużając znacząco lewe oko.

Otoczył się kłębamii dymu, zdając się nie zwracać uwagi na tamtych.

Milczenie trwało dłuższą chwilę. Wreszcie Twyford siadł na poręczy fotelu Wartingtona i objąwszy przyjaciela w pól, rzekł żartobliwie:

— Coś dzisiaj kochany profesor nie w humorze.

— Z czego to wnosisz?

— Ta tajemniczość.....

— Jest zupełnie uzasadniona — przerwał jego słowa porywczy głos profesora. — A raczej, ściśle mówiąc, to nie tajemniczość, a niepokój.

— Niepokój! — zdziwił się gospodarz.

Wartington w zamyśleniu pokiwał kilkakrotnie głową.

— Szalona praca — szeptał jakby do siebie. — Szalona. Co roku od paru lat tyle miesięcy studjów na miejscu, a później opracowanie! Olbrzymia praca!

Twyford spojrzał na Simpsona z niepokojem. Pomimo, że przyzwyczajony był do dziwactw profesora, jednak obecne zachowanie się jego poczęło mu mimowoli nasuwać przypuszczenie o nienormalnym stanie umysłu przyjaciela.

Snać Simpson w głębi duszy żywił takie same obawy, gdyż odwzajemniwszy się szefowi znaczącym spojrzeniem, zbliżył się wraz z fotelem ku trwającemu wciąż w dziwnej zadumie profesorowi i dotknął lekko jego dłoni.

Wartington wzdrygnął się, jak człowiek nagle zbudzony z uśpienia.

— Zapewne podróż zmęczyła cię, kochany profesorze... znać to zresztą po tobie — odezwał się troskliwym tonem. — Należałoby może nieco odpocząć?

Profesor odtrącił jego dłoń i zerwał się z fotelu na równe nogi.

Przez chwilę mierzył obu roziskrzonym spojrzeniem.

— Zwarjowaliście. Przyjeżdżam do nich z pracą połowy lat swego życia... przywożę im plan... gigantyczny plan zapanowania nad połową świata, a oni proponują mi łóżko!

Krzyczał tak głośno, że aż żyły na czole nabrzmiały mu z namiętności.

Twyford począł go uspokajać. Udało mu się to wreszcie, acz z pewnym trudem. Profesor naprawdę był niezwykle podniecony.

Twyford pamiętał doskonale takie chwile podniecenia u Wartingtona z czasów jego wykładów uniwersyteckich. W chwilach takich robił wrażenie kompletnie nienormalnego. Ataki owe nie trwały jednak zazwyczaj długo.

I teraz profesor, nakrzyczawszy się i namiotawszy do woli, uspokoił się i jak gdyby nieco zmieszanem i zawstydzonem spojrzeniem wodził po ścianach gabinetu, najwyraźniej unikając wzroku obecnych.

— Zirytowaliście mnie, a zwłaszcza ty, Simpsonie, tem wmawianiem we mnie zmęczenia — odezwał się wreszcie drżącym jeszcze od wzburzenia głosem.

Simpson wyraził ubolewanie, że jego intencje zostały źle rozumiane.

Wreszcie Twyford, pragnąc zupełnie już udobruchać profesora, skierował rozmowę wprost na plan, o którym ten wspominał w chwili uniesienia.

Nie od razu jednak profesor pozwolił dotrzeć im do jądra rzeczy.

— Nie widziałem cię już od dawna i nie wiem, czy twoje poglądy nie uległy zmianie — rzekł, topiąc w twarzy Twyforda spojrzenie swych sępich oczu.

Twyford wzruszył ramionami, zaznaczając tem samem, że pytanie to uważa co najmniej za zbyteczne.

Wartington dostrzegł i zrozumiał ten ruch.

— He, hel Nie potrzebujesz, chłopcze obrażać się zaraz. Poglądy ludzkie zmieniają się równie często, jak upodobania.

— Nie hołduję żadnym upodobaniom — rzucił twardo Twyford.

— Nie rozumiałeś mnie jednak — ciągnął dalej spokojnie profesor. — Pytania mego nie należało brać dosłownie. — Chodziło tu raczej o końcowy efekt waszej pracy.

— Ten pozostał w projekcie niezmieniony — odparł poważnie Twyford.

— Wyrzeczenie się go byłoby zaprzeczeniem pracy połowy życia mister Twyforda — wtrącił Simpson.

Wartington zatarł z zadowoleniem dłoń. Na jego starczym, pooranym tysiącami zmarszczkami obliczu pojawił się wyraz takiej radości, tyle szatańskiej złości czało się w kątach jego wykrzywionych ust, że Simpson posiadający znacznie słabsze od swego szefa nerwy, wzdrygnął się mimowoli, gdyż przez moment zdawało mu się, iż ma przed sobą szkaradną maskę „bożka złości”, czczonego powszechnie na wyspach Pacyfiku.

Nie miał jednak czasu zastanawiać się dłużej nad tem, gdyż profesor powstał z fotelu, podszedł szybkim krokiem do biurka, jednym ruchem ręki usunął zeń papiery oraz stos dzienników i, przybierając pełen namaszczenia wyraz twarzy, począł ostrożnie wyjmować z teki jej zawartość.

Były tam mapy, plany, ręcznie wykonane, grube zeszyty, profile jakichś budowli rzucone ołówkiem na grubszych kartonach.

Rozłożywszy to wszystko, Wartington odstał parę kroków w tył i przez chwilę patrzył triumfująco na przyjaciół.

— Czy wiecie, co to jest? — zapytał wreszcie grzmiącym głosem, unosząc się na palcach.

Twyford i Simpson milczeli nie spuszczając zeń oczu.

Wartington jeszcze raz powiódł po nich roziskrzonym spojrzeniem. W źrenicach jego błyszczał ogień uniesienia, głos brzmiał akcentem niezwykłej siły i wyrazistości.

— Tu znajduje się zagłada Europy!

Po tych słowach w gabinecie zapanowała przejmująca cisza.

ROZDZIAŁ III.

Na olbrzymiem, wygodnem lotnisku w Atlanta zrobiło się coraz puściej.

Jeden po drugim podrywały się ciężkie pasażerskie samoloty, łączące ruchliwe Atlanta ze wszystkimi prawie okolicznymi miastami, nie mówiąc naturalnie o aparatach odbywających bezpośre dni kurs Atlanta — Waszyngton, Atlanta — New York i t. d.

Wreszcie wystartował ostatni z pasażerskich olbrzymów, dążąc do Nowego Orleanu.

Pozostały zaledwie dwa, czy też trzy aparaty prywatne, lecz i koło nich kręciła się już obsługa, co było zapowiedzią rychłego odlotu.

Podhorski był wściekły.

Otrzymał od swego chlebodawcy polecenie udania się do Atlanta i zabrania stamtąd lady Strathdon, siostry zmarłej żony Twyforda.

Lady Strathdon owdowiała w dwa lata zaledwie po ślubie. Na polowaniu w Szkocji w okolicach Perth, młody lord, tropiąc kozicę, zwałił się w przepaść.

Wdowa dość łatwo przeboleła stratę męża.

Należała do tego typu kobiet, które nie potrafią zatrzymać swych myśli dłużej na jednym przedmiocie.

Myśli, projekty, postanowienia zmieniały się w jej głowie z kalejdoskopową niemal szybkością.

Służbę doprowadzała do rozpaczy ciągłą zmianą dyspozycyj. To też w klubie służby domowej na Tremont-Street w New Yorku lokaj, lub pokojówka, którzy wytrzymali u kapryśnei wdowy dłużej niż trzy miesiące, uważani byli ludzi bez nerwów, bez zółci, za aniołów niemal.

Owdowiawszy, porzuciła lady Strathdon Anglię. W krótkim czasie zawojowała swym czarem i dowcipem salony nababów z Wall-Street. Mężczyźni szaleli za nią, ona jednak nie wybrała dotąd nikogo.

Twyford zarzucał swej szwagierce zbyt jaskrawe zeuropeizowanie, jakiemu uległa, spędzając stale połowę roku w Paryżu, Nicei i Rzymie.

Pomimo to miał dla niej przyjaźń przez pamięć na niezapomnianą Agnes, do której lady była nieco podobną.

Czasami jednak, gdy ekscentryczności lady Mabel Strathdon stawały się zbyt głośne, wzruszał ramionami, mrużąc zarazem pod nosem niepochlebne epitety, w których określenie „zwarjowana baba“ stało zawsze na pierwszym miejscu.

Na tę to właśnie, babę czekał w Alianta Podhorski, irytując się coraz bardziej z mijaniem każdego kwadransa.

Zegarek wskazywał jedenastą. Miał do przebycia okrągłe tysiąc kilometrów, co w sumie czyniło sześć do siedmiu godzin lotu.

Chcąc osiągnąć Waszyngton przed zmrokiem należało wyruszyć niezwłocznie.

Pominąwszy już nudę oczekiwania i nieprzyjemność ewentualnego nocnego lotu na nieznanym sobie odcinku, istniał jeszcze drugi powód, dla którego każda minuta pozostawiania w Atlanta wydawała się Podhorskiemu osobistą krzywdą.

Rzecz prosta, że namowy Jane zrobiły swoje. Ukochany jej pod nazwiskiem zmarłego przyjaciela objął stanowisko pilota u Twyforda. Lecz przypuszczenia Burlingтона, że dzięki temu będą się mogli widywać i spotykać dość łatwo, nie sprawdziły się, niestety.

Jane najwyraźniej pilnowano.

I ona i Podhorski podczas jednego w czasie dwóch tygodni spotkania orzekli zgodnie, że nadzór ten istnieje tylko na razie,

dopóki się nie okaże, czy dziewczyna nie widuje się ze swym wybranym na uniwersytecie i podczas przejażdżek. Pocięszali się, że rychło się to skończy.

Postanowili jednak tem bardziej być ostrożni i nie starać się spotykać zbyt często.

Dzisiaj jednak sam los sprawił, że mieli przepędzić godzinę, lub nawet więcej na swobodnej pogawędce.

Panna Eliza Taylor, dame de compagnie Jane, od paru dni cierpiała na fluksję, a szofer, wtaczając auto do garażu zwichnął nogę tak nieszczęśliwie, że lekarz zalecił mu parodniowe pozostanie w łóżku.

Jane już trzeci dzień nie była na swej zwykłej przejażdżce. Chciała sama poprowadzić auto, lecz Twyford nie dowierzał snąc bardzo szoferskim zdolnościom swej jedynaczki, gdyż wydając Podhorskiemu dyspozycję lotu po lady Mabel do Atlanta, dorzucił:

— Niechaj pan postara się powrócić jak najwcześniej! Córka odgraża mi się, że sama przejedzie się autem. Dobrze... niech jedzie, lecz będę spokojniejszy o całe sto procent jeśli pan zechce towarzyszyć jej dziś podczas przejażdżki. W razie, gdyby pan zauważył, że moja córka, zbyt brawuruje, może pan posunąć kroki zapobiegawcze aż do odebrania jej kierownicy.

Co najmniej więc dwie godziny sam na sam!

— O... psiakrew! — ulżył sobie Podhorski.

W tejże właśnie chwili, elegancka limuzyna, lśniąc na słońcu metalowemi okuciami, wjechała szybko na drogę okalającą teren lotniska.

— Chyba ona! — mruknął Podhorski, wyłaząc z pod kadłuba samolotu, dokąd schronił się przed palącemi promieniami.

Limuzyna zatrzymała się na wprost aparatu.

Podhorski począł iść powoli w jej stronę.

Z auta wyskoczyła szybko młoda, gibka w ruchach kobieta i szła mu pośpiesznie na spotkanie.

— Lady Mabel Stralhdon? — rzucił lotnik, przykładając dłoń do skórzanego hełmu.

Kobieta skinęła żywo głową.

Podhorski skłonił się powtórnie.

— Jestem Harry Burlington, pilot mister Twyforda — rzekł swobodnym tonem. — Służę pani! — dorzucił, wskazując ruchem ręki aparat. — Nie mamy zbyt wiele czasu, jeśli chcemy uniknąć lotu podczas mroku.

— Spóźniłam się o całe trzy godziny, o ile nie więcej — śmiała się wesoło, krocząc tak obok niego. — Ale tak trudno wybrać się na czas! Pan wie?

Potrząsnął głową z uśmiechem.

— Skąd? Nawet nie wyobrażam sobie, ile potrzeba kobiecie czasu na przygotowanie się do podróży... dajmy na to, z Filadelfii do New Yorku, a ile z New Yorku na Islandię.

Parsknęła krótkim, urywanym śmiechem.

— Zdaje mi się, że to wszystko jedno. Odległość w tym wypadku nie odgrywa bodaj żadnej roli. Kobieta może być gotową do podróży na Islandię w trzy godziny, a do New Yorku będzie się wybierała cały dzień. To, widzi pan, zależy raczej od tego, jak pragniemy wyglądać w Rejkjawi, a jak na Wall-Street. — Tłumaczyła z ożywieniem, błyskając bielą swych drobnych drażących ząbków.

Podhorski skinął głową na znak, że w zupełności podziela jej zdanie.

Jednocześnie spojrzął zezem na szofera i lokaja dźwigających za nimi dwie olbrzymie walizy.

— No... ta pragnie dobrze wyglądać w Waszyngtonie — pomyślał, głowiąc się w duchu, nad zagadnieniem pomieszczenia w samolocie takiego bagażu.

Odgadła znać jego myśli, gdyż odezwała się niespodziewanie:

— Walizy pójdą do kabiny... mam nadzieję, że się pomieszczą.

— A pani? — zapytał, zatrzymując się przed dziobem aparatu.

— Usiądę obok pana! — odrzekła z flegma, zapalając cieniutkiego papierosa. — Macie hełmy rozmównicze? — rzuciła od niechcenia, gdy lotnik stanął obok niej, zlustrowawszy ułożenie waliz w kabynie.

— Owszem... są! — odparł, wspinając się po skrzydle na swe miejsce pilota.

— Wyśmienicie! — ucieszyła się, dając znak, aby podano jej płaszcz. — Tyle godzin drogi i nie móc mówić, to stanowczo zbyt sroga kara dla kobiety — dorzuciła z filuternym uśmiechem.

Wystartowali szczęśliwie. Maszyna zatoczyła łuk nad lotniskiem i pomknęła ku północy jak strzała.

Podhorski, pragnąc nadrobić stracony przez oczekiwanie czas, wziął jak największą szybkość.

Zdawało się, że silnik zachłyśnie się własną wściekłością. Warkot jego zlał się w jeden nieprzerwany huk. Samolot drżał jak w febrze, w swych wiązaniach.

Pęd powietrza, wdzierający się do kabiny pilota, tamował oddech i wyciskał łzy z oczu.

Lady Mabel, wyczekawszy kilkanaście minut, ruchami rąk dała poznać Podhorskiemu, że pragnie rozmawiać.

Nałożyli hełmy rozmównicze, posiadające prócz istotnej swej użyteczności jeszcze tę zaletę, że tłumią hałas motoru.

— Allegany! — rzekł Podhorski, wskazując ręką widniejące w oddali szaroniebieskie masywy wzniesień.

— Pagóreczki! — odparła lekceważąco lady. — Nic szczególnego, w ogóle wschodnia połowa Stanów nie jest bynajmniej ciekawa. Chyba wielkie Jeziora... a i to stanowczo zreklamowano je razem z Niagarą. Ot... Zachód, to co innego! Co za urozmaicenie krajobrazu! Kocham Zachód! Niema roku, abym tam nie **przepędziła** dwóch... trzech tygodni.

Umilkła na chwilę poczem, zwracając na towarzysza spojrzenie, dorzuciła ciekawie:

— A pan jest synem Wschodu, czy Zachodu?

Podhorski nie odpowiedział zrazu. Skorzystał z wypadnięcia aparatu w „dziurę” i zajął się wyrównaniem wysokości.

Faktycznie urodził się i wychował w Arkansas, gdzie ojciec jego posiadał dość rozległą farmę, nie chciał jednak wyjawić miejsca swego pochodzenia ze względu na przybrane nazwisko.

Odrzekł więc, uśmiechając się swobodnie:

— Ni jedno, ni drugie! Ni Wschód, ni Zachód! Jestem dzieckiem północy. Pochodzę z północnej Dakoty, gdzie gromadami włóczą się na wpół dzicy jeszcze Indianie i wilki.

Wybrał Dakotę dlatego, że znał ją dość dobrze. Kilkakrotnie na zaproszenie jednego z kolegów bawił tam na wakacjach, całymi dniami wędrując ze strzelbą na ramieniu po wertepach i błotach tego niezbyt gościnnego Stanu.

Począł windować aparat w górę. Osiągnęli właśnie linję gór Allegańskich. Najwyższy ich szczyt, przenoszący dwa tysiące metrów, pozostał od nich na lewo. Lecieli nad wschodnim zboczem łańcucha. Lady Mabel wychyliwszy się poza krawędź kabiny, przez chwilę ścigała wzrokiem skrzące się blaskiem słońca szczyty gór i ciemne, sine pasma wąwozów, poczem zwróciła się żywo ku Podhorskiemu.

— A cóż porabia mój szwagier? Czy zawsze tak pochłonięty pracą?

— Mister Twyford wygląda rzeczywiście na bardzo zajętego. Posiedzenia Kongresu zajmują mu sporo czasu, a poza tem pracuje jeszcze w domu. Teraz naprzykład nastąpił, jak się здаje, okres jakichś ważnych narad, w których bierze udział pokaźna ilość jego kolegów. Nieraz narady trwają do późnej nocy. Jest też stary profesor Wartington, który...

Słowa jego przerwał wybuch wesołego śmiechu.

Spojrzał ze zdziwieniem.

Lady śmiała się jak szalona. Po chwili przerywanym przez śmiech głosem zapytała:

— Pan zapewne od niedawna dopiero lata z Twyfordem?

Odparł, iż faktycznie dopiero od trzech tygodni.

— Spodziewałam się tego — inaczej dawno już byłby pan spostrzegł te dziwactwa.

Przybliżyła się do Podhorskiego tak, że rękaw jej płaszcza dotknął jego lotniczego kombinezonu.

— Widzi pan... Twyford, skądinąd bardzo rozmowny i zacy człowiek jest ogarnięty chorobliwą manją... a jaką, niechaj pan zgadnie... no... naturalnie, któż wpadłby na taki pomysł... otóż manją zniszczenia Europy! Co... jak się to panu podoba? Zniszczenia Europy! Ha... ha... to przecież umrzeć można ze śmiechu!

Słuchał jej słów z prawdziwym zdumieniem.

Nie chciało mu się po prostu pomieścić w głowie. aby Twyford, taki rozumny i zrównoważony, jak zdołał już stwierdzić, członek Kongresu... prezes trustu węglowego... polityk realny i człowiek interesu, zajmował się podobnymi szaleństwami !

Spojrzał z ukosa na swą towarzyszkę. Czy aby ta „zwarjowana baba“ naprawdę nie zwarjowała?

Lecz ona ciągnęła dalej, przerywając sobie co chwila krótkimi wybuchami wesołości.

- Pomaga mu w tern Simpson, no i profesor Wartington. Trzeba, aby go pan poznał... panie, co to za typ! Ideowy zbrodniarz... nic, tylko ideowy zbrodniarz! Bo widzi pan, pomiędzy nim, a mym szwagrem jest ta różnica, że Twyford dąży do zniszczenia Europy przez stosowne kroki ekonomiczne. Po prostu chodzi mu o to, aby Europa zesza, jak się mówi na psy! Aby zamarł tam przemysł... handel, aby nastąpiła ogólna nędza...

— To też jest zbrodnią! — wybuchnął mimo woli Podhorski. — W ślad za nędzą idzie i głód... i choroba... i śmierć.

— Wie pan, że to prawda! Dziwna rzecz, nigdy mi to na myśl nie przyszło. Naturalnie, że zbrodnia! Ale przeciwko temu można się chociaż bronić. Można przecież znaleźć jakieś środki zapobiegawcze! Ale przeciwko projektom profesora nie byłoby obrony, gdyby nie były tak fantastycznie dziecinne.

Spojrzał na nią pytająco.

— Tak... zupełnie fantastycznie — powtórzyła pewnym głosem. — Na przykład kiedyś, zdaje się, rok już będzie temu, w chwili kulminacyjnego wybuchu swej nienawiści antieuropiejskiej wygłosił zdanie, że najlepiej i najpraktyczniej byłoby wytrącić ludność Europy!

— Trochę trudno! — uśmiechnął się. — Miała pani rację, twierdząc, że to są projekty dziecinne.

— Tak, ale prócz takich głupstw, musi on także myśleć nad czymś w tym rodzaju, tylko bardziej poważnym i realnym. Inaczej trudno sobie wytłumaczyć, dlaczego Twyford ma taki dla niego szacunek i tak wysoko ceni jego zdanie — ciągnęła lady. — Nie raz już dostrzegłam, że tak on, jak i ten napuszony Simpson patrzają w niego, jak w obraz.

Podhorski zaryzykował dość niedyskretne pytanie.

— Sądzę, że przygotowując swe projekty, strzegą się przed niepowołaniem okiem i uchem.., tem bardziej więc się dziwię, lady Strathdon, że pani posiada dość szczegółowe informacje o tych tajemniczych, bądź co bądź, sprawach.

— Ha... ha! To są rezultaty bagatelizowania mojej osoby. I Twyford i profesor uważają mnie za kobietę tak pustą i tak zajęłą drobnostkami dnia, że naprawdę nie strzegą się tak bardzo, sądząc widocznie, że nie pojmuję ani słowa z ich rozmów. Zresztą, trzeba przyznać, że rozmowy te w mej obecności wywołuje zawsze profesor. Jak zauważyłam, Twyford w takich wypadkach powściąga go raczej... Ale zawsze, jedno... drugie słówko... jakiś wykrzyknik żywiołowy profesora i... składa się z tego całość.

Zwróciła ku niemu spojrzenie i dorzuciła, potrząsając triumfalnie głową:

— My, kobiety, celujemy w konstruowaniu całości z urywków. W tem niewątpliwie górujemy nad wami.

Skinął głową na znak zgody, chociaż mimowoli przyszło mu na myśl, że kobieta nie tylko potrafi stworzyć całość z urywków, lecz dokonać może daleko trudniejszej nawet sztuki... oto na przykład, jak mówi przysłowie, z igły zrobi widły.

I pod tym też kątem widzenia traktował rewelacje lady Mabel.

— Zwykła niechęć Amerykanów do Starego Świata okraszona niewybrednemi, typowo lokalnemi, dowcipami — mówił sobie w duchu, przebiegając jeszcze raz w myśli zasłyszane przed chwilą słowa.

Lecz niebawem chłodne zastanowienie wzięło górę nad uprzedzeniem.

Przypomniał sobie, że już od dawna w dziennikach powtarzało się wciąż nazwisko Twyforda, jako przywódcy opozycji przeciw jakiegokolwiek pomocy dla krajów europejskich. Hasło:

„Dzieci emigrantów, muszą czuć i myśleć po amerykańsku“ również było z nim związane.

A teraz te tajemnicze bezustanne narady, ciągnące się niezadko do rana? To sprowadzanie do domu pokaźnej ilości stołów rysowniczych, rajzbretów, przyborów rysunkowych! Kiedyś, wezwany do gabinetu Twyforda zauważył, że oba sąsiednie pokoje przetworzone zostały na pracownię techniczne. W jakim celu?

A ten profesor? Najwyraźniej fanatyk, pałający nienawiścią do wszystkiego, co europejskie! Jaki powód jego pobytu tutaj?

Postanowił przeto kontynuować nadal rozmowę na ten temat.

— Richmond przed nami! — zwrócił się do zamyślanej lady. — Za godzinę będziemy w domu. No, ależ też pędziliśmy... dopiero wpół do piątej! Prawda, że nie traciliśmy czasu.

— Świetny pilot z pana... znam się cośkolwiek na tem — posłyszał w odpowiedzi.

Skłonił lekko głowę w podzięce za uznanie.

Zwróciła się doń całym ciałem. Kątem oczu dojrzał błysk jej ciemnych źrenic, wpatrzonych weń uporczywie.

— Nie robi pan wrażenia rodowitego Amerykanina. Powiedziałałabym, że pan prędzej przypomina Szkota... może Norwega... albo, wie pan, kogo... Słowianina! Tak, tak, naturalnie, wybitnie słowiański typ — odezwała się nagle.

Podhorski struchlał. Słowa spostrzegawczej lady spadły na niego jak piorun, mącąc na chwilę zdolność myślenia. Pochylił się przeto nad kompasem, udając bardzo zaaferowanego. Pragnął zyskać na czasie, aby ochłonąć z wrażenia. Skoncentrował momentalnie całą siłę woli i po upływie kilkunastu sekund patrzył już na towarzyszkę jasnym, śmiejącym się spojrzeniem.

— Prawdą jest jednak przysłowie, że pozory zwykle myślą — mówił swobodnym tonem. — O ile wiem, w rodzinie mej nie

było nigdy cudzoziemców. Sami „stuprocentowi” Amerykanie. Noszę pospolite, amerykańskie imię: Harry.

Umilkł na chwilę, a pragnąc skierować rozmowę z powrotem na Twyforda i jego projekty, dorzucił ze szczerym śmiechem.

— Zresztą, czy pani sobie wyobraża cudzoziemca w służbie u człowieka tego rodzaju, co mister Twyford?

Przypuszczenie to wydało jej się tak niezwykle, że wybuchnęła gwałtownym śmiechem.

— Nie, nie wyobrażam sobie tego! Jestem nawet pewna, że nie pozwoliłby, aby noga Europejczyka przekroczyła próg jego domu.

— I ja też sadzę podobnie. No... i, ściśle rozumując, niema w tem nic dziwnego. Skoro się tworzy takie burzycielskie plany...

— Dziecinada! — przerwała mu nagle.

Potrząsnął głową.

— Zdaje mi się jednak, że lady zbyt lekceważąco traktuje zamysły mister Twyforda — mówił powoli, dobitnie, akcentując każde słowo. — Wierzę w trzeźwy umysł mego szefa i jestem przekonany, że plany jego muszą mieć rzeczywiście gigantyczne rozmiary. Nie wchodzę w to, czy są okrutne, czy nie... ale to muszą być bardzo... bardzo ciekawe rzeczy. Mister Twyford nie zajmował się głupstwami.

— Widzę, że interesuje to pana? — rzuciła jak gdyby odniechceni, otulając się szczelnie w płaszcz, gdyż wschodni wiatr od pewnego już czasu uderzał w nich chłodnym oddechem pobliskiego oceanu.

Podhorski zrozumiał, że na zapytanie lady musi dać odpowiedź, która rozwiałaby doszczętu wszystkie podejrzenia, jakie mogły zrodzić się w umyśle sprytniej kobiety.

Oznajmił jej zatem w krótkich, prostych słowach, że od młodych już lat odczuwał podziw dla rzeczy wielkich, niecodziennych.

— Oczywiście, że młodzieńczy, naiwny zachwyt przerozdził się z czasem w uczucie więcej trzeźwe, oparte na rozumowaniu. Cenię potęgę myśli, moc woli i szaleństwo czynu! Bo któż inny jak nie szaleńcy pchają świat naprzód? W przeszłości odkrywali nowe lądy, podbijali całe ludy — kto... szaleńcy — częstokroć osobnicy, jak się to dzisiaj mówi, z pod ciemnej gwiazdy! Weźmy chociażby Pizarra! Kto marzył... kto głowił się nad problemem zawojowania powietrza? Też szaleńcy... geniusze w rodzaju da Vinci, którego pomawiano o zмовę z piekłem! Tak proszę pani, nieokiełznany, burzący zuchwale uświęcone tradycją kapliczki ludzkich przekonań, poryw myśli i pęd szaleństwa są głównymi i jedynymi motorami poruszającymi maszynę postępu!

W miarę jego słów rosło zainteresowanie lady. Musiało ono wreszcie osiągnąć niezwykle rozmiary, gdyż Podhorski ze zdziwieniem zauważył, że ramię pani Strathdon znalazło się w bezpośredniej styczności z jego ramieniem.

Udał jednak, że nie zauważył tego.

— Ładnie pan mówi! — przerwała chwilę milczenia lady Mabel. — Swemi słowami dokonał pan tego, że odtąd i ja innym wzrokiem patrzę na pracę mego szwagra. A może rzeczywiście jest on jednym z tych „wielkich”?

— Jeśli nie wielkim, to w każdym razie na pewno ciekawym, jak bez wątpienia ciekawe są jego pomysły — odparł, z celem skierowania rozmowy na intrygujący go temat.

— Będę się dzieliła z panem tem wszystkim, co zdołam dostrzec. W zamian, musi mi pan przyrzec, że wyjaśni mi pan równie zajmująco jak dzisiaj, każdy wątpliwy, lub niezrozumiały dla mnie szczegół. Dobrze? Godzi się pan na taki układ?

— Naturalnie! Jestem nim zachwycony! — odparł, upatrując równocześnie swobodnie do lądowania miejsce, gdyż właśnie w tej chwili znaleźli się nad waszyngtońskim portem lotniczym.

Niestety pośpiech na nic się nie przydał. Rzecz prosta, że Jane ze względu na przyjazd ciotki musiała skwitować z projektowanej przejażdżki autem.

Podhorski nie odczuł jednak dzisiaj zawodu, jaki go spotkał, tak dotkliwie, jak bez wątpienia odczułby go wczoraj. Powodem tego były absorbujące jego umysł rewelacje o planach Twyforda.

Cały wieczór spędził na bezcelowem wałęsaniu się po niewielkim parku, otaczającym willę.

Mijając oświetlone okna gabinetu Twyforda, mimo woli zwalniał kroku i wpatrywał się w nie uporczywie, jak gdyby pragnąc swym wytężonym wzrokiem dojrzeć kryjącą się poza niemi tajemnicę.

Wreszcie znużony dzisiejszem wielogodzinnem czuwaniem przy sterze aparatu, powlókł się powoli, ze spuszczoną na piersi głową w stronę swego dwupokojowego mieszkania, mieszczącego się w lewym skrzydle willi, izolowanem od reszty pałacyku osobnem wejściem z parku.

Noc przepędził niespokojnie. Chyże, zmieniające się co chwila sny stawiały przed jego półświadomą wyobraźnią straszliwe obrazy pożarów, jakichś wybuchów, porywających w powietrze całe miasta, zagładę olbrzymich krajów.

Przebudził się z bólem głowy.

ROZDZIAŁ IV.

Podhorski urodzony i wychowany poza krajem, słyszał o nim od lat, w których dziecko poczyna utrwaląc i roztrzasać w umyśle dość już złożone zagadnienia.

Stary Podhorski, który dopiero w pięćdziesiątym roku doczekał się potomstwa, postanowił, że jedyny syn jego musi być Polakiem.

Ze strony matki Stefana nie było w tej kwestji najmniejszego sprzeciwu. Kochała ona męża tak bałwochwalczo, że wszystko to, co on postanowił, z góry aprobowwała.

Mały Stefan, mając trzy lata wyśpiewywał już cieniutkim głosikiem krakowiaki i obertasy, kończąc każdy z nich głosem U-ha! i zuchowatym przytupnięciem, co przyjmowane było z uznaniem i podziwem całej dzieciarni rozległego podwórca farmy.

Później rozpoczęły się niezliczone opowiadania o kraju dalekim, oddzielonym oceanem, ongi wielkim i potężnym, szczęśliwym, a obecnie rozdartym przez złych sąsiadów na części i ciemnionym z zaciekłością, przynoszącą ciemnizycielom hańbę po wieczne czasy.

Pojętny ponad swój wiek chłopiec zaciskał kurczowo małe piastki na rękonożce wystruganego z drzewa „Szczerbca”, słuchając opowiadań o śmierci tysięcy zesłańców w zachłannych śniegach Syberji, o katowaniu i rozstrzeliwaniu unitów, o dzieciach Wrześni i wozie Drzymały, o perfidnej roli rządu austriackiego podczas strasznej w swej grozie Rzezi Galicyjskiej.

Z czasem opowiadania zamieniły się w rodzaj prawdziwych lekcji. Stary Podhorski nie miał jednak czasu, by kontynuować je regularnie. Zaradzono temu w ten sposób, że sprowadzono na farmę starego Wiecheckiego, również emigranta osiadłego od wielu lat w sąsiednim miasteczku.

Wiecheckiego nazywano powszechnie dziadkiem, a byli i tacy, którzy z całą pewnością twierdzili, że umysł starego wychodźcy pozostawia do życzenia.

Nie był biednym, gdyż na jego to ziemi powstała pierwsza w Arkanzas kopalnia węgla. Posiadał kapitalik, który pozwalał mu na poświęcenie się umiłowanej przez siebie pracy. Praca ta polegała na... robieniu wynalazków. Jakich... nikt o tem nie wiedział, gdyż stary Wiechecki był skryty i prawie zupełnie nie żył z ludźmi

Eksperymenty jego nie musiały być jednak zbyt bezpieczne, gdyż pewnego wieczoru mieszkańcy miasteczka poruszeni zostali donośną detonacją, a w parę chwil później jaskrawe języki ognia tańczące na dachu domku Wiecheckiego wskazały im miejsce wybuchu.

Poparzonego dotkliwie dziwaka z trudem zdołano wyprowadzić z pośród płonących ścian. Wtedy to stary Podhorski zaproponował Wiecheckiemu, żeby przeprowadził się doń i udzielał siedmioletniemu już wówczas Stefanowi lekcji języka polskiego i historii, „aby pamiętał przez całe życie, że jest Polakiem”.

Wiedząc zaś, że rozsądny skądinąd Wiechecki opętany jest manją wynalazków, Podhorski oddał do jego wyłącznej dyspozycji pustą szopę stojącą zdaleka od zabudowań gospodarczych, żartobliwie zapowiadając z góry, że wynalazca może się nie krępować jej dobrym stanem.

— Jak wam, Wiechecki, będzie potrzeba to spalić, albo i zgoła wysadzić w powietrze... to bardzo proszę! Abyście sami przy tem nie oberwali!

Wiechecki machnął lekceważąco ręką i natychmiast udał się na zlustrowanie szopy. Po godzinie powrócił i oznajmił Podhorskiemu, że od jutra przeprowadza się do niej. Żadne perswazje nie zdołały go odwieść od tego zamiaru. Ustąpił tylko o tyle, że ro-

botnicy Podhorskiego sklecieli mu w jednym z kątów szopy coś w rodzaju pokoiku. Dawało to przynajmniej gwarancję, że lokator, który w nim zamieszka, nie będzie narażony podczas deszczu na przykre niespodzianki.

W szopie przez prawie całą jej długość biegł wąski stół, zбитy przez Wiecheckiego z nieheblowanych desek, wspartych na krzyżach. Poza tem zmajstrował parę prymitywnych półek.

Ukończywszy wreszcie pracę koło umeblowania „pałacu”, jak żartobliwie ochrzcił szopę Podhorski, Wiechecki wyjechał na parę dni do miasta. Powrócił, przywożąc całą masę paczek, retort, móżdżerzy, oraz szklanych balonów, napełnionych różnokolorowymi płynami.

Wszystko to zajęło półki i kąty szopy, którą odtąd Wiechecki zamykał starannie na klucz, udając się na lekcję ze Stefanem.

Wiechecki wiele wiedział i umiał wiadomości te podawać pupilowi swemu w tak przystępny sposób, że młody Podhorski rzeczywiście skorzystał podczas owych trzech przedpołudniowych godzin nauki, z których połowa co najmniej poświęcona była historii Polski. Rzecz prosta, że w związku z poszczególnymi epokami rozwoju, a następnie i upadku Polski zachodziła potrzeba zaznajomienia się z całokształtem historii Europy. Tym sposobem młody Podhorski wstępując do kolegum, przewyższał o wiele swych towarzyszy pod względem wiadomości z tych właśnie dziedzin, które dla przeciętnego Amerykanina pozostają zazwyczaj do końca życia zagadkami.

Nic więc dziwnego, że Stefan, pomimo, że wychował się i urodził w Ameryce, pomimo, że nie widział nigdy rodzinnego kraju, posiadał jednak wysoce rozwinięte uczucie patriotyzmu.

Wiadomość przeto o knowaniach Twyforda przeciw Europie, a co zatem idzie i przeciw Polsce wstrząsnęła nim do głębi i cał-

kowicie zaabsorbowała jego myśl, odsuwając wszystko inne na dalszy plan.

Nawet miłość do Jane, jakkolwiek nic nie straciła na swej sile i szczerości, poczęła się mu wydawać rzeczą błahą. Zresztą podczas kilkuminutowych, niby przypadkowych, spotkań w parku próbował, rzecz prosta, w nader ostrożny sposób dowiedzieć się od Jane czegoś więcej konkretnego o poglądach politycznych i projektach Twyforda. lecz ku swemu wielkiemu zdumieniu przekonał się, że wiadomości córki o ideologii i pracach ojca równały się niemal zeru.

Jane nie wiedziała nic poza tem, że ojciec jej jest członkiem Kongresu. Nie umiała wyjaśnić, czy Twyford posiadał tam wpływy i jaka była skala ich rozległości?

Niechęć ojca swego do Europy tłumaczyła tem, że w niej właśnie stracił ukochaną żonę.

Naiwne słowa Jane nie zadowolily Podhorskiego. Katastrofy kolejowe zdarzają się wszędzie, a najczęściej bodaj w Ameryce. Trudno przypuścić, aby Twyford znienawidził Europę tylko za śmierć żony. Wypadek ten bezsprzecznie mógł się przyczynić do powiększenia niechęci, lecz sama niechęć bezwarunkowo oparta była na logicznych, myślowych podstawach. Dzisiejszego wieczoru Jane czuła się również bardzo pokrzywdzoną. Jutro wykłady kończyły się tak wcześnie, że grono jej przyjaciółek zorganizowało wycieczkę poza miasto. Plan Jane polegał na tem, że Stefan miał się przyłączyć do wycieczki, jako dawny jej kolega Burlington z Cincinnati. Zdecydowała się na tak ryzykowny bądź co bądź krok, gdyż miała pewność, że wszelkie ich obawy o śledzeniu jej tutaj były bezpodstawne. Podhorski jednak nie podzielał w duchu jej przekonania i z prawdziwą ulgą przeczytał wręczony mu przez kamerdynera bilet Twyforda, którym ten zawiadamiał, aby był

gotów do odlotu wczesnym rankiem następnego dnia. Dokładne dyspozycje miał otrzymać dzisiaj jeszcze.

Pożegnał przeto zadąsaną Jane i pośpieszył na lotnisko, aby poczynić ostatnie przygotowania. Na szczęście samolot był w należytym porządku, więc nie zabawił tam długo.

Po powrocie do domu dowiedział się, że Twyford dopytywał się o niego. Udał się przeto śpiesznie od gabinetu szefa.

Przed gabinetem znajdował się pokój stanowiący coś w rodzaju nieoficjalnej poczekalni. W pokoju tym stale dyżurował oddany duszą i ciałem Twyfordowi kamerdyner Williams.

W obecnej chwili nie było go jednak, co niemało zdziwiło Podhorskiego. Stał przez moment niezdecydowany, gdy wtem głośne, pełne akcentu stanowczości słowa Twyforda uderzyły o jego uszy.

— Więc pozostaje tak jak postanowione! W wypadku zadowalającego wyniku pertraktacyj naszych z delegatami Japonii zawiadomimy was o tem depeszą o umówionej treści.

Podhorski cofnął się i opuścił poczekalnię. Spacerował zrazu po korytarzu, wreszcie stanął przy oknie znajdującem się naprzeciw drzwi poczekalni.

Wodził roztargnionem spojrzeniem po zatracających się już w szarzyźnie mroku konturach drzew parku .

Jednocześnie umysł jego analizował z dokładnością chemika każdy wyraz posłyszanego niechęcący przed chwilą zdania.

Lecz na razie było ono dlań zupełnie niezrozumiałe.

Pertraktacje? Z kim? Gdzie mają one mieć miejsce? Jaki ma być ich charakter?

Wzruszył wreszcie z niechęcią ramionami. Stanowczo, niemożliwością było wywnioskować coś konkretnego z tych paru ogólnikowych prawie słów.

Wiedział tylko jedno. Oto pertraktacje, o których mówił Twyford, musiały posiadać niesłychanie tajemniczy charakter, skoro wiadomość o ich wyniku zostanie przesłana: „depeszą o umówionej treści”.

W tym momencie ktoś chrząknął dyskretnie w głębi korytarza. Był to Williams.

— Już trzeci raz mister Twyford pytał o pana — rzekł uroczystym tonem.

— Byłem na lotnisku — odparł niedbale Podhorski — a teraz czekam tu już dobre piętnaście minut, aby ktoś dał znać panu Twyfordowi o mem przybyciu.

Na tłustej twarzy kamerdynera odbił się lekki cień zmieszania, lecz szybko wypasione oblicze przybrało zwykły wyraz dostojnej powagi.

— Przykro mi bardzo... doprawdy, ale musiałem zejść na chwilę do kuchni, aby zadysponować herbatę i grzanki dla panów. A że mister Twyford jest bardzo kapryśny co do grzanek, więc musiałem przypilnować kucharza — mówił powoli. — Ale pan mógł przecież sam zapukać do drzwi i wejść — dorzucił po krótkim momencie przerwy.

— Nie lubię nikomu przeszkadzać! — mruknął sucho Podhorski, ruszając w stronę poczekalni.

Williams pobiegł naprzód i za chwilę Stefan znalazł się w gabinecie.

Wokół dużego okrągłego stołu, oświetlonego z góry, siedziało paru mężczyzn, których Podhorski już widywał, wożąc samych, lub też z Twyfordem do New Yorku i z powrotem. Skinął im lekko głową i skierował się ku Twyfordowi.

Ten zamienił z nim uścisk dłoni i wskazał miejsce obok siebie.

Podhorski od pierwszego rzutu oka zauważył, że Twyford jest jak gdyby nieswój. Obcinał długo cygaro i stanowczo zbyt dużo tracił czasu na zapalanie go.

Również pięciu panów, siedzących przy stole, miało miny tak poważne, że przez chwilę przyszło mu na myśl, czy nie odkryto jego incognita.

Jednocześnie zadziwił się, iż niema w gabinecie Waringtona. Nic przecież nie słyszał o jego wyjeździe!

Lecz niebawem niezbity takt przekonał go o obecności profesora.

Z poza niedomkniętych drzwi przedarł się do gabinetu chrapliwy głos.

— Naturalnie... znalazłem już błąd! Kolega wziąłś obliczenie szybkości prądu w najwęższej cieśninie z Supana, a ja przecież wyraźnie zaznaczyłem, że różnice pomiędzy nim, a memi.,...

Twyford, siedzący najbliżej drzwi zerwał się i przymknął je szczelnie. Dalsze słowa profesora dobiegły już do gabinetu jako zupełnie niezrozumiałe dźwięki.

— Kochany profesor pomiędzy tysiącami zalet posiada jedną, lecz za to dość przykrą wadę. Oto ton jego głosu jest zbyt krzykliwy i przez to nieco.... denerwujący — zauważył Twyford. Usiadł na swym miejscu i powrócił do niezapalonego jeszcze cygara.

Tymczasem Podhorski powtarzał zapamiętane w myśli posłyszany przed chwilą urywek zdania celem dosłownego zatrzymania go w pamięci.

Wreszcie Twyford zapalił cygaro, puścił jeden i drugi kłęb dymu i zwrócił się żywo ku pilotowi.

— Czeka pana podróż nie lada! — rzucił, kładąc mu przyjacielsko dłoń na ramieniu.

Podhorski podniósł nań pytające spojrzenie.

— Nie lada podróż! — powtórzył Twyford. — Właśnie chciałem o tem pomówić z panem. Otóż w piątek przybywają do San Francisco dwaj zagraniczni potentaci giełdowi, celem omówienia pewnego interesu handlowego z grupą finansistów, którą reprezentuję.

Powiódł wzrokiem po nieruchomych postaciach swych gości, jak gdyby dając tem samem dyskretnie do poznania, że ci goście, to właśnie ci finansisci, o których wspomniał przed chwilą.

— Nie będę pana wtajemniczał w szczegóły interesu, gdyż byłoby to nudne, zaznaczę tylko, że jest to poważniejsze przedsięwzięcie — rozpoczął znów Twyford. — Nie wiem czy pan zna stosunki życia finansowego... otóż muszę zaznaczyć, że są one bardzo trudne....

--- Ba! Jeszcze jak trudne! — mruknął jeden z gości.

— Kardynalnemi warunkami, o ile interes ma się udać, jest szybkość decyzji i.... zachowanie do czasu tajemnicy. To ostatnie jest bodaj najważniejsze.

— Słyszałem coś niecoś o tem — wtrącił z uśmiechem Podhorski. — Na ten temat kursuje nawet masa anegdot.

— Prawda... co? — ucieszył się Twyford. — Tak... tak, trzeba się kryć ze swemi projektami, gdyż inaczej inny ubiegnie cię na pewno! Otóż i w tym wypadku jest tak samo. O przyjeździe zagranicznych finansistów, absolutnie nikt do czasu nie powinien wiedzieć. Ale to literalnie nikt! Z tego względu ani ja, ni też żaden z mych towarzyszy nie może oczekiwać ich w San Francisco! Wyręczy nas w tem... pan!

Ostatnie słowa wymówione były z tego rodzaju naciskiem, jak gdyby Twyford miał zamiar tonem swego głosu zasugerować pilota.

Podhorski skinął głową.

— Rozumiem. Mam tych panów zabrać z San Francisco i przywieźć tutaj — rzekł spokojnie, patrząc wprost Twyfordowi w oczy.

Ten poruszył się z żywością w fotelu.

— Właśnie, że nie tutaj! Narady odbędą się w Santa-Fe i tam też ich pan zawieziesz!

— Tutaj, czy tam, to już nie sprawia mi różnicy — zauważył obojętnie Podhorski.

— No, zapewne — przytaknął Twyford, poczerń przysunąwszy się bliżej ku niemu zapytał: — Więc zgadza się pan... co?

Podhorski po mistrzowsku udał zdumienie.

— Jakżeż miałbym się nie zgodzić! Wykonam przecież tylko to, do czego się zobowiązałem!

Szmer obiegił stół dokoła. Twyford podniósł się z żywością.

— Spodziewałem się tego! — rzekł pełnym pewnością tonem. — Pozostaje nam tylko omówienie szczegółów lotu — dorzucił, idąc w stronę biurka.

— Przywiozę tedy żółtków — rozmyślał tymczasem Podhorski, używając najpopularniejszego w Stanach Zjednoczonych, ironicznego określenia sąsiadów z poza drugiej strony Pacyfiku. — Rzecz, która ma być przeprowadzona w tak tajemniczy sposób, bez wątpienia ma styczność z knowaniami Twyforda.

W tymże samym momencie przed oczami stanęła mu postać starego Wiecheckiego.

Zrazu nie mógł pojąć przyczyny, wywołującej zjawisko, lecz niebawem, po paru sekundach, w miarę krystalizowania się ode-
rwanym atomów myśli, dokonało się w jego mózgu zrozumienie niewzruszonego faktu prawdy.

Oto Wiechecki, który podczas tułaczki swej dotarł aż do wysp kraju „Wschodzącego Słońca”, znał świetnie język japoński. Dalszy bieg myśli Podhorskiego przybrał kierunek tak zdecydo-

wany, że zanim Twyford powrócił do stołu przed wyostrzonym, jak gdyby jasnowidzącym wzrokiem Stefana przewijały się dość wyraźne kontury następstw nagłego, mimowolnego zresztą odgrzebania w pamięci postaci starego Wiecheckiego.

Twyford położył przed Podhorskim grubą paczkę banknotów.

— Tutaj jest trzydzieści tysięcy dolarów. Uda się pan jutro do New Yorku i zakupi za te pieniądze nowy aparat, na którym poleci pan do San Francisco. Kupi pan na swoje imię i odpowiednio zarejestruje. Nie chciałbym, aby moje nazwisko figurowało w spisie maszyn, przybywających na lotnisko w San Francisco. Aparat niechaj będzie większy od naszego... tak... na cztery osoby. Sądzę, że wystarczy panu pieniędzy, gdyby zaś okazało się, że nie, to brakującą kwotę podniesie pan w banku Tobjasza Reyda, Wall-Street 266. Jutro rankiem prześlę mu telegraficznie odpowiednie dyspozycje. To wszystko... aha, jeszcze jedno! Aeroplan ma mieć godło A. J. Znak powinien być widoczny.

Podhorski zapisał w notesie godło i niedbałym ruchem wsunął paczkę banknotów do kieszeni marynarki.

Twyford rozwinął niewielką, lecz nadzwyczaj dokładną mapę Stanów.

— Do Frisco będzie pan miał....

— Okrągle cztery tysiące kilometrów — przerwał Podhorski. — Stamtąd do Santa Fe tysiąc pięćset, w sumie pięć tysięcy pięćsetpowiedzmy, sześć tysięcy kilometrów.

— I tyleż z powrotem, gdyż goście moi powrócą tą samą drogą — wtrącił Twyford. — Nic przeraża to pana? — dorzucił po krótkiej chwili.

Podhorski uśmiechnął się.

— Bynajmniej! - Wszystko zresztą zależnem będzie od aparatu. Jest tu jednak pewien minus. Oto taki długi lot i, co najważ-

niejsze, terminowy, na świeżej, prawdę mówiąc, nieoblatanej maszynie! To nieco ryzykowne nie pod względem bezpieczeństwa, lecz punktualności przybycia na umówiony czas. I dlatego będę musiał zabrać z New Yorku ze sobą mechanika... koszt minimalny.

— Czy to konieczne? Wolałbym tego uniknąć — skrzywił się Twyford.

— A jeżeli silnik odmówi posłuszeństwa gdzieś zdała od lotniska i hangarów? Jeśli defekt będzie tego rodzaju, że trzeba go będzie rozebrać częściowo? Co wtedy? Sam nie będę miał tyle fizycznej siły, aby na przykład zdjąć wierzchnią pokrywę motoru i po usunięciu defektu założyć ją na powrót. I wtedy kłapa! Telegrafowanie do najbliższego lotniska... czekanie na przybycie mechaników, a tymczasem pańscy goście będą czekać! Chyba, że tak?

— To niemożliwe! — obruszył się Twyford.

— I ja wiem dobrze, że to nie może mieć miejsca i dlatego muszę mieć przy sobie pomoc! — mówił nieustępliwie pilot.

— Ja to rozumiem! — usprawiedliwiał się Twyford. — Jeżeli oponuję, to tylko ze względu na rozgłos.

— Nie pojmuję pana — rzekł Podhorski.— Mechanik na aparacie i to do tego nowym, jest to rzecz zupełnie normalna! A wywnętrzać się przed takim panem, też nie mam potrzeby. Będzie wiedział na razie tylko to, że leci ze mną do Frisco... nic więcej. A jeśli okaże się we Frisco, że aparat działa bez zarzutu, to pożegnaj draba i... sprawa skończona.

— No, jeżeli tak... — uspokajał się Twyford

— to naturalnie nie może być mowy o jakimś rozgłosie! Więc bierz pan mechanika i w drogę! Liczę na pana!

— Czy mam panu nadsyłać z drogi wiadomości? — zapytał Podhorski, podnosząc się.

— Nie... uważam, że to zbyt wiele — odparł Twyford ścisnąc mu dłoń energicznie.

Stefan skinął głową mimowolnie, które obsiadły stół, i spokojnym, elastycznym krokiem skierował się ku drzwiom.

— Panie Burlington! Liczymy więc na pana! — zakrzyknął Twyford w ślad za nim.

Podhorski, który położył już dłoń na klamce, odwrócił się.

— Mister Twyford! — zabrzmiał jego głos.

— Mało jest spraw, w których nie może pan liczyć na mnie! Faktycznie tylko dwie: oto, jeżeli poleci mi pan działać na szkodę bliźnich i na szkodę... ojczystego kraju!

Skłonił się lekko i wyszedł.

— Rogaty djabeł! — mruknął jeden z gości Twyforda.

— Podoba mi się! — dorzucił tłusty bankier z Bostonu. — Prawdziwy człowiek fachu! Odstąp mi go, Henryku! — zwrócił się do Twyforda na poły serio, na poły żartobliwie.

Ten potrząsnął z uśmiechem głową.

— Nie frymarczy się ludźmi, którzy potrafią postawić na swoim.

ROZDZIAŁ V.

Minąwszy rozkoszną, przesyconą zapachem kwitnących magnolij „błogosławioną”, jak ją nazywają Kalifornijczycy, dolinę Sacramento, samolot A. J. znalazł się ponad groźnymi ponuremi szczytami Sierra Nevada.

Nieco na lewo od dzioba A. J. majaczyły we mgle oddalenia ostre, kanciaste kontury Mount Whitney, skalistego olbrzyma o wysokości przeszło czterech i pół tysiąca metrów.

Podhorski wychylił się poprzez okienko i przez chwilę uważnie obserwował krajobraz.

— Pustynia Mohawe pod nami — rzekł do siedzącego obok niego Wiecheckiego.

Ten łobuzerskim ruchem zatarł radośnie dłonie.

— Wiec może zaczniemy już... co? — rzekł, śmiejąc się.

— Zapewne..., tylko znajdę dogodnie do lądowania miejsce — odparł Stefan. — Zresztą tu wszędzie równo.

Począł zamykać co chwila dopływ benzyny do motoru. Robiło to wrażenie, jak gdyby wszystkie świece przestały naraz palić. Aeroplan, kierowany zręczną ręką pilota, począł się zniżać powoli i wreszcie cicho, bez żadnych wstrząsów, siadł na piasku ubitym na twardą opokę przez prawie nieustannie panujące tu ulewy.

Okienko kabiny uchyliło się i wyjrzała przez nie sucha, jak gdyby w dymie zwiędła twarz jednego z Japończyków.

— Co tam? Czemu lądujemy? — Chyba to jeszcze nie Santa Fe? — rzucał szybko pytania niskim, gardłowym głosem.

— Do Santa Fe mamy jeszcze stąd dobre tysiąc kilometrów. Jakiś defekt w motorze. Zapewne świece zabrudzone. Głupstwo. Doprowadzenie do porządku motoru potrwa najwyżej kilkanaście minut. Zaraz ruszamy — tłumaczył swobodnie Podhorski. — Czy panowie wysiądą? — dorzucił, przedostając się na skrzydło aparatu.

— Chyba nie — odrzekł po chwili namysłu Japończyk. — Skoro mamy niebawem wyruszyć....

Tak... sędzę, że za dziesięć minut najpóźniej! — zapewnił Podhorski, znikając poza krawędzią skrzydła.

Pobiegł do dzioba aparatu. Tuż obok śmigła klęczał Wiechecki, rozkładając na piasku wyciągane z przepaścistych kieszeni kurty przedmioty. Była tam spora butelka, napełniona ciemno czerwonym płynem, zwój waty i bandażu opatrunkowego.

Posłyszawszy kroki Stefana, Wiechecki podniósł śmiejące się oczy.

— Laboratorium gotowe. Możemy przystąpić do fabrykowania pseudo nieboszczyka.

— Jeszcze nie! — reflektował go Podhorski. — Musimy przecież pokazać się im przy motorze.

Wspięli się po metalowej drabince na górę i za chwilę obydwaj, udając wielkie zaaferowanie, grzebali wśród niezliczonych wentyli, miedzianych rurek i elektrycznych przewodów.

Podhorski kątem oczu dostrzegł w okienku kabiny oblicze jednego z Japończyków, obserwującego z ciekawością ich ruchy.

— Trzeba go uspokoić! — mruknął do siebie i wykręciwszy parę świec, pokazał je zdala Japończykowi, uśmiechając się swobodnie i kiwając głową na znak, że defekt jest już usunięty

Pomarszczone oblicze syna kraju „Wschodzącego Słońca” skrzywiło się w grymasie, mającym oznaczać uśmiech zadowolenia, i znikło.

Podhorski szybko wkręcił świece do cylindrów i dał znak Wiecheckiemu. Nałożyli wierzch maski motoru i zeszli na dół.

— No... teraz wszystko zależy od pańskich zdolności aktorskich — rzucił Stefan i zabrał się do rozpakowywania zwoju waty.

— Nie lękaj się o mnie, chłopcze! Było się w życiu i aktorem też. Nie grałem co prawda Hamleta, ale zawsze coś tam człowiek potrafił — odkorkowując butelkę, mówił żartobliwie Wiechecki — a nie mój to pomysł z tą krwią cielaka, kupioną w rzeźni miejskiej za pięć centów?

— Pański, pański, lecz na Boga, śpiesz się, — przynaglał go Stefan.

— Za dwie minuty będę już „zrobiony”, jak to się mówi za kulisami — zapewnił go Wiechecki.

— No... to ja idę! — rzucił Podhorski, oddalając się śpiesznie.

W chwilę później, znalazłszy się już w przedziale pilota, mówił przez okienko do siedzących cierpliwie pasażerów.

— Tak, jak przewidywaliśmy, parę świec przestało palić z powodu zanieczyszczenia. Widocznie ciężka benzyna. Ale obecnie już wszystko w porządku. Zaraz ruszamy!

Zasiadł przy sterze. Zapalił motor. Zahuczał, zawarkotał. Z pośród chaosu grzmiących, ogłuszających odgłosów coraz pewniej, coraz bardziej zwycięsko począł się wydzielać ostry, przenikający wszystko świst śmigła.

Podhorski począł udawać zniecierpliwienie. Powstawał, wspinał się na palce, wychylał się na boki, jak gdyby chcąc zbadać przyczynę opóźnienia towarzysza.

Wreszcie zeszedł na dół.

Za krótką chwilę był z powrotem. Na twarzy jego malowało się wzburzenie.

Gorączkowemu ruchami wyszarpnął z pod siedzenia hermetycznie zamknięte pudło i wyciągnął zeń bandaże i watę.

Podniósłszy głowę, dostrzegł dwie pary oczu, niespokojnie obserwujących jego ruchy. Japończycy zaczęli coś mówić, lecz on machnąwszy w ich kierunku ręką, błyskawicznie zsunął się po skrzydle na ziemię.

Na wszelki wypadek drzwi kabiny były od zewnątrz zamknięte.

Ujrawszy Wiecheckiego, **Podhorski** parsknął śmiechem. Obfite zwoje bandażu pokrywały głowę. W jednym miejscu, tuż opodal skroni, widniała duża, czerwona plama, znacząc miejsce rany. Cała prawa strona głowy, szyja i skórzana kurta złane były obficie krwią. Na artystycznie „zrobionej” twarzy malowała się

bladość. W rękę Wiechecki trzymał niewielki kamień, którego ostry brzeg zawalany był krwią.

— Zostawiłem trochę szlachetnej krwi cielaka, abys powalał sobie nią końce palców — rzekł, wskazując stojącą na uboczu butelkę. O niczem nie zapomniałem... mógłbym być śmiało inspicjentem nawet w stołecznym teatrze — dorzucił chełpliwie.

Zapalił papierosa.

— Jeszcze pół minuty! — rzekł z przekonaniem. — Takiego solidnego opatrunku nie można przecież zrobić w ciągu dwóch trzech minut. Niech się tymczasem żółtki dłużej irydują. No, schowaj tę watę i bandaże i szykuj się, Stefek, do rozmowy z czcigodnymi gośćmi.

Zgasił papierosa i rozciągnął się na ziemi o parę kroków od śmigła. Przymknął oczy, rysy twarzy ściągnęły mu się po mistrzowsku odegranym bólem.

Stefan patrzył na niego z podziwem. Przeobrażenie było tak nagłe, że mimo woli wstrząsnął nim dreszcz lęku. Przed chwilą stał przed nim kipiący życiem człowiek — teraz miał przed sobą zmaltretowany łachman ludzki... widmo grozy i śmierci..

Opamiętał się jednak szybko. Resztą krwi powalał sobie dłonie, pochował watę i bandaże, poczem biegiem udał się do kabiny. Udał wielkie zniecierpliwienie, znajdując drzwi zamknięte od zewnątrz. Otworzył je znalezionym w kieszeni kluczem i wsunął głowę do kabiny.

Japończycy rzucili się ku niemu.

— Nieszczęście! — krzyknął sztucznie wzburzonym głosem. — Ostry kamień wyrwany z ziemi pędem śmigła zranił niebezpiecznie w głowę mechanika! Rana głęboka, krwi wyciekło masę! Zdołałem jednak zatamować ją, nakładając opatrunek! Ale wciąż jeszcze jest nieprzytomny. Przeszedłem prosić panów, aby

pomogli mi przenieść rannego do kabiny... sam stanowczo nie dam rady.

Obaj Japończycy okazali wielkie przejęcie się wypadkiem. Niebawem wwindowano z trudem Wiecheckiego na skrzydło aparatu.

— Nie sposób sadzać go obok mnie... zsunie się niechybnie. Chyba, że panowie pozwolą umieścić go w kabinie? Przednie dwa siedzenia urządzone są w ten sposób, że w każdej chwili można urządzić z nich coś w rodzaju kanapki.

Japończycy zgodzili się z wielką skwapliwością. Jeden z nich pochylił się nad rannym.

— Wielkie osłabienie, z powodu upływu krwi — skonstatawał po paru sekundach obserwacji.— Kieliszek mocnego wina dodałby mu sił i doprowadził do przytomności.

Podhorski rozłożył ręce.

— Naturalnie... ale skąd tutaj może być wino?

— Prohibicja! — zaśmiał się drugi sięgając do sakwojażu.

Wyjął sporą butelkę i niewielki metalowy kubek.

— Daj mu napić się tego... powinien odzyskać przytomność — rzekł, podając napelniony płynem kubek.

Podhorski począł ostrożnie wlewać Wiecheckiemu płyn do ust.

Połknął wszystko.

Trzy głowy pochyliły się nad leżącym, którego powieki począły drgać lekko. Po chwili rozwarł je i powiódł naokoło błędnem, nieprzytomnym spojrzeniem.

— Jakże się pan czuje? — zapytał Stefan.

Wiechecki poruszył kilkakrotnie wargami,

lecz ani jeden dźwięk nie doszedł do uszu nasłuchujących. Jeszcze minuta i przymknął oczy, jak gdyby zapadając w omdlenie.

— Śpi — zdecydował jeden z Japończyków.

— Uhm! — mruknął drugi. — To po sake. Sake dobra wódka!

Towarzysz jego z całym przekonaniem skinął głową.

— Będzie spał jak zabity do samego Santa Fe — rzekł tonem, który nie pozwalał wątpić w prawdę jego słów.

Podhorski wyprostował się.

— Zaraz ruszamy. Straciliśmy dobrą godzinę czasu. Lecz postaram się nadrobić opóźnienie.

Rozejrzał się po kabinie.

— Sądzę, że dla rannego, a zwłaszcza w głowę, mogą być niepożądane odgłosy motoru, dolatujące tutaj z zewnątrz. Może więc panowie pozwolą, że zasłonię okna specjalnymi tłumiącymi dźwięki zasłonami. Takimże materiałem wybita jest cała kabina. — Przekreślił kontakt lampki umieszczonej na suficie. Lampka zapali się z chwilą puszczenia motoru w ruch.

Po krótkiej chwili A. J. poderwał się lekko z ziemi i poszybował na południo-wschód.

A w kabinie samolotu Wiechecki grał nadal swą ostatnią rolę, lecz najtrudniejszą z tych wszystkich, jakie kiedykolwiek przyszło grać mu w życiu.

ROZDZIAŁ VI.

Jane nie poznawała teraz formalnie Stefana.

Był jak zawsze zakochany. Podczas krótkich, rzecz można, kradzionych spotkań patrzył na nią temi samymi, jak dawniej, źrenicami, w których malowało się bezgraniczne przywiązanie. Słowa jego były równie szczerze, jak w chwili, gdy w cienistym parku

uniwersytetu w Cincinnati mówił jej po raz pierwszy o swej miłości.

A jednak?

A jednak intuicja kobiecego serca mówiła jej, że w Stefanie dokonała się jakaś zmiana.

Stał się małomówny i osowiały, on, którego dowcipy obiegały ongi wszystkie sale uniwersyteckie, wywołując w nich wybuchy homerycznego śmiechu.

Pozatem był teraz niezwykle roztargniony.

Jane dostrzegła najwyraźniej, jak po kilkunastu minutach rozmowy, prowadzonej zazwyczaj półgłosem w ustroniach parku, spojrzenie Stefana z każdą chwilą stawało się coraz bardziej obojętne.

Nie było ono jednak bezmyślne,

Jane pojmowała doskonale, że obojętność ta wynikała z zaabsorbowania mózgu jedną, lecz nadzwyczaj intensywną myślą.

Intensywność ta musiała być rzeczywiście niezwykłą, skoro zdarzało się częstokroć, że Stefan urywał nagle w pół zdania rozmowę, zamyślając się tak mocno, że z odrętwienia tego budziła go dopiero zniecierpliwiona dziewczyna kilkakrotnie powtarzając jego imię.

Częstokroć z zaciśniętych jego warg wydobywał się cichy przejmujący jęk, a dłoń nerwowym ruchem tarła zachmurzone czoło, jakby pragnęła usunąć stamtąd to „coś“, co nie pozwalało mu być takim, jakim był jeszcze przed paroma miesiącami.

Zmienił się również i zewnętrznie.

Wychudł, szerniał, źrenice uciekły mu w głąb oczodołów.

Wreszcie Jane postanowiła wyświecić tę wielce niepokojącą sprawę.

Zapytała go tedy wprost o przyczynę zmiany, jaka w nim nastąpiła od pewnego czasu.

Zmieszał się tak, że przez chwilę nie mógł wypowiedzieć słowa.

Począł wreszcie, starając się być swobodnym, tłumaczyć zmiany, które jakoby w nim zauważyła, urojeniem jej trochę nerwowej i fantazjującej główki.

Wreszcie dostrzegłszy, że słowa jego potęgują tylko coraz bardziej niedowierzanie dziewczyny, oznajmił, że rzeczywiście ostatnimi czasy dużo pracował, aby dogonić kurs uniwersytecki, co łącznie z codziennymi prawie lotami, nadwerżyło dość dotkliwie jego zdrowie.

Prawdziwa przyczyna była jednak inna, zupełnie inna.

Oto, pomimo figła wypłatanego na pustyni Mohawe pasażerom samolotu A. J., nie mógł dotąd uchylić rąbka zasłony pokrywającej tajemnicę Twyforda, jak trafnie przewidywał, i Waringtona.

Wiechecki, posiadający świetną pamięć, powtórzył mu dokładnie rozmowę Japończyków.

Tyczyła się ona przeważnie postulatów, jakie Japończycy mieli wyłożyć na konferencji. Całkowite wycofanie się białego żywiołu z Azji, Australii i archipelagu wysp, leżących pomiędzy te-mi dwiema częściami świata. Pozostawienie Japonii prawa hegemoni na omawianych terenach.

Stany Zjednoczone miałyby także same prawa w Europie, Afryce i obu Amerykach.

Słowem zupełnie jasno postawiona kwestia podzielenia sfery wpływów.

Wiechecki zaznaczył, że sami Japończycy przyznawali w rozmowie między sobą, iż jest to plan gigantyczny i trudny do urzeczywistnienia. Zgadzał się obaj z tem, że tylko kompletne osłabienie Europy powinno stać się podstawą, na której budowa-

nie jakichkolwiek trwalszych nadziei mogłoby posiadać wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

Wiechecki przekonał się poza tem, że pasażerowie A. J. nie wiedzieli nic konkretnego o najważniejszym szczególe całej sprawy, a mianowicie o samym projekcie zniszczenia Europy, jakkolwiek z rozmowy ich łatwo dało się wywnioskować, że fakt istnienia takiego planu jest im znany.

Tajemnica zatem kryła się poza drzwiami gabinetu Twyforda.

Wiecheckiego, który pozostał w Santa Fe przez wszystkie cztery dni narad Twyforda z Japończykami, niesłychanie zaintrygowały słowa profesora, posłyszane w gabinecie Twyforda przez Podhorskiego.

Godzinami całemi spacerował po pokoju jednego z podrzędniejszych hotelików w Santa-Fe, analizując każde słowo Wartingtona. Urywek zdania o szybkości prądu w cieśninie nasunął mu wreszcie na myśl przypuszczenie, że niezawodnie Wartington wynalazł jakiś nowy rodzaj statków wojennych, przewyższających swą niszczycielską siłą wszystko to, co dotychczas stosowano na tem polu.

Może jakieś olbrzymy - pancerniki o ścianach, pokrytych jakimś nowowynalezionym metalem, wobec którego największe granaty dział przeciwnika okażą się bezsilne? Może nowy typ łodzi podwodnej, udoskonalony tak dalece, że myśl o ucieczce przed nią, lub zniszczeniu jej byłaby mrzonką?

Lecz Podhorski nie podzielał zdania swego starego nauczyciela. Przeczucie mówiło mu, że rzecz przedstawia się całkiem inaczej.

Od czasu powrotu do Waszyngtonu absorbowwała całą jego energię i inteligencję jedna tylko myśl: wydrzeć Twyfordowi jego tajemnicę, chociażby za cenę własnego życia.

Nic też dziwnego, że takie bezustanne przetrwanie jednej i tej samej myśli wpłynęło na dostrzeżoną przez Jane zmianę jego dotychczasowego usposobienia.

Rozumiał doskonale jej niepokój i w duchu zgadzał się z tem, że dziewczyna ma prawo domagać się odeń całkowicie szczerych wyjaśnień.

Lecz czy w wypadku tym mógł być szczerzy? Czyż mógł powiedzieć swej Jane, że ojciec jej wraz z innymi knuje zbrodniczy zamach na szczęście, spokój, a może nawet i życie milionów niewinnych ludzi?

Czyż nie byłoby z jego strony największą lekkomyślnością oznajmić jej, że on poczuwa się do obowiązku przeszkodzenia Twyfordowi w jego zamysłach?

Jane kocha go... to prawda, lecz niewiadomo, czy przywiązanie do rodzica nie wzięłoby góry nad miłością ku niemu?

Zresztą sama świadomość, że kocha wroga swego ojca, mogłaby wstrząsnąć podstawami jej uczucia.

Więc też obecnie, widząc, że bajeczka o nadwątłym wskutek przepracowania zdrowiu nie znalazła również u Jane wiary, czuł się jak gdyby schwytany w potrzask.

Podniósł dłoń Jane do ust i wycisnął na niej długi, szczerzy pocałunek.

— Nie pytaj, droga, o nic! Niechaj ci wystarczy to jedno, że kocham cię zawsze jednakowo! — szepnął z gorącą prośbą w głosie.

Przytuliła się doń ufnie, jak małe dziecko.

— Wiem o tem, Stef, lecz tak mi smutno... tak smutno, gdy widzę cię takim innym... tak niepodobnym do dawnego Stefa z Cincinnati — skarżyła się cichutko.

Przeciągnął kilkakrotnie pieszczotliwie dłonią po gęstwinie jej niesfornej czupryny.

Po upływie pół godziny Jane uspokoiła się na tyle, że przyrzekła uroczyście nie przywiązywać wagi do jego dziwaczenia się, jak określał swój stan obecny.

W najdokładniejszej harmonii wracali strzyżonym szpalerem, wychodzącym na niewielki gazon, pośrodku którego była fontanna.

Tutaj zwykle następowało pożegnanie. Jane szła lewą stroną gazonu i po przejściu grabowej alei znajdowała się już obok kortu tenisowego. Podhorski przeczekiwał zwykle w szpalerze kilkanaście minut i, minąwszy następnie gazon, zaszywał się w najbliższą część parku, zarośniętą i dość ciemną. Tędy, niepostrzeżenie dostawał się do głównej poprzecznej alei.

I teraz właśnie, jak zwykle, chciał zatrzymać się u wylotu szpaleru, aby pożegnać Jane, gdy nagle... w tymże samym momencie ujrzał naprzeciw nich dążącą lady Strathdon.

W jednej sekundzie dostrzegł i ocenił niebezpieczeństwo. Wścibska lady bez wątpienia podejrzliwie zapatrywać się będzie na ich sam na sam, tem bardziej, że w ostatnich kilku dniach wydawała się nadąsana na niego.

— Jane... niebezpieczeństwo, uważaj! — szepnął przyjmując zarazem postawę służbisty.

— Tak miss! nie jest to łatwe... o nie! Nie radziłbym miss brać się do tego! Najprzykrzejsze jest zapoznawanie się z silnikiem. Drobiazgowa i trudna rzecz. Miałem co prawda koleżanki na kursie, ale, jak było ich zrazu trzydzieści dwie, to do ukończenia kursu pozostało zaledwie pięć. Nie radziłbym miss! — paplał jak najęty, udając, że nie dostrzega znajdującej się już o parę zaledwie kroków lady.

Nastąpiło spotkanie.

Na widok lady odegrał po mistrzowsku zadziwienie.

— Przepraszam stokrotnie lady za swą nieuwagę — rzekł, kłaniając się z szacunkiem.

— Och... zajęty był pan tak rozmową! — zaśmiała się swobodnie, bez cienia urazy w głosie.

Podniósł na nią poważne spojrzenie swych stalowych oczu.

— Tak... właśnie odradzałem miss zamiar zdobycia patentu pilota. Miss sądziła, że to przychodzi bez trudu, więc sprostowałem jej mylnie co do tego pojęcie — mówił, skłaniając lekko głowę przed zarumienioną Jane.

Lady Mabel spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Jak to! Ty, Jane miałybyś taki zamiar? Szaleństwo! Ojciec sprzeciwiłby się temu stanowczo.

— Toż samo właśnie mówiłem miss Jane. Pierwsze loty nie należą do bezpiecznych — wtrącił Podhorski z uśmiechem.

— Ależ naturalnie — gorączkowała się lady. — Co też ci przyszło do głowy?

Rumieńce Jane poczęły się zwiększać z niepokojącą szybkością. Stała, zmieszana, nie mogąc wymówić ani słowa na swą obronę. Z ust jej wybiegały poszczególne, nie wiążące się w całość słowa, z których lady nic zrozumieć nie mogła. Zdziwiło ją to. Znała Jane, jako czupurną, rezolutną dziewczynę.

Czemu więc teraz na twarzy jej maluje się takie olbrzymie zmieszanie? Wygląda na to, jak-gdyby była zaskoczona słowami swego towarzysza.

Zaledwie dostrzegalny błysk niedowierzania zatlił w ciemnych źrenicach lady. Ujęła Jane w pól i ucałowała serdecznie.

— Wybrałam się na małą przechadzkę, musisz mi towarzyszyć, dobrze? — rzekła. — A może i pan... będziemy wspólnie odwozić Jane od niefortunnego zamiaru, jaki wylągl się w jej główce.

Lecz Podhorski, który o ósmej miał spotkać na dworcu przybywającego dzisiaj do Waszyngtonu Wiecheckiego, wymówił się koniecznością zlustrowania aeroplanu przed jutrzejszym rannym lotem do New Yorku.

W godzinę później lady Mabel wiedziała już wszystko. I to, że Burlington nie jest prawdziwym Burlingtonem, że prawdziwe jego nazwisko brzmi Podhorski i przyjął obecne stanowisko pilota tylko dlatego, aby móc znajdować się w pobliżu ukochanej.

Jane ujęta dobrocią ciotki i umiejętnie przez nią wzięta na spytki, wyjawiała jej wszystko z ufnością czystego, nie znającego fałszu serca.

Lady Mabel zawyrokowała, że cała ta sprawa pociąga ją swą romantycznością i oznajmiła Jane, aby ta odtąd uważała ją za swego zdecydowanego sprzymierzeńca.

Tymczasem Podhorski, zaszywszy się z Wiecheckim w zaciszny kąt dworcowej kawiarni z chciwością wysłuchiwał relacji starego nauczyciela, który sprawą Twyforda przejął się niemniej gorliwie od niego.

Z Santa - Fe wpadł na parę dni do siebie, a następnie wyruszył na śledzenie Wartingtona, a raczej jak stwierdził, na wytropienie jego śladów.

Pojechał przeto na Florydę do Tampa, gdzie mieszkał stale profesor.

— Tam dowiedziałem się ciekawych rzeczy — opowiadał. — Udając poszukującego miejsca kamerdynera, zaprzyjaźniłem się ze służącym Wartingtona, pod którego opieką pozostawił profesor cały dom. Pocziwina fągas lubił od czasu do czasu łyknąć coś antiprohibicyjnego. O to łatwo na Florydzie, ale dość słono kosztuje. Nie żałowałem jednak pieniędzy i prawie codziennie wypróżnialiśmy razem jedną, a czasem i dwie butelki whisky. Naturalnie libacje te odbywały się zawsze w domu profesora.

Pociągnął raz i drugi ze swej ulubionej fajeczki i mówił dalej.

— O czym najchętniej rozprawia pomiędzy sobą służba? Wyłącznie o swych panach! To samo czyniliśmy i my. Ja opowiadałem mu niestworzone historie o ambasadorach, lordach i miliardarach, u których jakoby służyłem, a on psy wieszał na swym profesorze. Podobno bestia strasznie zła i dokuczliwa. Pociąłem fagasa ciągnąc za język. Profesor jest hydrotechnikiem, lecz od dawna już nie pracował w tej dziedzinie. Dopiero dwa lata temu opanowała go prawdziwa furja pracy. Całe pięć miesięcy w pierwszym roku spędził na wyspach Bahama, dokonując bezustannych pomiarów morza, pomiędzy tymi wyspami a Florydą. Specjalnie zakontraktowanym stateczkiem czynił pomiarowe wyprawy wzdłuż brzegów Florydy, aż po przylądek Hatteras. Wszystko to robił sam, mając do pomocy tylko owego służącego. Po powrocie do domu, przez całą jesień i zimę robił obliczenia, kreślił, rysował. Następnego roku także sama naukowa wyprawa, lecz już na północ. Również pięć miesięcy przebyli na ziemi Baffina, czyniąc pomiary od brzegów jej aż do Grenlandii... dasz wiarę... do samej Grenlandii.

Wiechecki z każdą chwilą coraz bardziej podniecał się swym opowiadaniem. Niewielkie jego oczka błyszczały zapalem i uporem. Uderzał zapamiętałe dłońią o blat stolika.

— Głupi byłem jak but, upierając się przedtem, że Warrington wynalazł jakieś statki... jakieś łodzie podwodne! Absurd! Wstyd mi teraz za siebie! On wymyślił rzecz o wiele poważniejszą. Pomysł jego to szczyt potworności, to coś takiego, co przechodzi ludzkie zrozumienie!

Nieliczni goście poczuli spoglądać ciekawie ku ich stolikowi. Podhorski spostrzegłszy to, kilkakrotnie słowami ostrzeżenia doprowadził towarzysza do równowagi.

Stary parsknął jeszcze i sapał, lecz niebawem i te objawy uniesienia poczęły powoli słabnąć.

— Uniosłem się — rzekł po chwili. — Ale nie ręczę, czy ujrzawszy przed sobą tego arcy-zbrodniarza, nie zdusiłbym go własnymi dłońmi, jak szczeniaka! Czy wiesz co on planuje? — zapytał szeptem, przechylając się ku Stefanowi. — Wiesz? No... to ja ci powiem, dając swą głowę w zastaw, że to prawda! — przysunął usta do jego ucha i wyszeptał dobitnie:

— Planuje... zamrożenie Europy!

I począł rozwijać przed Stefanem swoje argumenty, potwierdzające jego odkrycie. Warington, hydrotechnik, więc nic dziwnego, że wpadł na taki pomysł. Zrozumiałe również są teraz zasłyszane przez Podhorskiego słowa profesora o złem obliczeniu szybkości prądu. A teraz pomiary w cieśninie Florydy, koło wysp Bahama i dalej? Czyż to nie są dowody zupełnie wystarczające? Warington nie podejmowałby przecież takiej pracy, li tylko dla fantazji! Zresztą, jak zaznaczył Wiechecki, sługus profesora, wyraźnie opowiadał, że jego pan, ukończywszy swą pracę, zapakował wszystkie papiery, nie pozostawiając najmniejszego świstka, do wielkiej, skórzanej teki, a wyjeżdżając zapowiedział, aby wszystkie listy odsyłać mu do Waszyngtonu do domu Twyforda.

Czyż to nie jest najwyraźniejszym dowodem, że pomysł profesora, ów wielokrotnie już poruszany projekt odwrócenia drogi Golfsztromu, opracowywany jest obecnie w willi Twyforda?

Argumenty Wiecheckiego oparte były na tak mocnych podstawach, że Podhorski nie mógł nie przyznać im słuszności

Pałała go gorączka czynu. Oto, skoro tak dalece przeniknęli plan Twyforda, należało bez straty czasu pchnąć tę wieść do Europy. Niech wiedzą tam, że zbliża się burza, przewyższająca swą grozą wszystko to, co dotąd wysnuć zdołała ludzka fantazja!

Należy ich uprzedzić o tem! Niech się bronią... niech zaradzą złemu póki jeszcze czas!

Najlepiej przez które z poselstw europejskich... przez ambasadę polską... na przykład!

Wiechecki skrzywił się jak gdyby napój, który cedził co chwila z kieliszka, nie był przemycanym koniakiem, a zwykłym octem.

— Nadto prędko, mój chłopcze! — gderał

— i jeszcze przez poselstwa! Fiu... fiu! Cóż ty sobie myślisz? Sądzisz może, że panowie dyplomaci przyjmą cię zaraz z otwartymi rękami i uwierzą twym słowom? Co... hę?

Ironiczny ton Wiecheckiego poirytował Stefana.

— No... chyba! Przyjmą tak, jak się przyjmuje człowieka, który przynosi zbawcze wiadomości! — odparł porywczo.

— Tere - fere, jak mówili nasi dziadkowie!

— ciągnął chichocząc Wiechecki. — Na wstępie każdy taki dyplomata, do którego się zwrócisz, wykpi cię, bo to ich zwyczaj, którego przestrzega pilnie tak sam poseł, jak i jego sekretarz i maszynistka.

— Czemu? — irytował się Stefan, sądząc, że stary drwi z niego.

— Czemu? — powtórzył Wiechecki — a to dlatego, że inaczej drudzy by z nich kpili! Rozumiesz! Taki pan ma przeto zawsze na twarzy uśmiezek w miarę lekceważąco - drwiący, który znakomicie oneśmiela innych. A pozatem usiłuje niczemu się nie dziwić, chociaż zazwyczaj w głębi duszy jest zdumiony, jak małe dziecko, które po raz pierwszy zobaczy balonik, albo konia na kółkach.

Pociągnął z kieliszka i, nabijając nową fajeczkę, mówił dalej:

— Powiesz takiemu panu, że właśnie przed godziną wydarzyła się straszna katastrofa na stacji X, a on ani okiem mrugnie.

Wreszcie z całą powagą powie ci, że w poselstwie spodziewano się tego od dawna, gdyż przed trzema laty właśnie na tejże stacji holenderskiemu ambasadorowi... skradziono psa myśliwskiego.

Podhorski wzruszył ramionami.

Wiechecki spojrział na niego zezem.

— Nie wierzysz, dobrze! Pogadaj z nimi, a po paru minutach takiej rozmowy będziesz zmykał, gdzie pieprz rośnie! Owszem... spróbuj!

— No, dobrze, dobrze! — temperował gadatliwość starego Stefan. — Ale przecież coś trzeba przedsięwziąć!

— Ba! — bąknął, namyślając się Wiechecki. — Już wolałbym pogadać z jakimś attache wojskowym... ci ludzie mają przynajmniej ścisły, logiczny system myślenia i trafność oceny. Ale uważam, że niema się co tak gwałtownie śpieszyć! Inaczej będzie się przedstawiała ta cała sprawa, gdy będziemy mieli dowody w ręku!

Podtrzymawał swe słowa ważkimi argumentami. W rezultacie rozeszli się, obiecując sobie wzajemnie wypracowanie do jutra przez każdego planu, mającego na celu zdobycie dowodów.

Stefan wsiadł w taksówkę, nie chcąc zbyt późnym powrotem do domu zwracać uwagi służby-

Szwajcar, który otwierał mu furtkę, oznajmił, że cały dom jest prawie pusty, gdyż wszyscy poszli na mecz bokserki Simpson contra Ben Joyce.

— Jak to? — zdziwił się Podhorski. — I mister Twyford również?

Szwajcar wyjaśnił mu, że Twyford z profesorem i trzema paniami, którzy bawili dzisiaj tutaj od południa, wyjechał ekspresem do Filadelfii .

Wolnym krokiem szedł Stefan przez grabową aleję parku. Wszędzie było ciemno i cicho. Przechodząc obok skrzydła pałacyku, zajmowanego przez Twyforda i sztab jego pracowników, rzucił wzrokiem na ciężkie stalowe żaluzje, zachodzące głęboko w mur. Żaluzje te założono dopiero przed paru dniami. Twyford nie zapomniał jednak o środkach ostrożności.

Dochodził już prawie do swych drzwi, gdy nagle prawie że tuż obok niego rozległo się ciche, kobiecym głosem wypowiedziane: „Mister Podhorsky”.

Wstrząsnął się cały *i* zamarł w kamiennym bezruchu.

Oczy jego błędziły po czarnej gęstwinie zieleni, usiłując dostrzec istotę, która nazwała go tutaj tem nazwiskiem.

— Mister Podhorsky! — zabrzmiało po raz wtóry. — Proszę bliżej.

Na kamiennej ławce, stojącej u końca alei, majaczyła szara postać.

Rzucił się ku niej, łudząc się jeszcze nadzieją, że to Jane, chociaż ton głosu był zupełnie inny.

Pochylił się nad siedzącą i omal, że z piersi jego nie wyrwał się okrzyk zgrozy.

Miał przed sobą lady Mabel Strathdon.

— Jak pani mnie nazwała? — rzucił, chwytając jej dłonie i potrząsając niemi raz po raz.

— Tak, jak brzmi pańskie prawdziwe nazwisko — odparła swobodnie. — Ale proszę usiąść... czemuż pan stoi?

Usiadł obok, starając się uniknąć jej spojrzeń. Zdawało mu się, że w ciemnych źrenicach lady, jak złośliwie djabliki, skaczą iskry wesołości, pomieszanej z piekącą ironją.

Był tak oszołomiony tern, co zaszło, że przez długą chwilę siedział, milcząc, chociaż wewnętrzne wzburzenie, graniczące prawie z wściekłością, wstrząsało nim całym.

Ona snąć dostrzegła to, gdyż miękkim ruchem położyła rękę na jego dłoni.

Cofnął dłoń gwałtownie, jak gdyby pod dotknięciem czegoś wstrętnego.

--- Niepotrzebnie się pan denerwuje, mister

Stef! To raczej może tylko pogorszyć pańską sytuację — wycodziła jadownicę przez zęby.

— Pani mi grozi! — syknął, powstając. Ruchem ręki zmusiła go do pozostania na miejscu.

— Jeszcze nie... ale zapewne przyjdzie do tego. Zresztą, to zależy będzie wyłącznie od pana

— tłumaczyła, starając się łagodniejszym brzmieniem głosu zatrzeć wrażenie poprzednich swych słów.

— Porzucmy już te łamigłówki! Jestem pewien, że pani przyszła tutaj w określonym celu, więc najlepiej będzie, jeśli przystąpimy od razu do rzeczy — rzekł spokojnie. — Słucham więc! — dorzucił po chwili.

— Dobrze — odparła wyzywająco.

Zapaliła papierosa i przez chwilę zajęta była wyłącznie narkotyzowaniem się wonnym jego dymem.

— Domyśla się pan chyba wszystkiego? — rzuciła, jak gdyby odniechcenia.

— Niczego się nie domyślam i dlatego czekam na rzeczową rozmowę — odparł zimno.

— Tak... a więc niechaj pan słuchał. Wiem, że pańskie prawdziwe nazwisko brzmi nie Burlington, a Stefan Podhorsky..., wiem również, w jakich okolicznościach przeobraził się pan w zmarłego przyjaciela. Dalej... wiem, co spowodowało pana do zmiany nazwiska i do wdarcia się do tego domu!

Umilkła i utkwiała w nim swe fosforycznym blaskiem świecące w ciemnościach źrenice.

— Jane... nikt inny, tylko Jane! — bolesnym zgrzytem przewinęła się natrętna myśl pod czaszką. — Jak ona mogła, jak mogła...! — dygotał wewnętrznym oburzeniem.

Blask księżyca przedarł się przez zbitą gęstwinę liściastego sklepienia, padając na twarz lady.

Wzdrygnął się. Spozrzegł uśmiezek zadowolenia. Jednocześnie tyle perfidii malowało się na jej wargach, że nietrudno było domyślić się, iż młoda, niedoświadczona dziewczyna musiała ulec przed przebiegłością lady.

Ogarnął go taki szał wściekłości, że mimowoli pochylił się gwałtownie ku niej, rozwierając drapieźnie palce, jak gdyby zamiarem jego było chwycić ją za gardło

Odsunęła go lekkim ruchem ręki.

— Chce mnie pan zamordować? — śmiała się cicho. — Bagatela. Na to zawsze będzie miał pan czas. A teraz proszę się uspokoić i wysłuchać w skupieniu tego, co powiem! Otóż, jak panu już wiadomo, wiem wszystko! Jestem pewna, że gdybym powtórzyła te rewelacje komuś, nie czułby się pan wówczas zbyt bezpiecznie...

— Wiem... Twyfordowi! — wtrącił.

Skinęła potakująco głową.

— Tak... memu szwagrowi. Znam go dobrze i dlatego twierdzę z całym przekonaniem, że wiadomość uderzyłaby weń, jak grom, wywołując uczucie wściekłości i zemsty. Czekalaby pana sprawa karna o sfalszowanie dokumentów i wdarcie się za ich pomocą do domu Amerykanina. Mógłby pan, co prawda, nadać sprawie zabarwienie romantyczne ze względu na Jane. Ale nie na wiele by się to przydało. Opinia publiczna stanęłaby bezwzględnie przeciw panu, gdyż chodzi tu, bądź co bądź, o zamach

na kobietę... tak ogół tłumaczyłby pańskie intencje. Wyrok potępiający pewny, a przy stosunkach Twyforda i znanej stronnictwa tutejszych sądów czeka pana dziesięć, co najmniej, lat w Sing-Singu.

Urwała i przez chwilę gładziła dłonią włos długiej etoli zwieszającej się jej z ramion.

— A gdyby jeszcze mój szwagier dowiedział się, że pana interesuje jego tajemnica, to... wzru-97 szyła lekko ramionami, podnosząc równocześnie wzrok w górę, jak gdyby szukała w gęstwinie liści dokończenia swych myśli.

— To... — poddał Podhorski.

— To nie wiem, czy w ogóle opuściłby pan już kiedy mury Sing-Singu — dokończyła twardo.

— Ha... ha... ha...! — zaśmiał się zimno. — Gzy pani wyobraża sobie mnie w Sing-Singu? Istnieje przecież jedyny, co prawda, ale niezawodny środek, aby uniknąć tej przyjemności!

— Wiem i o tem, ale to już ostateczność — odparła.

Dostrzegł, że coś jak gdyby drzenie wplątało się do, przed chwilą jeszcze tali pewnego, głosu lady.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

Podhorski palił papierosa jednego po drugim.

Wreszcie rzucił tonem lekkiego zniecierpliwienia.

— Czekam na część drugą! Sądzę, że nie mówiłaby mi pani tego wszystkiego, co słyszałem, gdyby nie miała oznajmić mi czegoś więcej. Nie myślę się, wszak prawda?

Skinęła poważnie głową.

— Pan rozumuje zupełnie logicznie. Rzeczywiście będę miała do powiedzenia jeszcze parę słów — odrzekła niezmiernie — proszę pana tylko o papierosa, gdyż swoje już wypaliłam.

Rzecz prosta, że te wszystkie nieprzyjemne dla pana ewentualności będą miały miejsce w tym tylko wypadku, gdy powiado-

miłabym Twyforda o całej tej aferze — rozpoczęła, zaciągawszy się kilkakrotnie. — Otóż, jeżeliby pan pragnął uniknąć tego wszystkiego, musiałby pan spełnić pewne warunki, postawione przeze mnie...

— Spodziewałem się tego! — wtrącił z ironicznym uśmiechem. — Więc proszę o podanie ich! Jeżeli będą możliwe do przyjęcia, to....

--- Wszystko po głębszem rozważeniu jest dobrem — przerwała jego słowa.

— No... zobaczymy! — zauważył sucho.

Zaczerpnęła powietrza w piersi, jak gdyby przed dłuższem przemówieniem.

— Pierwszy warunek — zupełne zerwanie z Jane! Drugi... zostanie moim mężem! To wszystko!

Ostatnie słowa lady Mabel wprowadziły Podhorskiego w osłupienie. Co do zerwania z Jane, to pewnym był, że takie żądanie będzie wysunięte. Ale on mężem lady Stradthon! Nie, takiej propozycji jako żywo nie spodziewał się!

I nagle porwał go pusty, pełen młodzieńczej żywości i lekceważenia przeciwieństw śmiech.

Śmiał się tak szczerze i długo, że zniecierpliwiona i podenerwowana lady postanowiła położyć koniec tej wesołości.

Pochwyciła przeto za ramię Podhorskiego i potrząsnęła kilkakrotnie.

— Przestań pani To nie komedja, ani farsa! — syknęła ze złością.

— Właśnie, że farsa, wyborna farsa! — drwił, patrząc jej prosto w oczy.

— Zobaczymy, czy usłyszawszy jeszcze parę słów, będzie się pan śmiał nadał. Zapomniałam panu powiedzieć, że jako ślub-

ny upominek otrzyma pan ode mnie całkowite... szczegółowe wyjaśnienie tajemnicy Twyforda i Waringtona.

Zerwał się z miejsca, jak sparzony żywym ogniem.

Wszystkie poprzednie słowa lady, świadomość niebezpieczeństwa, pamięć o Jane... wszystko to znikło momentalnie z pod jego czaszki, jak gdyby wywiął je stamtąd jaki nagły powiew szalejącego wichru.

Pozostała tylko jedna myśl, tłukąca się jak szalona po komórkach mózgu, wypełniająca go Całkowicie swą potęgą i stałością.

Tajemnica Twyforda! Zupełne... całkowite jej wyjaśnienie!

— Jakim sposobem zdobyła ją pani? — pytał, cisnąc jej ręce w mocnym uchwycie swych dłoni.

Wybuchnęła cichym przekornym śmiechem.

— Aaaa! to już moja tajemnica, którą zresztą każdej chwili mogę panu wyjawić, o ile...

Umilkła i spojrzała nań znacząco.

Zachnął się niecierpliwie.

— Powtarza się pani. Chciałbym wiedzieć jedno tylko, jaki charakter, jaki rodzaj ma wyjaśnienie tajemnicy? Czy pani może powtórzyć tylko zasłyszane słowa, czy też posiada pani jakiegokolwiek dowody.....

— To ostatnie! — przerwała jego słowa. - Zdecydowawszy się, otrzyma pan odbitki fotograficzne planu Twyforda i Waringtona.

Cofnął się o krok z wrażenia.

— Odbitki planu...? — wyszeptał bezdźwięcznym głosem.
— Jakim cudem?

Wzruszyła ramionami.

— No więc, jakaż pańska decyzja? Dość daremnych słów!
— rzuciła, powstając zarazem, gdyż po drugiej stronie alei rozległ

się nagle gwar i hałas. To wielbiciele boksu wracali nie tyle z ringu, ile z potajemnych restauracyj i barów w których pomimo setek agentów prohibicyjnych, codziennie od wieczora do późnego ranka leje się strumieniami whisky i pieni szampan.

Udali się powolnym krokiem w głąb zarośniętej części parku, przechodząc następnie na plac tenisowy.

Tu zatrzymali się.

Lady Mabel zajęła miejsce w jednym z trzcinowych foteli, stojących naokół kortów.

Wskazała Stefanowi stojący obok taboret.

Nie poruszał się z miejsca, jak gdyby nie słysząc jej głosu.

Stał z założonemi na piersiach rękoma, wbiwszy wzrok w ziemię. Mrok pokrywał jego pochyloną twarz. Lady, pomimo usilnego wpatrywania się, nie mogła dostrzec, jakie uczucia miotają Podhorskim.

Domyśliła się tylko jednego. Oto w obecnej chwili staczał z sobą zaciętą... rozpaczliwą walkę!

Wyniku jej czekała z bijącym sercem... Kochała Stefana!

A on rzeczywiście zmagał się z sobą straszliwie.

Pierwsza jego miłość, szczere, idealne uczucie ku jasnowłosej dziewczynie, tęsknota i młodzieńcze marzenia, urok wyśnionego przyszłego szczęścia, wszystko to walczyło o swe istnienie z dalekimi, częstokroć nie wiążącemi się w całość, zasnutemi mgłą przeszłości wspomnieniami młodzieńczych lat.

Opowiadania ojca!

Hej... stają, jak żywe postacie bohaterów, mrących bez jęku, bez skargi, za wielką, świętą sprawę, szczęśliwych, że mogą na jej ołtarzu złożyć to, co mają najdroższego... życie!

Przechodzą szeregi tych, którzy z bezprzykładnym w dziejach uporem wędrowali dniami i nocami po skalnych szczytach i po bagnistych zdradliwych równinach, chroniąc i rozżarzając w

piersiach ową iskierkę wiary, że przejdą i dojdą, że Ta, z której imieniem na ustach padali tysiącami od kul i febry, powita w nich ludzi wolnych!

A po nich wysunęły się z ciemności milczące, szare gromady ludzi, bosych, napoły nagich, ślaniających się na nogach ze zmęczenia i głodu, uzbrojonych ladajako. Szli, a przed nimi w oddali majaczył śnieżny szlak mroźnej krainy. Ponad szlakiem tym unosił się w powietrzu brzęk kajdan i westchnienia utrudzonych piersi.

Aż wreszcie, jako ostatnie, nadbiegły hufce małych wojowników. Każdy z nich ugiął się pod ciężarem żołnierskiego tornistra, lecz biegł naprzód z nastawionym do ataku bagnetem. Były pomiędzy nimi i dziewczęta. Czternastoletnie i starsze nieco. Na jasnych ich twarzyczkach, zamiast figlarnego uśmiechu malowało się poświęcenie i zimna niezłomna determinacja. Zaciśnięte szablem bojowniczego uniesienia usta tych dziecięcych wojowników szeptały: „Nie oddamy! Nie oddamy!”

Głuchy szloch wyrwał mu się z piersi.

Szlochem tym żegnał raz na zawsze swe marzenia i tęsknoty, żegnał życie...

Szloch ten trwał zaledwie parę sekund.

Zbliżył się do lady Mabel i mówił zimnym, bez nuty jakiegokolwiek wzruszenia głosem.

— Przyjmuję pani warunki! Zerwę z Jane i zostanę pani mężem. Niechaj pani nie sądzi jednak, że czynię to z lęku! O, nie! To co innego! Przed chwilą walczyłem z sobą i odniosłem zwycięstwo.

Powstała żywo i posunęła się ku niemu.

Zatrzymał ją ruchem ręki.

— Zgadzając się, stawiam jednak swoje warunki — ciągnął dalej. — Jest ich dwa... oba, zdaniem mojem, możliwe do

przyjęcia. Pierwszy: wyjedziemy stąd jutro. Nie mógłbym spojrzeć w oczy Jane. Ja jutro lecę do New Yorku... Może pani lecieć wraz ze mną i tam zaraz możemy wziąć ślub. Stamtąd nadeślę Twyfordowi wypowiedzenie pracy.

— Po co? Natychmiast przecież wyjeżdżamy do Europy!
— tonem perswazji przerwała lady.

Skinął głową na znak zgody.

— Tem lepiej! Drugi warunek wyda się pani może dziwnym, lecz odstąpić odeń nie mogę. Oto... fotografie planu Twyforda muszę mieć ...dzisiaj!

— Dzisiaj! — powtórzyła.

— Czyżby mi pani nie ufała? — rzucił dumnie, prostując się.

Podbiegła doń i ujęła jego dłoń.

— Mister Stef! To brzydko z pańskiej strony przypisywać mi takie myśli! Wiem, że jest pan dżentelmenem i człowiekiem idei... wiem, jaką ofiarę uczynił pan dzisiaj ze swego serca... tacy ludzie nie kłamią! Więc i ja panu wierzę... wierzę naprawdę! Ale tu jest co innego! Oto te fotograf je trzeba zrobić dopiero!

— Ale jak?

— Plany, wykończone już, wiszą na ścianach pokojów, przyległych do gabinetu mego szwagra — odrzekła.

Zaśmiał się drwiąco.

— Ba — te rzeczy są nie tylko pani wiadome. I ja, na przykład, wiedziałem również, że rdzeń tajemnicy znajduje się w tych dwóch pokojach. Ale to nie rozwiązuje zupełnie sprawy. Jak się tam dostać? Ot co!

Przysunęła się doń bliżej, tak blisko, że uczył ciepło jej ciała, bijące weń natrętnie.

Ciszę parku przerwała nagle kaskada jej perlistego śmiechu.

— Ta właśnie sprawa nie przedstawia żadnej trudności! — szeptała. — Każdej chwili możemy znaleźć się w gabinecie... każdej chwili!

— Jakim sposobem? — rzucił zadziwionym tonem.

— Wprost z mojego pokoju — odrzekła. — Ilekroć przyjeżdżam tutaj, zajmuję zawsze dwa pokoje, równoległe z sypialnią i buduarciem mej zmarłej siostry. Drzwi tych czterech pokoi wychodzą na korytarz, który obiegał kiedyś dokoła gabinetu. Twyford, jeszcze za życia żony, przebił z gabinetu drzwi na korytarz. Znajdują się one na lewo od biurka, zasłonięte ciężką, adamaszkową kotarą. Klucz od tych drzwi posiada jeden tylko on. I otóż kiedyś, otworzywszy jedną z niezliczonych szuflad staroświeckiej toalety, znajdującej się w mojej sypialni, natrafiłam na klucz! Oka zało się, że to drugi klucz od przejścia Twyforda. Było ich zrazu dwa, lecz z czasem zapomniał o drugim. Odtąd co noc, zachowując naturalnie potrzebne środki ostrożności, śledzę swobodnie postępy prac około planu. Bezpieczeństwo zwiększyło się znacznie od czasu, gdy założono żaluzje. Najsilniejszy promień światła nie przedrze się na zewnątrz.

— Williams chory... tamci wrócili najwyraźniej podchmieni... Twyforda niema, profesora też... tak... dzisiaj tylko można tego dokonać.

Namyślał się jeszcze przez chwilę, poczem, ruszając nagle z miejsca, rzucił tonem, wykluczającym wszelki opór:

— Chodźmy!

Lady szła posłusznie obok niego.

Planując swą rozmowę z Podhorskim, była pewną, że pierwsze jej słowa tak go przerażą i obezwładnią, że zdruzgotany rzuci się do jej stóp, aby zebrać zmiłowania.

Myśl ta napawała ją radością.

Było w radości tej owo niskie, przyczajone w najtajniejszych skrytkach każdej duszy kobiecej uczucie triumfu z powalenia silniejszego od siebie.

Wówczas dusza kobieca promienieje dzikiem rozradowaniem, szepcząc do ucha nieszczęśnika słowa, łamiące jego ducha na zawsze. — Pyszny byłeś... mieniłeś się panem świata... mózg twój ogarniał pozaziemskie horyzonty... wdzieraleś się w łono ziemi... kruszyłeś góry na drobne szczątki ... odwracałeś bieg wód... wznosiłeś się zuchwale ku niebu... wydarłeś naturze wszystkie niemal tajemnice, pędziłeś wciąż naprzód, jak wichher, nie znający spoczynku... tworzyłeś... byłeś wielkim... byłeś wspaniałym, a jednak...! A jednak tarzasz się teraz u mych stóp, omotany misterną sięcią węzłów utkanych przez moje małe słabe ręce! Niemocen jesteś, jak niemowlę... giniesz, jak ptak, trafiony w locie niechybną strzałą!

Uczucie żmii, wpijającej swe jadowite zęby w ciało myśliwca, który się wybrał na lwy.

A do tego jeszcze żądza zemsty!

Dla niego przecież przedłużyła swój pobyt tutaj... tylko dla niego. A on unikał jej! Nie pomagały żadne wypróbowane tylokrotnie, niezawodne sposoby i sposobiki oczarowania go! Na nic się nie przydała kokieterja, na nic melancholijne, pełne treści spojżenia, półsłówka, mówiące wiele, bardzo wiele.

Pozostał zimny, niewzruszony.

Wreszcie spostrzegła, że kocha go naprawdę.

Rozbudzone zmysły wstrząsały nią całą, szalejąc w kipiącym warze młodej krwi.

Marzyła rozkosznie i cierpiała zarazem niewypowiedzianie.

Były momenty, gdy widząc go, skupiać musiała całą swą wolę, aby nie rzucić mu się na szyję, lecz zdarzały się również i takie

chwile, kiedy mściwa myśl rozkoszowała się widzeniem śmierci, zadanej mu jej własnymi dłońmi.

Zemścić się... zemścić!

Z mężczyzn mszczą się tylko tchórze, ułomni i jednostki obdarzone wygórowaną ambicją. Błaźni dawnych dworów królewskich i możnowładców, zazwyczaj garbaci, z powyłamywanymi rękami i nogami, znani byli z tego, że za każdą najmniejszą nawet, krzywdę lub przykrość im wyrządzoną zaprzysięgali w kalekich duszach zemstę i często... bardzo często nawet spełniali ją. W każdym krwawym przewrocie pałacowym, w każdym zamachu, spisku przewija się postać błazna-potworka, błazna-garbuska, błazna-karła, jako jednej z najbardziej ruchliwych sprężyn wypadku.

Kierowała nimi tylko żądza zemsty.

Mści się również tchórz.

Dla człowieka, który na samą myśl o niebezpieczeństwie mdleje z lęku, który z obawy o całość swej skóry nie chce zareagować w odpowiedni, skuteczny sposób, aby zdobyć dla siebie posłuch i znaczenie u innych, dla człowieka, który, ustępując i prawdzie i kłamstwu z drogi, żyje wciąż tylko samymi upokarzającymi kompromisami — dla niego zemsta jest jedyną bronią. Zemsta nie jawna, a w zamkniętej szczelnie przyłbicy. Zemsta „incognito”. Zemsta z oddali... skryta... niska... zemsta lękliwych serc i poziomych dusz!

Mścić się jednak potrafi naprawdę tylko kobieta!

Każda! I ta, która od rana do wieczora ma na ustach słowa miłości, poświęcenia i miłosierdzia.

Taka kobieta przebacza z tkliwym uśmiechem, ze łzami wzruszenia w oczach, a w pięć minut potem w swym karnecie notuje dokładną datę krzywdy lub urazy, darowanej niby przed chwilą, aby w swoim czasie przypomnieć ją komu należy.

W momentach zaś takich przypomnień kobieta przybiera na siebie postać może być hurysy, lub jednej z legendarnych Furyj.

Niewiadomo co gorsze!

Kobieta potrafi kryć się z myślą o zemście długo... dłużej, niż ze swym nowym romansem.

Myśl taka, to jedyna tajemnica, której kobieta nie rozpaple na prawo i na lewo.

Zemsta jest dla mężczyzny wyładowaniem wściekłości i uniesienia, dla kobiety zaś świętym obowiązkiem i ideą, zastępującą jej wszystkie inne.

Mężczyzna mści się odruchowo — kobieta z premedytacją.

Mszcząc się, mężczyzna zabija, kobieta torturuje.

Nieudana zemsta przyprawia mężczyznę o wybuch gniewu — kobietę zaś o chorobę,

Mszczącego mężczyznę mogą przebłagać łzy ofiary, mścicielowi można zaimponować odwagą i stoicyzmem, można go rozbroić żartem, trafnym powiedzeniem, można go zmienić wyniosłą obojętnością, na kobietę zaś takie rzeczy zupełnie nie oddziaływuja.

Łzy ofiary? Ależ o to właśnie chodzi! Niech ich roni jak najwięcej!

Odwaga? Pojęcie to nieznanne jest umysłowi kobiety. Nie lubi ona mężczyzn odważnych — według niej odwaga to dobrze zastosowane natręctwo.

Żart w takiej chwili kobieta będzie uważała za lekceważenie toczącej się akcji świętego obrządku zemsty.

Obojętność podnieca tylko okrucieństwo w duszy kobiety; wówczas do jednej zemsty dołącza się druga.

Mężczyzna mści się tylko raz — kobieta całe życie.

Umierając, mężczyzna przebacza swym wrogom — kobieta zabiera zemstę z sobą do grobu.

Kobieta, która rozpoczynając rozmowę z myślą o zemście, znajdzie się nagle w sytuacji, mającej cechy porażki, godna jest najwyższej litości.

Godną też litości była i lady Mabel.

Parokrotnie w duszy jej zrywał się nagły bunt, lecz zamilkł raptownie, pokrywany każdorazowo przez spokój i siłę, bijące od wyniosłej postaci Podhorskiego.

Zresztą nie było już na to czasu.

Stali przed lewym skrzydłem pałacu, gdzie mieściły się pokoje lady i zmarłej małżonki Twyforda.

— Ma pani naturalnie, klucz od drzwi wejściowych? — zapytał szeptem.

Skinęła głową potwierdzająco.

— Zaczeka tutaj pani na mnie... — mam u siebie aparat fotograficzny i nadzwyczaj czułe klisze... sądzę, że przy takim świetle, jakie jest w pracowni, ekspozycja będzie wystarczająca. Cała sprawa nie może trwać dłużej niż godzinę!

I rzeczywiście w godzinę później, przeprowadzony przez lady, opuszczał środkowe skrzydło pałacu, unosząc w kieszeni drogocenne klisze.

Przy wyjściu lady niespodziewanym, szybkim ruchem opłótła jego szyję kuszącym uchwytem swych rąk.

Nie uczynił nic, aby się oswobodzić z jej objęć... milczał tylko złowrogo.

— Stef! — szepnęła błagalnie, kładąc mu głowę na ramieniu. — Czyż za tyle dowodów poświęcenia nie otrzymam od ciebie żadnej podziękności... ani jednego nawet pocałunku?

W ciemnych jej źrenicach malowała się niemal potulna prośba. Widoczne było, iż z rezygnowała już zupełnie z przewagi, jaką powinny jej były dać zaszłe wypadki.

Była tylko kobietą, pragnącą zaskarbić sobie łaskę miłością i poświęceniem.

— Dzisiejsza moja pieśczoła byłaby tylko obłudą... nie kocham pani, a mężem jej jeszcze nie jestem — odrzekł, delikatnym ruchem zdejmując z ramion jej dłonie.

Skłonił się i odszedł szybko.

Lady rozmarzonym spojrzeniem ścigała jego smukłą postać, aż do chwili, gdy rozplynęła się w mrokach nocy.

Wówczas przeciągnęła się rozkosznie, wyciągając za nią dłonie.

— Już ja nauczę cię kochać! — szepnęły jej usta, drżące namiętnie na wspomnienie o oczekujących je rozkoszach.

Rozdział VII

Udając się rankiem na lotnisko, Podhorski wręczył odźwierzemu list do Jane i zapowiedział najsurowiej, aby oddał jej dopiero po powrocie z wykładów.

Obawiał się, że rozżalona dziewczyna pośpieszy za nim na lotnisko i złapie jeszcze przed odlotem.

Jakkolwiek zdecydowany był święcie dotrzymać lady Mabel słowa, jednak nie był pewien, coby uczynił, ujrzawszy przed sobą Jane.

Może zapomniałby o wszystkim... o danem lady słowne i porwałby na samolot ukochaną, aby skryć się z nią przed ludźmi... przed światem całym w skalistych załamaczach Sierra Nevada, lub na śnieżnych równinach Kanady.

Albo wzniosłszy się z Jane w górę poto tylko, aby tam na wysokości paruset metrów pochylić zbyt ostro aparat na wirażu i runąć na ziemię.

Wówczas byłby wszystkiemu koniec.

Opuściwszy pałacyk Twyforda, popędził na łeb na szyję do Wiecheckiego.

Stary, ćmiący w łóżku papierosa, od jednego rzutu oka poznał, że dawny uczeń przynosi jakieś nadzwyczajne wiadomości. Uderzyło go jednak równocześnie to, że oczy Stefana powlókł lekki tuman smutku i powagi.

— Miałeś pan najzupełniejszą rację co do planu Twyforda!
— przemówił gość, siadając po powitaniu obok łóżka.

Wiechecki wparł w mówiącego pytające spojrzenie.

— Mam przy sobie odbitki fotograficzne nie tylko całości planu, lecz poszczególnych jego fragmentów — brzmiał dalej głos Stefana.

Wiechecki podniósł się z takim impetem, że sprężyny hotelowego łóżka zadygotały jęklwym, metalicznym dźwiękiem.

— Człowieku! Dawaj je czempredzej! — krzyczał, trzęsąc zapamiętałe ramieniem Stefana.

— Naturalnie... naturalnie! Tylko w głowach potępieńców mogła wyląć się taka potworna myśl! — mruczał, przeglądając uważnie odbitki. — Ludzie bez czci i sumienia! Mumje, zakrzepłe w nienawiści! Szubrawcy z pod ciemnej gwiazdy. Zamrozić setki tysięcy istnień ludzkich! Od czasu czynu Kaina nie było większej zbrodni! Naturalnie... wszystko jak mówiłem! Tama od wyspy Bahama... dobrze... prąd zbliży się ku lądowi i idzie wzdłuż niego, jak posłuszne dziecko! Wspaniale! Swoją drogą, plan jest bajeczny... złodzieje przewidzieli każdą ewentualność! Ot... spójrz, na przykład tutaj! Wystające brzegi przylądka Hatteras mogłyby od-

sunąć bieg prądu w bok, więc przewidziana jest tam półkolista tama. Uf... katorżniki... wisielcy, oderwani od gałęzi.

Przerzucił jeszcze parę fotografii, nie przestając wyrzucać z siebie setek przekleństw we wszystkich niemal językach, nie wyłączając i arabskich, których obfity repertuar przyswoił sobie w czasach pobytu w Legji Cudzoziemskiej w Algierze.

Nagle zamilkł i wpatrzył się w trzymaną właśnie w rękę odbitkę.

Stefan obserwujący w milczeniu jego ruchliwe oblicze, dostrzegł na niem zdumienie, graniczące niemal z osłupieniem.

— Co to? — zdołał wreszcie wyjąkać Wiechecki. — Tu są dwa plany.

— Tak, dwa! — potaknął Stefan.

— To poto jeździł Wartington na północ? — kiwając głową, szeptał do siebie stary. — To nie dość im pozbawić Europę ciepłego prądu. To już zbrodniarzom nie wystarcza, jeno zamierzają płynąć w tamtą stronę lodowate fale prądu Labradoru? O... jeżeli istnieje jeszcze chociażby źdźbło sprawiedliwości na świecie, to ten zbój Wartington powinien dzisiaj jeszcze oszaleć i powiesić się na suchej gałęzi, a twój Twyford zarazić się w chińskiej dzielnicy Nowego Jorku... zarazkami dżumy, naprzykład, i wykopyrtnąć się na tamten świat w ciągu dwóch dni!

— Nic im nie będzie! Tacy właśnie żyją dłużej od innych — mruknął Stefan.

Wiechecki zaklął pod nosem i począł się ubierać. Nie szło mu to szybko, gdyż co chwila powracał do porzuconych na stole fotografii. Wreszcie uporczywe milczenie Stefana zajęło jego uwagę.

— No... a ty czemu dzisiaj jesteś taki kwaśny? — rzucił, stając nad nim z grzebieniem w rękę.

Stefan podniósł nań zmęczone całonocnem czuwaniem oczy.

— Podobno w dzień ślubu nie wolno być innym — odrzekł z bolesnym uśmiechem.

Wiechecki cofnął się w tył, tak energicznym skokiem, że praca jego nad misternym ułożeniem fryzury poszła momentalnie wniwecz.

— Co? Żenisz się, chłopcze? A cóż na to Twyford? Zgodził się oddać ci córkę? No... wiecie, że to jest największy cud, jaki się wydarzył od czasu przejścia żydowinów przez Morze Czerwone! Jak to było? Opowiadaj?!

— Żenię się z lady Mabel Stradthon — szepnęła, zwieszając głowę, Stefan.

Usłyszawszy te słowa, stary oniemiał. Spoglądał zdumionym wzrokiem na swego byłego ucznia i z trudem zlepił w całość oderwane okruchy myśli, kompletnie porażonych zasłyszaną przed chwilą wieścią.

Wreszcie błysnęło mu w mózgu, że Podhorski nagle zachorował.

Zbliżył się doń na palcach.

— Duszno tu... prawda? Może otworzyć drzwi na balkon... co? A... a... może napijesz się czego chłodnego... lemoniady, na przykład? Nie! No to wiesz, co...

— Sądzisz, panie Wiechecki, że mżarjował? — przerwał mu Stefan. — Nie! Tak jest w istocie! Skończ pan wreszcie swą toaletę! Lecimy do New Yorku.

— Po co?— zdziwił się stary, walcząc zawzięcie z nieposłusznym krawatem.

— Będiesz pan świadkiem mego ślubu!

— I twierdzi jeszcze, że jest przy zdrowych zmysłach! — warknął Wiechecki, spojrzawszy zezem na mówiącego.

Lecz Stefan nie dosłyszał jego słów, gdyż zajęty był zbieraniem rozrzuconych fotografii.

Idąc na lotnisko, dowiedział się wreszcie Wiechecki wszystkiego.

Długo ważył w myślach słowa Stefana. Wreszcie przyznał, że wobec otwarcie zapowiedzianego przez „wiedźmę”, jak nazwał lady, oskarżenia go przed Twyfordem, inaczej postąpić nie mógł, jeśli pragnął za wszelką cenę zdobyć dowody.

Co do Sing-Singu, też potwierdził, że czekać go mogła gruba nieprzyjemność.

— Mógłbyś tam, chłopie, zgnić i pies - kot nie wiedziałyby o tem. Już ci, że to byłaby niesprawiedliwość, ale nie można przecież wymagać jej od sędziów i prokuratora, którzy otwarcie biorą udział w dorocznych bankietach stowarzyszeń złodziejsko - bandyckich! Takie to jest zdrowe społeczeństwo... takie!

Że uczynił z siebie ofiarę dla ludzkości, nie ulega kwestji. Ale przez to wybawi od śmierci i głodu setki tysięcy ludzi. Dla takiej sprawy warto uczynić nawet tak olbrzymie poświęcenie, jak on.

Nie pochwalał tylko pośpiechu, z jakim zgodził się na ultimatum lady.

W ogóle... należało wziąć babę na sztorc. Trzeba było obiecywać jej złote góry, zgadzać się pozornie na wszystko, można było nawet udać olśnionego szczęściem, jakie nań nagle spada. Słowem, walczyć jej bronią. Ona popełniła szantaż, i to gruby szantaż, a on postąpił wobec niej jak szlachetny hidalgo z La Manszy, który pozatem był trochę narwany.

Trzeba było znaleźć jakąś przyczynę i nie dawać słowa co do terminu tego idjotycznego ślubu.

Wkońcu z całą powagą oznajmił, że on załatwiłby tę sprawę zupełnie inaczej. Po prostu, jak się wyraził „zakatrupiłby” babę w myśl przysłowia „baba z wozu, koniom lżej”.

Podhorski prawie, że nie słyszał jego peror i wydziwiań. W świadomości jego ze wszystkich myśli pozostała tylko jedna. Oto za cztery... pięć godzin stanie się nieodwołalnie to, co raz na zawsze odsunie od niego spokój i szczęście, co złamie w nim godność ludzką, zaszczerpi mu pod czaszką piekło szaleństwa.

Wiedział, że dzisiejszy ślub będzie początkiem, ale zarazem i końcem potwornego w swej ohydzie pożycia małżeńskiego.

Był zupełnie zdecydowany skończyć z sobą dzisiaj jeszcze. Decyzję tę powziął rankiem, gdy kreślił tych parę słów do Jane.

Przyjdzie mu to z łatwością. Pod jakimś zmyślnym pretekstem wyrwie się po ślubie na lotnisko... na swój ostatni lot.

Niespodzianka! Ha... ha!

Mimowoli zaśmiał się pełną piersią.

Wiechecki spojrział nań z niepokojem.

— Wygląda naprawdę jak warjat... nie spuszczę go dzisiaj z oka — mrucał do siebie, klnąc w duchu wszystkie ladies, jakie tylko znajdują się na świecie.

Wystartowali o godzinie dziewiątej. Od New Yorku dzieliła ich odległość trzystu siedemdziesięciu kilometrów, co stanowiło dwie godziny lotu. O pierwszej ślub.

Samolot płynął równo, kołysząc się lekko przy silniejszych podmuchach wiatru, nadlatującego od czasu do czasu od strony oceanu.

Ani Podhorski, ani nawet Wiechecki nie mieli ochoty do rozmowy. Co do tego ostatniego widocznym było, że sytuacja, w jakiej znalazł się Stefan, przygnębiła go zupełnie.

Jak gdyby postarzał przez te parę godzin. Siedział zgarbiony z przymkniętymi oczyma. Zdawało się, że drzemie. Jednak bystre przenikliwe spojrzenie, rzucone co pewien czas w stronę kamiennego oblicza Stefana, świadczyło, że stary czuwa.

Minęli Baltimore, pozostawiając je z lewej strony i płynęli ponad wąską linią szosy, biegnącej prosto, jak strzała, ku Filadelfji.

Nagle w motorze poczęło coś trzaskać. Równocześnie owionął ich ekliwy zapach zagrzanej oliwy.

Podhorski momentalnie wyłączył motor. Wskazówka litromierza z oliwą stała na zerze.

— Siadamy! — rzucił Podhorski.

— Siadamy... i owszem, aby tylko nie głowami na ziemię. Nie lubię w ogóle nadprzyrodzonych pozycji. Cóż chcesz, człowiek tyle się nachodził na nogach, że teraz spacerować głową na dół nie byłoby mi zbyt przyjemnie. Ot... głupie przyzwyczajenie! — filozofował stary, z zajęciem obserwując szybkie, zdecydowane ruchy rąk pilota.

Aparat znajdował się nad jakimś małym miasteczkiem, leżącym tuż przy szosie.

Na jednym z jego krańców rozciągało się dość rozległe boisko sportowe, puste teraz zupełnie. Samolot siadł pośrodku, zręcznie ominąwszy korty tenisowe.

— Uf! — odsapnął Podhorski, gdy maszyna stała już pewnie na ziemi. — Mało brakowało do katastrofy.

— Raz kozie śmierć! — mruknął Wiechecki, wyłaząc powoli.

Stefan, obejrzawszy tymczasem dokładnie zbiornik, przekonał się, że o żadnym defekcie niema mowy. Po prostu służba na lotnisku zapomniała dolać oliwy do zbiornika. I on też to przeoczył, mając myśli zajęte czem innym.

Za chwilę podszedł ku nim starszy otyły mężczyzna, bez kurtki i w rozpiętej kamizelce.

Podhorski domyślił się, że to zarządzający lub właściciel boiska.

Nie mylił się. Niemniej szanowny jak tłusty mister Steward, właściciel stadjonu, jak chrzcił swe boisko, wystąpił zrazu z gorącymi pretensjami do lotników. Oto koła samolotu wycisnęły w miękkiej ziemi głębokie koleiny, które trzeba zasypywać, gdyż byłyby przeszkodą przy meczach piłki nożnej.

Steward zażądał sto dolarów odszkodowania, twierdząc, że do tej sumy musi dołożyć jeszcze co najmniej drugą setkę, aby opłacić robotników, mających zasypać koleiny.

Wiechecki wysłuchał go spokojnie, poczem oznajmił rozindyczonemu jankesowi, że jakkolwiek słyszał już dawno, że mieszkańcy tego miasteczka wyróżniają się wybitnym rozumem, jednak z bólem przekonywa się obecnie, że nie jest to prawdą. Zdarzają się wyjątki. Jednym z takich wyjątków jest właśnie szanowny mister Steward. Chyba, że to nagły atak porażenia słonecznego. W takim razie współczuje mu bardzo i radzi czempredzej zawezwać lekarza.

„Szanowny” mister Steward zbaraniał i stał się więcej potulny i ustępliwy. Ostatecznie banknot dwudziestopięciodolarowy przewędrował z portfela Podhorskiego do kieszeni kamizelki właściciela boiska. Nabrał nagle takiej uprzejmości, że wskazał im znajdujący się tuż obok szosy garaż samochodowy, w którym napewno znajdą oliwę. Pozatem sam zaofiarował się strzec aparatu podczas ich nieobecności.

Szli powoli przez zarosłą nędzną trawą płaszczyznę ku garażowi. Dzieliła ich od niego przestrzeń trzystu najwyżej kroków.

Wiechecki milczał, zajęty swą fajką. Stefan kroczył obok niego, jak automat, utkwivszy wzrok w bielejącej przed nimi linii szosy, którą mknęły co chwila w obie strony auta, wlokąc *za* sobą długie warkocze kurzu.

Nawprost garażu, po drugiej stronie szosy, szofer zmieniał koło przy wytwornej landolecie, w której siedziały dwie panie i

troje dzieci. Przebiegające obok landolety w stronę Waszyngtonu auta wyjeżdżały na środek szosy.

Od strony Waszyngtonu ukazał się drugi samochód, zbliżający się z tak niezwykłą szybkością, że nawet apatyczny Podhorski począł obserwować go z zainteresowaniem.

— Wali... co? — mruknął Wiechecki, który teraz dopiero spostrzegł pędzące auto.

— Warjat niem kieruje, lub djabeł! Najmniej stukilometrowa szybkość. Na taki ruch! — mówił Stefan, nie spuszczając wzroku z maszyny.

Auto zrównało się z nimi. Była to wspaniała limuzyna, tak pokryta kurzem, że koloru jej niesposób było rozróżnić. Mignęła im w oczach jak strzała.

W tejże samej chwili, gdy przebiegała obok nich, z zakrętu szosy wysunął się ciężarowy, niemal piętrowej wysokości automobil meblowy. Jechał ze średnią szybkością, świecąc w słońcu świeżem żółtem lakierowaniem swych ścian.

Obok landolety wyjechał na środek szosy. W tej chwili nadbiegła, hucząc rozgłośnie, limuzyna.

Szofer jej pewny, że pozostało dlań dość miejsca, pomiędzy żółtym potworem, a szeregiem białych kamieni, oznaczających szerokość jezdni, nie zmienił tempa jazdy.

Bardzo możliwe, iż podczas normalnego biegu, mając czas na manewrowanie, przejechałby zupełnie swobodnie, jednak w tale szalonym pędzie niesposób było zorjentować się w ogóle.

Lewe, tylne koło limuzyny zawadziło o żółtego potwora. W jednej sekundzie limuzyna uczyniła pocieszny, niezgrabny skok w górę, opadła, wparła się motorem w bok meblownika i jakby odrzucona jakąś niewidzialną siłą, odleciała na bok szosy i tam, zaimprowizowawszy szybki piruet, runęła na ziemię, dzwięcząc rozgłośnie rozbijanemi na drobne szczątki szybami okien.

— Masz sobie! — zakrzyknął Wiechecki, zatrzymując się jak wryty.

— Należało się tego spodziewać. Szofer tej limuzyny naprawdę był niespełna rozumu — zauważył sucho Podhorski, zatrzymując się również.

Wokół auta, które uległo nieszczęściu, pojawili się momentalnie ludzie. Pierwszymi byli szofer i mechanik żółtego wozu. Prawie razem z nimi przybiegł szofer landolety oraz pracownicy garażu, znajdującego się o kilkanaście zaledwie kroków od miejsca wypadku.

Pojawiła się też wysoka postać policjanta.

Do uszu ich obu dolatywały energiczne, urywane słowa rozkazów, szczęk żelaza, metaliczne dźwięki rozpruwanej i odrywanej blachy.

W chwilę potem dwie czwórki ludzi przenosiły na czemś, co wyglądało zdała na płaszcze, rannych, czy zabitych pasażerów limuzyny pod grupę drzew, rosnących obok garażu.

— Chodźmy! — rzekł wreszcie Podhorski, — Właściciel garażu niezbyt zapewne interesuje się pasażerami limuzyny... więcej nią samą. Sądzę więc, że nie będzie przejęty na tyle wypadkiem, aby nie mógł pogadać o oliwie.

— Mój drogi — tłumaczył Wiechecki z całą powagą. — A z jakiej racji takiego pana mają interesować ranni pasażerowie? Czy ma dla nich części zamienne, jak na przykład nogi, ręce, głowy? Nie ma! Ma natomiast magneta, karburatory, kardany, koła i. t. d. I dlatego interesuje go więcej auto, niż jego pasażer, lub właściciel.

W ciągu paru minut stanęli nad roztrzaskaną limuzyną. Bez trudu odnalazł Podhorski właściciela garażu.

— Owszem, mam zupełnie dobrą oliwę... może jej pan śmiało używać... gwarantuję swoim słowem — zaręczał, dowie-

dziawszy się, o co chodzi. — Chłopcy zanosą panu na miejsce... jeśli panu śpieszno, to chodźmy.

— Rzeczywiście, śpieszy mi się — przyznał Stefan.

Właściciel garażu ruszył przodem, lecz po dwóch, trzech za- ledwie krokach zatrzymał się, zwracając spojrzenie na smętne szczątki auta.

— Ładny kawałek! co? — ozwał się, podnosząc wzrok na Podhorskiego! Ostatnie słowo techniki i luksusu! I żeby takie cac- ko zniszczyć w jednej sekundzie... zgroza!

— Ma pan zupełną rację! — wtrącił Wiechecki. — A jak wyszli z katastrofy pasażerowie?

— Phi! — skrzywił się Amerykanin. — Dama, zdaje się, gotowa zupełnie, a co do szofera, to jeszcze oddychał, kiedy go wyciągnięto z pod auta... ale i jemu też niewiele bodaj brakowa- ło. Oo... właśnie przybył lekarz! — dorzucił, wskazując auto, któ- re zatrzymało się na skraju szosy na wprost grupy drzew.

Zapomniawszy o swym kliencie, właściciel garażu wmieszał się w tłum i pracując energicznie potężnymi łokciami, dotarł aż do lekarza, klęczącego nad pasażerami auta.

Wiechecki próbował przedrzeć się również, lecz ugrzązł w pośrodku.

— Kobieta nie żyje! — rozległ się spokojny głos lekarza — a co do tego biedaka, to znajduje się właśnie w agonji, która potrwa najwyżej jeszcze parę minut.

Przez tłum przebiegło półgłośnie, akcentem zgrozy nacecho- wane „aaa!”

Podhorski chciał pomóc Wiecheckiemu wydostać się z falu- jącej i z pracy wciąż naprzód gromady, przedarł się więc ku nie- mu i uchwycił go za ramię.

— Zbawco... ratuj! — jęczał Wiechecki, chwytając się go kurczowo. — Ta hołota nie pozostawi wkrótce ze mnie ni szczątka! Uciekajmy stąd, bo mi brak tchu.

W tej chwili spostrzegł, że twarz Stefana stała się nagle biała jak płótno, a oczy wyrażają taki bezmiar zgrozy, że natychmiast zrozumiał, iż stało się tutaj coś naprawdę niezwykłego.

— Co tobie, chłopcze? — zapytał niespokojnie.

Zamiast odpowiedzi, Podhorski wstrząsnął się, jak gdyby przychodząc do przytomności.

Wydostał się z tłumu i pociągnął za sobą starego.

Usiedli z daleka od zbiegowiska.

Podhorski, oparty plecami o drzewo, oddychał ciężko. Po bładem jeszcze teraz jego obliczu przelatywały raz po raz przebliski wzruszenia. Wreszcie przyszedł do siebie.

Zwrócił powoli ku Wiecheckiemu głowę.

— Wiesz pan, kto to jest ta zabita kobieta? — zapytał.

Stary zirytował się. Też mądre pytanie! Skąd może wiedzieć, jeśli nie widział jej zupełnie!

Powstrzymał się jednak i odrzekł krótko, że nie.

— Zabita jest lady Stradthon.

Wiechecki zrazu zaniemówił. Spoglądał przez chwilę okrągłemi ze zdumienia oczami na pobladałą twarz Stefana, chwiejąc głową i oczekując dalszych jego słów.

Lecz Podhorski milczał.

Stary nie omieszkał jednak postawić na całej sprawie swojego placet.

Nabił starannie fajeczkę, zapalił, puścił parę misternych kółek, obserwując je uważnie, poczerń rzekł z powagą nie mylącego się nigdy człowieka:

— Wiedziałem, że do tego ślubu dojść nie może! I dlatego byłem zupełnie spokojny. Jechałem jako świadek ślubu, wiedząc,

że się nie odbędzie, chociaż, przyznam, spieszo było do niego oblubienicy... oj, spieszo! Sto kilometrów.... dwieście.... trzysta gotowa była robić, aby znaleźć się przy ołtarzu! Ale Pan Bóg istnieje przecież i....

Podhorski, który od paru minut upatrywał w tłumie wysokiej postaci właściciela garażu, przerwał mu zgorszonym tonem.

— Więc jak to! więc zdaniem pana sam Bóg rozbił limuzynę.... Bóg zabił lady... poranił szofera! Bluźnisz pan!

Wiechecki pozostał niewzruszony. Po dawnemu gonił wzrokiem kółka i pasma dymu.

— Głupis, mój chłopcze! Gdzieżby Bóg zajmował się sam takimi drobiazgami! Po prostu Zawołał jakiegoś pośledniejszego świętego i szepnął mu do ucha; „Mój kochany! Ukręć po cichu łeb tej babie, bo stoi na przeszkodzie dwóm zacnym ludziom, którzy pracują nad odwróceniem zła na ziemi“. Ot i koniec! Wiadomo, że taki święty musiał rozkaz wypełnić.

— Et.... baj durzysz pan! — zirytował się Stefan. Wstał i skierował się w stronę garażu.

W pół godziny później samolot nałykawszy się oliwy, zatoczył nad miasteczkiem jedno i drugie koło i nagle poszybował w tę stronę, skąd przybył.

— Waszyngton! — zdziwił się, spostrzegłszy to Wiechecki.

Podhorski w milczeniu skinął głową.

Nie było jeszcze wpół do trzeciej, gdy Podhorski wpadł jak sęp na odźwiernego pałacyku Twyforda.

— Czy Adams oddał miss Twyford mój list? — pytał, czując, że nogi słaniają się pod nim.

Odźwierny zmieszał się. Przyszło mu na myśl, że nie pojął polecenia lotnika.

— Nie... pan kazał mi oddać list miss, gdy będzie wracała z wykładów. A to nastąpi dopiero za dobre pół godziny!

Podhorski wziął list i zredagował drżącą ręką depezę do Twyforda tej treści, że wobec zauważonego w motorze samolotu defektu zawrócił z drogi, nie mogąc brać odpowiedzialności za bezpieczeństwo lotu.

Polecił odźwiernemu wysłać to natychmiast do New Yorku i powlókł się do siebie na górę. Tam, nie czytając listu, podarł go zawzięcie na małeńkie kawałeczki.

Wreszcie, śmiertelnie znużony nieprzespaną nocą i przebytymi wrażeniami wczorajszego i dzisiejszego dnia, zasnął jak kamień.

Na przeciwległej zaś peryferji miasta w skromnym hoteliku Wiechecki popijał małemi haustami whisky i przeglądał szczególnie fotografie pozostawione przez Stefana u niego dla wszelkiego bezpieczeństwa. Snuł plan dalszej działalności anti - twyfordowsko - waringtońskiej.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ VIII.

Było to pod koniec pierwszego roku prezydentury Jonatana Hilla, uważanego powszechnie za narzędzie w rękę Twyforda, który został sekretarzem stanu do spraw zagranicznych.

Oburzało to innych potentatów finansowych i nasuwało tysiące przypuszczeń, nieraz bardzo krzywdzących dla obu dostojników, lecz po szeregu miesięcy przekonano się, że Twyford wpływ swój kieruje wyłącznie na sprawy polityczne, częstokroć z jawną szkodą dla swych osobistych interesów.

Twyford nie robił sobie nic z nikogo.

Gdy udzielał wyjaśnień kolegom swym w gmachu Kongresu, był tak spokojny, głos jego brzmiał tak pewnie i przekonywująco, że najbardziej oporni lub niezdecydowani względem jego poglądów po paru minutach dyskusji stawali się jego najzarliwsi zwolennikami.

Przedstawiciele państw europejskich, tocząc z nim urzędową rozmowę, nigdy nie wiedzieli, które zdanie Twyforda nosi w sobie prawdę, a które fałsz.

Od razu wyraźnie zaznaczył swe stanowisko względem interesów Starego Świata.

— Nie chcemy nic o was wiedzieć! — wypalił ambasadorowi Italji, hrabiemu di Teuda. — Dość mamy dziadów u siebie!

Hrabia podniósł się i skinąwszy lekko głową, opuścił gabinet Twyforda.

Całe popołudnie i całą noc latały kablogramy pomiędzy Rzymem, a Waszyngtonem.

Il Duce uniósł się straszliwie. Groził zerwaniem stosunków dyplomatycznych, o ile Twyford nie złoży wystarczającego wytłumaczenia.

Na drugi dzień hr. di Teuda otrzymał od Twyforda list, w którym ten twierdził, że ambasador pojął go niezbyt ściśle. Oto mówił w ogóle o nędzy, panującej nie tylko w Europie, lecz i tutaj i bynajmniej nie miał zamiaru wyszczególnić jakiegokolwiek narodowości.

Rzecz prosta, że tłumaczenie to było więcej, niż niedostateczne, lecz Italia przyjęła je za dobrą monetę.

Incydent był załatwiony. Ucierpiał w tym zatargu dyplomatycznym tylko biedny hr. Teuda, którego rozkaz Rzymu przeniósł na podrzędną placówkę do Hondurasu.

Pomimo, że Twyford sprawował jeden tylko urząd sekretarza stanu do spraw zagranicznych, jednak wkrótce okazało się, iż niema sprawy, niema zagadnienia w szerokich dziedzinach życia państwowego, gdzieby zdanie jego nie było brane w rachubę.

Pierwsze szkolnictwo narodowościowe odczuło na sobie, jak potężną, nieustępliwą jest wola Twyforda.

Oto zupełnie niespodziewanie, ukazał się dekret prezydenta, zapowiadający w ciągu jednego miesiąca zniesienie wszystkich szkół, ochronek, przedszkoli i t.p. prowadzonych przez parafje i zrzeszenia szkolne emigrantów.

Dekret podcinał od korzeni, cieszące się dotąd opieką władz Stanów, drzewa narodowego życia.

W całych stanach zawrzało, jak w ulu. Nie było miasteczka, nie było osady, gdzieby nie odbyło się przynajmniej po parę mitingów, których rezolucje w słowach, niejednokrotnie mocno

zdecydowanych, domagały się jak najszybszego wycofania dekretu.

Prawie wszędzie mityngi miały burzliwy przebieg wskutek skandalicznego wprost zachowywania się policji, która, nie tylko, że sama wywoływała zamieszanie, lecz sprowadzała do sal mityngowych gromady wiejskiego proletariatu, składającego się w dziewięćdziesięciu procentach z rozpróżnionych jankesów, wiecznie pijanych, elementu, tworzącego owe sławne bandy prze mytnicze i bandycko - złodziejskie, tolerowane nie tylko już przez policję, lecz i przez sądy.

Gromady te, specjalnie wyuczone przez policję, przyjmowały piekielnym wrzaskiem i wyciem każde wystąpienie obcokrajowca w obronie szkoły narodowej.

W Chicago, gdzie Polacy stali zawsze na czele obcokrajowców, bójka, wynikła w wielkiej sali Ratusza, przeniosła się na ulicę. Walczono na rewolwery, karabiny i noże. Ba... znalazły się nawet granaty ręczne.

Polacy, Włosi, Francuzi, Niemcy i inne pozostałe narodowości uderzyły tak potężnie na zdziczałe bandy jankesów, że te pierzchły niebawem, ścieląc obficie trupami ulicę i place miasta.

Rozpoznanie wśród padłych kilkunastu przebranych policjantów rozgoryczyło tłum do reszty.

Udano się z powrotem do ratusza, domagając się natychmiastowego usunięcia szefa służby bezpieczeństwa.

Lecz teraz na widownięć wypadków wystąpiły już zupełnie oficjalnie silne oddziały policji miejskiej i stanowej,

Policjanci górowali nad emigrantami uzbrojeniem. Zwłaszcza karabiny maszynowe, w które zaopatrzeni byli obficie, prawie, że udaremniały każdą akcję, każdy, świetnie obmyślany i przeprowadzony, atak emigrantów.

Pomimo jednak tej przewagi broni oddział polski pod dowództwem majstra stolarskiego Józefa Krzona, b. sierżanta armji Hallera, zaatakował na jednym z placów i po morderczej walce wzięł do niewoli tysiąc dwustu policjantów, przybyłych przed chwilą z okolicznych miasteczek.

Włosi i Hiszpanie, walczący razem wycięli nożami trzystu policjantów z Davenportu. Niemcy systematycznie kruszyli granatami ręcznymi potężne mury ratusza, gdzie znajdowało się gros sił policji.

Francuzi i inni obcokrajowcy, dość słabi ilościowo w Chicago, trzymali się Polaków.

Całą akcją kierował Adam Sieniawski, właściciel paru domów w śródmieściu i pułkownik rezerwy armji amerykańskiej.

Około piątej po południu emigranci zaczęli odczuwać brak amunicji. Sytuacja od razu zmieniła się na ich niekorzyść. Policja atakowała teraz śmiało, wypierając przeciwnika z każdego niemal punktu. Sztab emigrantów po krótkiej naradzie zdecydował, że dalsza walka jest niemożliwa. Lada chwila miano wydać rozkaz jej przerwania.

Lecz właśnie w owym momencie stało się to, co później uczyniło emigrantów kompletnymi panami położenia w Chicago przez cztery całe dni.

Oto na dworce miasta poczęły przybywać jedne po drugich długie, dorywczo zestawione pociągi, z których wysypywały się masy ludzi uzbrojonych rozmaicie.

Byli to robotnicy olbrzymich fabryk w Milwaukee i Madison, górnicy z St. Paul i Peorji,

Szli ze śpiewem Polacy i Czesi, biegli kociemi krokami milczący Włosi, Hiszpanie i inne narodowości.

Zawracali cofające się oddziały walczących i bez namysłu atakowali policjantów, którzy zrozumieli natychmiast, że, opusz-

czając bezpieczne stanowiska obronne w Ratuszu i innych większych gmachach, popełnili błąd.

Błąd ten nie dał się już naprawić.

Cofające się na łeb na szyję wśród ciągłej walki oddziały policji zastawały linje odwrotu przecięte.

Ostrzeliwane morderczo ze wszystkich stron, rażone celnymi strzałami z okien balkonów i dachów, oddziały te rzucały broń po krótkim beznadziejnym oporze.

Z nastaniem mroku nie było już w mieście ani jednego walczącego policjanta. Rozbrojeni zostali puszczeni wolno do domów.

Rządy w mieście objęli emigranci. Około północy przybyli na motocyklach z Milwaukee, przywieźli wiadomość, że na wieść o wypadkach chicagoskich podniosło się również i St. Paul i Minneapolis, biorąc łątwo górę nad oddziałami policji.

Uniesienie ogarnęło tłumy. Wielu w zapale zapomniało, że powodem walki była zbrodnicza działalność policji. Zdawało się im, że wygrana została wielka bitwa... ot... taka, jakie się toczą na wojnie.

To też biwakujące na placach i ulicach tłumy wznosiły okrzyki na cześć tyłu narodowości, z ilu się składały.

Wiwatowano więc pojedynczo na cześć Polski, Francji i Niemiec, Włoch i t. d.

Jeden tylko okrzyk był podchwytywany zgodnie przez wszystkie bez wyjątku usta.

Brzmiał on: „Precz ze Stanami!” „Precz z Wujem Samem!”

ROZDZIAŁ IX.

Fotografie planu Waringtona, zdobyte pamiętnej nocy przez Podhorskiego, dotąd jeszcze spoczywały spokojnie w portfelu Wiecheckiego.

Zrazu Stefan naglił, aby dokumenty te jak najprędzej znalazły się w Europie, lecz po długiej rozmowie z Wiecheckim uznał, że przesłanie ich w danej chwili mogłoby utrudnić, a nawet unieвозмоżliwić mu zupełnie czuwanie nad każdym niemal krokiem Twyforda.

Oto oryginały planów znajdowały się jeszcze w pałacyku tego ostatniego. Po dawnemu pracował przy nich Warington i stały sztab pomocników. Z tego, że praca ta przeciągała się nieraz do rana, jak zauważył Stefan, Wiechecki wywnioskował, że plany w niedługim czasie zostaną przekazane do wykonania, a zatem wywiezione.

— Każdy z was młodych, to, jak ten wyżeł, będący pierwszy raz w polu — tłumaczył dobrotliwie. — Aby lecieć naprzód... aby lecieć bez krzty zastanowienia. Młodość! Zdaje się jej, że sam pęd wystarczy za wszystko! A tu, psiakrew, właśnie nie tak! Pęd — pędem, a przebiegłość grunt! I rozwaga! Jak nie będziesz umiał omijać w swym pędzie przeszkód lub usuwać je zawcza-138 su, to złamiesz nogę albo i całkiem kark skręcisz. To samo jest i tutaj! No dobrze... pójdę jutro, albo ty i wręczymy te fotograf je ambasadorowi polskiemu! Ten natychmiast prześle je do kraju. W porządku! Rząd nasz porozumie się w pierwszej mierze z Francją i z Anglją. Prawda! Anglją, naturalnie w strachu. Francja też, Hiszpanja jeszcze więcej! Zacznie się pisanina, ciągłe podróże dyplomatów... a szpiedzy amerykańscy będą węszyć! Czemu taki gwałt, taki rwetes? No i naturalnie za parę dni będą wiedzieć, o co chodzi. A wówczas co? Kłapa! Dopóki plany są tutaj, jasnym jest, że wykraść je mógł tylko ten, kto miał dostęp do domu. Zaczną podejrzewać wszystkich, naturalnie i ciebie też. Mogą cię usunąć! A

to, widzisz, byłaby niepowetowana szkoda. Zawsze to wielki plus, jeżeli jedna strona ma w obozie drugiej swego człowieka! Phi... phi! Jakie się z tego mogą wyłonić możliwości! Ba! A jak plany pójdą gdzieindziej, to jesteś na czystej wodzie. Podejrzenie o skopjowanie ich padnie przede wszystkim na tamtych ludzi. A ty pozostaniesz po dawnemu u Twyforda, o co najwięcej chodzi.

Rozmowa ta toczyła się w przeddzień wyjazdu Wiecheckiego do swej posiadłości, jak pompatycznie nazywał darowaną mu przez ojca Podhorskiego szopę wraz z paru hektarami uprawnej ziemi.

Stefan nierad był, że Wiechecki wyjeżdża właśnie teraz, kiedy zdawały się zbliżać brzemienne w skutki wypadki.

— Muszę jechać koniecznie! — upierał się stary. — Już przed dwoma laty rozpocząłem pracę nad pewnym wynalazkiem, który chciałem ofiarować Polsce. Rezultaty zrazu były nietęgie, ale z czasem, a zwłaszcza na parę tygodni przed twojem wezwaniem osiągnąłem już wyniki nadzwyczajne! Mówię ci... siła... phi!

— Materiał wybuchowy? — zainteresował się Stefan.

— Uhm... właśnie! Otóż, widzisz, chłopaczku, trzeba by to doprowadzić do końca i przygotować więcej tych zabaweczek.

Umilkł na chwilę i utkwiał spojrzenie w ciemnej, masywnej kopule gmachu Kongresu.

— Bo widzisz... — zaczął znów — jakby już wszystkie wysiłki Europy nie zdołały odwrócić nieszczęścia, które na nią spadną z łaski tych zbrodniarzy, to... to... myślę, że na nas dwóch spoczywać będzie święty obowiązek zniszczenia tego dzieła szatana. Tak myślę...

Wzruszenie nie pozwoliło mu mówić dalej. Trząsł siwą głową, a z pod zmrużonych powiek biegły jedna po drugiej łzy rozczulenia.

Podhorski podbiegł ku niemu.

— Ja też tak myślałem i nawet... nawet złożyłem kiedyś przysięgę na to! — wyjąkał, tuląc w zapale do swej piersi chude pomarszczone dłonie starego. — Nie pozwolimy! Prawda?

A Wiechecki trząśł dalej głową i wpatrując się przez łyzy w jasną, otwartą twarz Stefana, szeptał:

— Dobra krew... Podhorscy... dobra! Nawet na obczyźnie nie zapomina o kraju. Dobra, stara krewi Przodkowie twoi walczyli z pohańcami, burzącymi kościoły i porywającymi ludzi w jasyr, a tobie w udziale przypadła walka z niemniejszymi barbarzyńcami, którzy dla dolana i zbankrutowanej już dawno idei zapanowania nad światem gotowi są przelać potoki krwi i napełnić połowę ziemi płaczem i jękami! Zaszczytna walka!

A potem, gdy przeszła chwila obopólnego wzruszenia, począł wypytywać Stefana o działalność Twyforda w ostatnich dniach.

Otóż był on nadzwyczaj czynny. Osobiście udał się samolotem do obozu letniego w Frt. Wayne, wizytowanego w tym czasie przez ministra wojny, aby omówić z tym ostatnim likwidację rewolty w Chicago.

Nie wysiadał z samolotu, rozmawiając z generałem Covingtonem przez okno kabiny.

Stefan słyszał każde słowo ich rozmowy.

Twyford, w imieniu prezydenta, zalecał jak największą ostrość środków przy tłumieniu rewolty.

Natychmiast po wkroczeniu wojsk do miasta, powinien być ogłoszony stan oblężenia. Ci, którzy będą składać broń, muszą być bezwzględnie aresztowani. Przywódców, naczelników oddziałów odsyłać natychmiast do Sing-Singu.

— Wreszcie tak, jak gdyby wściekł się po prostu! — opowiadał ze zmarszczonemi brwiami Stefan. — „Strzelać! Strzelać i

jeszcze raz strzelać!" krzyczał, szarpiąc obu dłońmi ramę okienną. „Nieposzanowanie rozkazów władz amerykańskich! Przybłądy... nędzarze... wybić co do jednego! Co do nogi... w razie najslabszego oporu!“ Myślałem, że w końcu rzuci się na generała i pocznie go gryźć ze wściekłości!

Wiechecki zmartwił się.

— Bój się ty Boga, chłopcze! To wczoraj przed wieczorem przy zajmowaniu miasta musiały się dziać straszne rzeczy! W dziennikach poza krótkim lakonicznym komunikatem rządowym o zajęciu miasta, nic więcej niema.

Stefan zmarszczył czoło.

— Były okrucieństwa... ale dokonywano ich w tajemnicy! — mówił szeptem. — Ale ogólnej rzezi w takim stylu, w jakim pragnął Twyford, nie udało się zrobić. A to właśnie dzięki samemu Twyfordowi!

Wiechecki wlepił w niego zdumione wejrzenie.

Z dalszego opowiadania Podhorskiego wynikało, że tak było w istocie.

— Wojska miały wyruszyć natychmiast pociągami i samolotami, aby jeszcze w nocy opasać miasto od południowej strony, a rankiem otoczyć je od zachodu i północy. Antialkoholowe statki strażnicze na jeziorze Michigan, jak wiadomo, uzbrojone w lekką artylerię, otrzymały rozkaz przysunięcia się pod miasto.

— Psiekrwie... rycerze! Wojownicy pierwszej klasy! — wybuchnął nagle Wiechecki, waląc pięścią w stół. — Piechota... kawalerja, artylerja, czołgi... samoloty bojowe mało! Mało! Jeszcze flota potrzebna! I na kogo! Na dziesięć, albo na piętnaście tysięcy powstańców, którzy, nie tylko, że nie posiadają artylerji, ale zapewne i również amunicji karabinowej! Tfu... psiakrew... wstyd tylko!

Zaledwie Stefan zdołał go uspokoić opowiadaniem szczegółów przegranej Twyforda.

Oto ten ostatni miał asystować przy zdobywaniu miasta.

Pożegnawszy przeto ministra wojny, polecił Stefanowi lecieć aż do Newark, miasteczka, leżącego, na połowie drogi z Davenport do Chicago.

— Powstańcy zajmowali je jeszcze poprzedniego wieczora, lecz w chwili gdyśmy się tam znaleźli, miasteczko robiło wrażenie wyludnionego — ciągnął Stefan. — Zjedliśmy kolację w jakiejś podłej oberży i gawędzimy. Oznajmił mi wówczas, że mam u niego nieograniczone zaufanie, które w niedługim czasie zamierza stosownie wyzyskać.

— Bardzo dobrze! — cieszył się Wiechecki.

To nas będzie dwóch takich! To już siła.

Podhorski wzruszył ramionami, nie rozumiejąc słów starego.

Ten zauważył to.

— No... no... o tem potem! Mogę ci teraz zapowiedzieć tylko to, że skoro załatwimy się z fotografjami, staję się współpracownikiem mister Twyforda! Jak... to już moja tajemnica! A teraz... opowiadaj dalej!

— Nagadał mi moc komplementów, zdaje się, zresztą, szczerych, i ni stąd ni zowąd zaproponował, abym się udał samochodem, lub na motocyklu do Chicago zbadać nastrój, jaki tam panuje. Odrazu przyszło mi na myśl, że będę mógł uprzedzić przywódców co do planów Twyforda przy zajęciu miasta. Zgodziłem się przeto! Promieniał! Wybrałem motocykl. O dziewiątej wieczorem straże zrewoltowanych zatrzymały mnie na końcu przedmieścia. Polski język i kategoryczne żądanie stawienia mnie natychmiast przed przywódcą ruchu zrobiły swoje. Zawieziono mnie do pułkownika Sieniawskiego, kierującego całą akcją. Powiedziałem mu wszystko szczerze. Że jestem pilotem Twyforda...

że noszę przybrane nazwisko Amerykanina... że chcę w tej roli działać dalej dla dobra ludzkości i ojczystego kraju. Powtórzyłem rozmowę Twyforda z generałem Covingtonem. Nie dawałem żadnych rad, zaznaczyłem tylko, że Twyfordowi chodzi najwyraźniej o wywołanie krwawego starcia, przy czym okrucieństwo, stosowane przez wojsko, ma być owym straszakiem na resztę emigrantów, burzących się przeciwko dekretovi.

— Zbój! — warknął Wiechecki. — Takie dekryty dobre były nad Wołgą.

— Sieniawski natychmiast zavezwał na naradę wszystkich przywódców poszczególnych narodowości. Narada ciągnęła się dwie godziny. Ja tymczasem przebiegłem parę ulic, aby mieć pojęcie o nastroju mas. Co tu mówić! Ludzie chcieli się bić do upadłego. Ale równocześnie dostrzegłem rozpaczliwą rzecz. Oto na każdej ulicy, na każdym placu, przez które przechodziłem, napastowano mię o amunicję. Rozpoczynały się już targi. Łapczywi na pieniądze sprzedawali już naboje karabinowe po dolarze sztuka. Ale na ogół takich było bardzo mało. Zmartwiałem... Ci ludzie z góry skazani byli na śmierć! Ale o poddaniu nikt nie myślał!

Umilkł i, przysłoniwszy dłonią oczy, jak gdyby rozpamiętywał bohaterstwo tej bądź co bądź garści ludzi porywającej się niemal z gołemi rękami przeciwko kolosowi, misternie złożonemu z tysiąca śmiercionośnych członków... przeciwko nowoczesnej armji!

Wiechecki, wzruszony niemniej od Podhorskiego, od pewnej chwili chrząkał już niecierpliwie, pragnąc jak najprędzej przeżyć wraz z opowiadającym koniec owej nocy w skazanem na zagładę mieście.

— Powlokłem się zniechęcony z powrotem do Sieniawskiego. Było już po naradzie. W wielkiej tajemnicy zakomunikował mi jej wyniki.

Amunicji nie było prawie zupełnie. Granatów ręcznych znalazł się najwyżej trzysta... czterysta sztuk. Parę armat znalazło się w koszarach policji, ale niema do nich ani jednego naboju, Opór niemożliwy. Wobec tego uchwalono złożyć broń i amunicję na placach i ulicach i podczas wkroczenia wojsk siedzieć w domach, aby nie dać najmniejszego powodu do zbrojnych starć. Pytałem go, jaką mam zdać relację Twyfordowi. Po namyśle orzekł, że najlepiej będzie jeśli powrócę doń z wieścią o upadku ducha wśród obrońców miasta. Pożegnałem go i około siódmej z rana byłem już w Newark. Wojska jeszcze nie nadciągnęły. Nie krępując się zupełnie, zawiadomiłem o swym powrocie śpiącego jeszcze Twyforda. Zjawił się natychmiast. Jadłem właśnie śniadanie, więc i on kazał je sobie podać.

Uśmiechnął się łobuzersko, jak uczeń, któremu udał się nadzwyczajny figiel.

— Kazał sobie podać, lecz nie tknął go zupełnie — ciągnął dalej Stefan. — Zaledwo garson opuścił gabinet, schwycił mnie za ramię. No, jak tam? Duch u rebeljantów wyśmienity, prawda? co? — rzucał pytania jedno po drugim, nie czekając na odpowiedź. — Naturalnie! Zapewne głowią się już nad projektem posągu, jaki ma stanąć na głównym placu w Chicago, jako pamiątka zwycięstwa nad armją Stanów? He... he... he! tak... to bitni ludzie! Im... aby się tylko bić! Nastrój wojowniczy... co... do ostatniej kropli krwi! Ja ich znam!

„Rechotał tak szatańskim śmiechem... tyle okrutnej radości widniało w jego oczach, że porwała mnie prawdziwa pasja. Opanowałem się jednak i począłem zdawać relację. Kiedym wspominał, że upadek ducha wśród powstańców jest znaczny, zmieszał

się, a gdym dodał, że prawie wszyscy z Milwaukee i innych miejscowości powymykali się chyłkiem z Chicago, zbladł, a ręce poczęły mu drżeć, jak w febrze. Dobiła go zaś zupełnie wiadomość, że wszędzie na ulicach i placach leżą stosy porzuconej broni. Dla zaasekurowania siebie powiedziałem jeszcze, że między pozostałymi w mieście powstańcami kursuje wieść, jakoby przywódcy ruchu ukryli się tak sprytnie, że żadną miarą nie można ich odnaleźć.

Dodałem jednak zaraz, że drudzy twierdzą, iż przywódcy są na miejscu obradując bezustannie nad położeniem. W końcu określiłem nastrój miasta jako wybitnie pacyfistyczny".

— Zgłupiał... co? Wszystkie rachuby... fiut! — śmiał się Wiechecki, zacierając ręce i podrygując z wielkiej uciechy na krześle.

— Nadzwyczajnie! Przez chwilę robił wrażenie zupełnie złamanego. Siedział zgarbiony... z brwiami tak zbiegniętymi, że zasłaniały kompletnie oczy. Ale rychło odzyskał pewność siebie. Począł się śmiać i podkpiwać lekko ze mnie, zresztą, w sposób przyjacielski. Że widocznie trafiłem na garstkę tchórzów... że porzucona broń musiała być zepsuta... że biorąc rzecz z psychologicznego punktu widzenia, nastrój wśród powstańców musi być niezwykle podniosły i wojowniczy po zwycięstwie nad silnymi oddziałami policji... że zbyt pochopnie uwierzyłem słowom malkontentów, którzy znajdują się zawsze w takich wypadkach.

Udałem, że jego słowa dotknęły mnie. Stał się jeszcze bardziej serdeczny. I tu był właśnie najciekawszy moment naszej rozmowy. — Znasz pan Polaków? — pyta. — Odpowiadam, że prawie nie. — A ich historję? — Bardzo mało. Wiem tylko, że długi czas byli rozdzieleni w niewoli i uzyskali niepodległość dopiero po Wielkiej Wojnie. — To w takim razie nie może pan wydać opinji o nastroju zrewoltowanych mas, wśród których właśnie

osiemdziesiąt procent jest Polaków. — I począł mi opowiadać o umiłowaniu wolności przez ten naród... o wielokrotnych wysiłkach stargania więzów niewoli... o bitności Polaków, znanej szeroko. — Widzi więc pan — zakończył swe wywody — że skoro raz Polak zerwie się do walki, nie ustąpi tak łatwo. I dlatego zajmując miasto natrafimy na opór... Polacy lubią się bić“.

— Oj... żebyś go tak spotkał gdzie w ciasnej ulicy, toby jeszcze mocniej w to uwierzył — mruknął zawzięcie Wiechecki.

— Udałem, że przekonał mię zupełnie. Tymczasem generał Govington przysłał po Twyforda samochód z wieścią, że za dwie godziny oddziały poczną zajmować miasto. Pojechaliśmy. Zdziwiłem się, kiedy Twyford przedstawiając mnie generałowi, nazwał mnie swym najbliższym współpracownikiem. Zauważyłem, że tak generał, jak i jego sztab patrzyli na mnie odtąd z pewnego rodzaju poważaniem. Zaczęło się zajmowanie miasta. Z początku artylerja wypuściła kilkanaście granatów na przedmieścia, poczem piechota pod osłoną czołgów i samochodów pancernych poczęła wkraczać na przedmieścia. Jednocześnie chmara samolotów pomknęła naprzód. Miałem ochotę parsknąć śmiechem, widząc z jaką pompą robi się to wszystko. Żadnego oporu, ani jednego strzału nawet. Po kilkunastu minutach takiego uroczystego posuwania się naprzód, natrafiliśmy na przerażoną, drżącą delegację Rady Miejskiej, złożoną z samych jankesów. Ci zapewnili generała i Twyforda o lojalności rdzennie amerykańskiej ludności miasta i zawiadomili ich zarazem, że zrewoltowani porzucili na ulicach broń i częścią ukryli się po domach, częścią opuścili miasto.

— A widzisz, wisielcze! — wtrącił Wiechecki. — Tyś mądry, ale są mądrzejsi od ciebie. No... jakżeż to przyjął... on? Kompromitacja na całej linii!

— Ba! — machnął ręką Stefan. — Wrażenie słów delegacji było wprost straszne. Tak Twyford jak i generał i jego sztab byli

zupełnie przybici. Robili wrażenie ludzi schwytyanych w swe własne pułapki. Twarz Twyforda kurczyła się w niemej wściekłości, jak paszcza postrzelonego wilka. Covington wydał rozkaz zatrzymania oddziałów na miejscu i, poprzedzani paru samochodami pancernymi, szybko przebyliśmy drogę do ratusza. Delegacja mówiła prawdę. Stosy karabinów i rewolwerów leżały na placach. Amunicji było bardzo mało. Natychmiast Covington ogłosił, że z rozkazu prezydenta panuje w mieście stan oblężenia, a w cztery godziny potem wielkie plakaty rozlepione na rogach ulic głosiły wszem, że przywódcy rewolty: pułkownik Adam Sieniawski, Józef Krzon, Jan Dzięciara, Jean de Villeneuve, Hans Muller, Giuseppe Malafede, Mario Labico, Juan de Ruidera, Otto Dokoupil i Jovan Negotainic zostali stawieni przed doraźny sąd wojskowy, który skazał ich na śmierć na podstawie praw stanu oblężenia. Egzekucja została dokonana w ciągu godziny od ogłoszenia wyroku skazanym. Prócz tego cały dzień i całą noc samochody wywoziły aresztowanych, ale dokąd... nie mogłem się dowiedzieć. Tak się dotąd przedstawia epilog rewolty w Chicago! — zakończył smutnym tonem.

— Ha... gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą! Ale ja odrazu nie pochwaląłem pośpiechu, z jakim była przeprowadzona akcja protestacyjna — mówił Wiechecki, powstając z krzesła — trzeba było zaczekać i porozumieć się z ojczystymi rządami. Zobaczylibyśmy jaką byłaby odpowiedź Twyforda na zbiorowe noty państw Europy? Albo chce on wywołać zbrojną akcję, rozpoczętą naturalnie przez Europę, albo mydli oczy świata, odwracając drobnymi ukłuciami uwagę jego od mających nastąpić prawdziwie wielkich wypadków. Rozumiesz, chłopcze! Ale na mnie już czas!

Ruszył szybkim krokiem ku drzwiom, lecz nagle, jakby przypomniawszy sobie coś, zatrzymał się tuż przed niemi.

— Słuchaj... jak jesteś z Jane? — zapytał po sekundzie wahania.

Stefan patrzył nań przez chwilę ze zdziwieniem w oczach, jak gdyby nie rozumiał pytania.

— Jak to jak...? — odrzekł wreszcie. — Kochamy się.

Stary machnął niecierpliwie ręką.

— No... to głupstwo! — przerwał jego słowa. — Ale czy rozmawialiście z sobą na temat przyszłości... jak dalej potoczyć się ma wasz los? Zwłaszcza tobie, jako znającemu sytuację, powinno zależeć na takiej rozmowie. Już chociażby ze względu na zabezpieczenie sobie swobody działania, kiedy nadejdą decydujące chwile.

— Jestem pewien Jane! — powtórzył Stefan.

Spokój, z jakim potraktował sprawę, zirytował nareszcie starego emigranta.

— Kogo jesteś pewien, czego? Miłości Jane?

No... a co będzie, jeśli córusia zauważywszy, że chcesz na gwałt zrobić z jej ukochanego tatusia zwyczajnego głupca, przyjdzie do mister Twyforda i powie: — Tatusiu, strzeż się Burlingtona, gdyż po pierwsze nie jest on wcale Burlingtonem, a po drugie, chociaż mnie ubóstwia, działa, kochany tatusiu, przeciwko tobie. — Acha.....co będzie wówczas?

— O... tego, że noszę przybrane nazwisko, nie wyjawi nigdy nikomu! — zaręczał gorąco Stefan.

Wiechecki rzucił mu pełne politowania spojrzenie.

— Utrzymanie przez kobietę powierzonej jej tajemnicy należało zawsze do tak niesłychanie rzadkich wypadków, że kroniki średniowiecza notują: nazwiska takich bohaterek celem przekazania potomnym ich pamięci. Tak... to były niemal cuda! Bo czyż może istnieć zestawienie takich trzech rzeczy: kobieta... tajemnica i milczenie! Każdy parsknie na to śmiechem. I słusznie! A kto to,

chłopcze, wyjawiał zmarłej lady całkowitą prawdę o tobie? Co? Przypomnij no sobie, a może ta cała twoja pewność nieco się zachwieje?

Podhorski zachnął się niecierpliwie

— Tamto było co innego! — mówił spiesznie z lekkim zmieszaniem w głosie. — Lady opętała ją swą serdecznością... skusiła obietnicą opieki nad naszą miłością....

— Wiem, wiem! Zwykła w takich wypadkach rzecz — przerwał mu Wiechecki. — Otóż to właśnie, że kobietę zawsze może ktoś opętać, a coś skusić! Już ty lepiej pogadaj z Jane. Będziemy wiedzieć, czego się trzymać! Chodźmy!

Siadając do jednego z aut, stojących przed hotelem, ujrzeli niezwykle pochód nadciągający od śródmieścia.

Na przedzie, daleko przed główną kolumną pochodu, jechało paru policjantów na motocyklach. Za nimi samochód policyjny, w którym znajdowało się dwudziestu uzbrojonych od stóp do głów stróżów porządku publicznego. Dopiero potem nadjeżdżały dwa kryte auta, zamknięte na głucho. Przy obu szoferach siedziało paru techników pracujących w pałacyku nad planami. Naokół zaplombowanych samochodów i na końcu pochodu tuż za drugim autem policyjnym kręciło się kilkunastu motocyklistów.

Tymczasem samochód Podhorskiego mijał już czoło pochodu.

Stefan nagłym pchnięciem wcisnął Wiecheckiego w róg zamkniętego auta, sam równocześnie wtulając się w drugi.

— Plany opuszczają Waszyngton! — szepnął staremu do ucha. — Poznałem dwóch inżynierów techników, którzy pracowali przy nich i przez cały czas mieszkali w pałacyku! Skryjmy twarze na moment lepiej, aby nie dostrzegli nas, a zwłaszcza mnie!

— O mnie chodzi również tak dobrze jak i o ciebie — mruknął Wiechecki.

Przez tylne okienko auta Stefan obserwował ruch, jaki wywołał na ulicy przejazd tajemniczych samochodów. Ze sklepów wybiegali hurmem i kupujący i sprzedawcy. Z okien wychylały się głowy ciekawych. Dzieci biegly za motocyklistami, niejednokrotnie przebiegając im tuż przed kołem.

Wreszcie samochody, motocykle i ludzie oddalili się tak, że nic już odróżnić nie było można.

Spojrzenia przyjaciół spotkały się ze sobą.

— Hm... czeka cię jeszcze jedna rzecz! — odezwał się po chwili poważnym głosem Wiechecki. — Dokąd przewieziono te skarby?

— Dokąd? Do fabryki, lub może do paru fabryk, aby przystąpić do konstruowania poszczególnych części tamy!

— Ba! To mało... a zresztą... to drobniejsza rzecz. — Bądź zdrow! — dorzucił, ściekając mu dłoń i otwierając drzwiczki auta.

— No... a fotografie? — zapytał cicho Podhorski.

— Będą za pięć, sześć tygodni w Europie! — odrzekł Wiechecki, znikając w tłumie ludzi, zalegającym schody dworca.

ROZDZIAŁ X.

Dekret o zniesieniu szkół narodowościowych i związane z tem krwawe wypadki oburzyły Europę.

Rządy państw najbardziej zainteresowanych, jak: Polska, Anglja, Czechosłowacja, Francja, Niemcy, Norwegja, Szwecja, Włochy, Hiszpanja, Jugosławja, Bułgarja poleciły swym posłom złożyć Twyfordowi in gremium jednobrzmiące noty, protestujące w imię praw ludzkości i demokracji przeciwko zamachowi ze

strony Rządu Stanów na narodowościowe i obywatelskie potrzeby wychodźców europejskich.

Demarche dyplomatów nie trwało długo.

Twyford, otoczony gronem wyższych urzędników swego resortu, w słowach bardzo zdecydowanych oznajmił panom ambasadorom i posłom, że Rząd Stanów uważać musi złożenie tej treści not za chęć zagranicy wtrącania się w wewnętrzne sprawy Stanów Rząd Stanów kategorycznie zastrzega się przeciw temu i już teraz, celem uniknięcia takich, jak te, nieporozumień, zapowiada, że w ciągu najbliższych dni ukażą się dalsze rozporządzenia, normujące stosunek emigrantów do państwowości Stanów.

— W ogóle Rząd, który reprezentuje, postępować będzie tak, jak mu nakazuje dobro i interesy Stanów — Kończył swa przemowę Twyford.

— I dlatego niezmiernie wdzięczny będę panom za spieszne poinformowanie swych rządów o stanowisku Stanów w sprawie emigracji.

Powiódł spojrzeniem swych stalowych oczu po zasępionych obliczach dyplomatów. Wysoka jego postać stała się nagle, jakby jeszcze wyższą. Odrzucił dumnie w tył głowę.

--- A stanowisko to... jest zupełnie jasne! —

brzmiał jego spokojny głos, przebijający od czasu do czasu lekkimi akcentami ironji. — Każdy emigrant, lądujący na ziemi amerykańskiej, staje się przez to obywatelem Stanów. Wracać już mu do rodzinnego kraju nie wolno. Nie wolno mu również wysyłać pieniędzy poza granice Stanów. Ci z emigrantów, którzy znajdują się obecnie w Stanach, a którzy nie posiadają obywatelstwa, będą musieli je przyjąć w ciągu trzech miesięcy. Ci, którzy go nie przyjmą, zostaną deportowani do Europy.

Dyplomaci ze zdumionymi minami opuścili przedsionki wspaniałego pałacu Kongresu.

— I cóż, koledzy, sądzicie o tem wszystkim?

— zapinając rękawiczki, pytał półgłosem de Viciosa, ambasador hiszpański.

— Najwyraźniej chcą wywołać starcie — rzucił sir Roland Douglas, ambasador angielski.

— Ale w jakim celu... poco? — dziwił się sam swym słowom.

— A ja wam powiadam, panowie, że wszystko to jest niczem! — zaśmiał się elegancki Rene d'Houdeville, przedstawiciel Francji. — Oni mają coś... coś przygotowanego dla nas specjalnie! Jakiś figiel... trick, który w danej chwili obezwładni nas całkowicie!

— A mnie się zdaje, że to tylko chamstwo — wtrącił Norweg, młody mężczyzna o jasnych, marzących oczach.

— O... nie, koledzy — zaprzeczył sir Douglas.

— Dyplomaci Stanów zawsze byli dżentelmenami. To prędzej to, o czem mówi kolega d'Houdeville! To musi być coś innego!

Większość dyptomatów podzielała też zdanie Francuza i kołyszając się na miękkich poduszkach wytwornych limuzyn, mimo woli, podczas powrotu do swych pałacików i will, łamali głowę nad wpadnięciem na ślad tego „czegoś”, o czego istnieniu z taką pewnością twierdził d'Houdeville.

Jednak raporty ambasadorów i posłów zrobiły swoje.

Rachityczna, nikomu niepotrzebna Liga Narodów zwołała do Genewy nadzwyczajne posiedzenie Rady. Po raz pierwszy, zapewne, na porządku dziennym obrad znalazła się sprawa na prawdę poważna.

Napływ dziennikarzy, fotografów i zwyczajnych, „ciekawskich” był tak olbrzymi, że wszystkie okoliczne miasteczka były przepełnione.

Pierwsze posiedzenie naznaczone zostało na Wtorek, na godzinę jedenastą przed południem.

Już o dziesiątej olbrzymia Sala Reformacji wypełniona była aż do ostatniego miejsca.

Dziennikarze biegali od jednego stołu do drugiego, znikając co chwila za drzwiami, wiodącymi do Sekretarjatu. Każdy usiłował wydostać od kogoś jakiś strzęp... okruch wiadomości lub... bajki. Niektórzy, udając doskonale poinformowanych, z namaszczaniem rzucali rzadkie i przeważnie nic nie znaczące zdania, które inni zapisywali skwapliwie w notatnikach po to, aby doczepiwszy do nich jeszcze parę zdań, pchnąć tym sposobem skonstruowaną depeszę do redakcji swego pisma, jako nadzwyczaj rewelacyjną i aktualną. Po korytarzach przebiegały wciąż pracowniczki sekretarjatu. Wysoko podstrzyżone, wymalowane do niemożliwości, śmiałe i zaczepne, napępniały korytarze i pokoje owym specjalnym gwarem kobiecej paplaniny, w którym najważniejszą rolę grają udające naiwność wykrzykniki, krótkie, urywane wybuchy histerycznego śmiechu i szybkie, bezsensowne rzucanie słów, jednych za drugimi.

Wszystko to biegało, wpadało na siebie, spoglądając gorączkowo na zegarki lub dopytując się wzajemnie o godzinę.

Wreszcie o wpół do jedenastej stoliki służby stenograficznej i tłumaczy poczęły się wypełniać.

Dziennikarze hurmem wpadli na sale, zajmując swoje miejsca, przyczem wybuchały małe spory, łagodzone natychmiast przez sąsiadów.

Przed samą jedenastą pojawił się na sali Sekretarjat. Przeważnie zastygłe, uroczyste w swej powadze twarze. Zaludniło się przed szeregiem foteli, zajmowanych przez najgrubsze ryby Rady.

Pierwszy wszedł, a raczej, jak zazwyczaj, wpadł przedstawiciel Szwajcarii, gruby, zażywny pan Sturm, właściciel kilkunastu hoteli, prosperujących znakomicie-

Wpadł, przecierając binokle i witając się hałaśliwie z sekretarzami.

Po nim wtoczył się poważnie Ernest von Graeber, delegat Niemiec. Zimnem spojrzeniem obiegł salę, odpowiadając lekkimi skinieniami głowy na liczne ukłony dziennikarzy. Zasiadł następnie wygodnie w swym fotelu i zagłębił się całkowicie w studjowanie jakiejś broszury.

Niebawem wszyscy już byli na miejscu. Szerokobarczysty lord Crawford rozmawiał żywo z delegatem Francji, d'Aumale, i Polski, Eugenjuszem Wrąckim, wysokim, szpakowatym mężczyzną o suchej, nieco drapieżnej twarzy. Dostrzegłszy von Graebera, podeszli doń i przez dłuższy czas rozmawiali z nim, dysputując snąc o broszurze czytanej przez niego.

Posiedzenie otworzył z kolei przedstawiciel Holandji Van Rijk. Powitawszy obecnych, zaznaczył, że dzisiejsze, nadzwyczajne posiedzenie zwołane zostało na skutek przykrych nieporozumień jakie poczęły się pojawiać pomiędzy Europą i Stanami Zjednoczonymi, które to jednak nieporozumienia mogą mieć tylko charakter przejściowy i naprawdę dobrych, tyle lat wypróbowanych stosunków pomiędzy Starym, a Nowym Światem zniweczyć nie mogą.

Wyraził pozatem żal, że tym razem nie widzi zwykłego obserwatora amerykańskiego. Obserwator taki przekonałby się, że w sali tej panuje atmosfera pokoju, że o akcji odwetowej nikt nie myśli.

Wreszcie oznajmił, że posiedzenie rozpocznie się referatem sekretarjatu Ligi, czytaniem wszystkich not, jakie wymienione zostały pomiędzy Rządami w Europie, a Rządami Stanów.

Pierwszy sekretarz Biura Sekretarjatu, sir Edgware, w niespełna pół godziny załatwił się z referatem.

Rozpoczęło się czytanie not, wymienianych przez poszczególne Rządy tak z Rządem Stanów, jak i pomiędzy sobą.

Cięzka, beznadziejna nuda zawisła natychmiast pod bogato rzeźbionym stropem. Niektórzy z dyplomatów poczęli dyskretnie ziewać. Drudzy, wsparłszy głowy na dłoniach, zdawali się drzemać. Inni znów, a zwłaszcza urzędnicy Sekretarjatu, wymykali się nieznacznie za drzwi.

Publiczność, zalegająca galerje, spostrzegła, że dzisiaj stanowczo... wpadła.

Spodziewano się ogólnie silnych, namiętnych ataków na Stany, niektórzy nawet wierzyli naiwnie w duchu, że będą świadkami wypowiedzenia po raz pierwszy przez Ligę Narodów wojny.

A tutaj fiasko! Na całej linii.

Dziennikarze mieli również kwaśne miny. I czegoż mieli się cieszyć? Z tej całej powodzi słów, niewiadomo, czy da się wskrobać trzydzieści, czterdzieści wierszy trzyszpaltowej depeszy!

Cała sala robiła wrażenie śpiącej.

Nagle daleki warkot motoru aeroplanowego odwrócił uwagę sali od monotonnego głosu czytającego.

Dziennikarze spojrzeli na zegarki. Dochodzi pierwsza. Powszechne zdziwienie, gdyż aeroplany pasażerskie linii miejscowych, francuskich i włoskich, poczynają przybywać dopiero po trzeciej.

— Bo też to żaden pasażerski olbrzym! Widzę go, to mucha! — ozwał się półgłosem jeden z dziennikarzy.

— Prywatny! — zdecydował drugi. — Jakiś żądny wrażen i sensacji jegomość pędzi w nim, aby zdążyć chociaż na koniec interesujących obrad Rady — dorzucił sztucznie poważnym tonem.

W całej sali zahuczał dyskretny, siłą wstrzymywany śmiech, Smieli się nawet dyplomaci. Dowcip o ciekawym dniu Rady Ligi był rzeczywiście dobry.

Dyplomaci wiedzieli przecież, że tak będzie, gdyż Rządy nie zdążyły się jeszcze porozumieć i wypracować instrukcyi dla swych genewskich przedstawicieli.

Co prawda możnaby zupełnie dobrze odłożyć dzisiejsze posiedzenie do jutra. Przemawiała przeciw temu tylko powaga sprawy, którą to powagę chciano właśnie podkreślić przez punktualność w rozpoczęciu obrad.

Do fotelu Wrąckiego podszedł jeden z młodszych sekretarzy Biura, komunikując mu szeptem jakąś wiadomość, która musiała być niespodziewaną, gdyż gęste, wyraźnie zarysowane brwi Wrąckiego podniosły się ze zdziwieniem w górę.

Opuścił salę i w towarzystwie dwóch współpracowników delegacji polskiej, minawszy cały szereg korytarzy, poczekalni i sal, znalazł się na tarasie, z którego zbiegały schody wprost na ulicę.

Dostrzegł go któryś z dziennikarzy, sterczący już od paru godzin przy oknie.

Wiadomość, że przedstawiciel Polski spaceruje po tarasie, najwidoczniej oczekując kogoś, zelektryzowała brać reporterską. Zaatakowano pracowników Biura i po kilku minutach wszyscy dziennikarze, publiczność i fotografowie pędzili po schodach na dół, aby broń Boże nie stracić ani jednej sekundy niezwykłego wypadku w dziejach Ligi Narodów.

Lord Crawford, poszeptawszy z d'Aumale, ciężkim, znużonym od bezruchu krokiem podszedł do przewodniczącego, proponując przerwę.

— I tak tych dokumentów jest taka moc, że śmiało zapelniam nam pozostałe po przerwie trzy godziny — mówił Crawford zupełnie rozbitym głosem.

Van Rijk zarządził przerwę.

Sala opustoszała momentalnie.

Przedstawiciele sześciu głównych państw przeszli na balkon. Rozsiadłszy się wygodnie w trcinowych miękkich, poduszkami wysłanych fotelach, palili papierosy, wodząc wzrokiem po skalnych olbrzymach, wznoszących się w górę tuż poza miastem.

Gdzieś niedaleko zawarczał automobil. Wzrok dyplomatów mimowoli pobiegł wzdłuż szerokiej ulicy, której wylot znajdował się już na lotnisku.

Po ulicy tej ku gmachowi Reformacji pędził zakryty samochód. W ciągu dwóch minut był już przed schodami.

Z trzaskiem rozwarły się drzwiczki i z ciemnego wnętrza wyskoczyły dwie smukłe w zielonkawę mundury odziane, postacie polskich oficerów lotniczych. Poprawiając mundury i obciskając pasy, spoglądali po tłumie ciekawych, uśmiechając się na widok przepychających się bez przerwy i przeszkadzających sobie wzajemnie fotografów.

W tej chwili zbiegł ku nim po schodach jeden z sekretarzy Wrąckiego, informując, że minister oczekuje na tarasie.

Przybrawszy poważny wyraz twarzy oficerowie twardemi krokami szli przez taras, ku miejscu, gdzie otoczony sztabem swych współpracowników siedział Wrącki.

Gdy zbliżyli się, powstał.

Wyciągnęli się przed nim jak struny i w przejmującą ciszę wpadły ostre, miarowe słowa żołnierskiego meldunku.

W dłoni drugiego oficera zaniebieszcząca gruba koperta. W drugiej ręce trzymał niewielkie, owinięte w płótno pudełko.

Obie te rzeczy wręczył Wrąckiemu, który list pozostawił u siebie, a pudełko powierzył pierwszemu sekretarzowi.

Przywitał serdecznie przybyłych.

— O której panowie opuścili Warszawę? — pytał, wiodąc ich obydwóch pod rękę.

— Wystartowaliśmy punkt szósta rano — odparł kapitan Gromnicki, nazywany powszechnie „szczęściarzem”, gdyż do-tychczas wychodził cało ze wszystkich katastrof.

— Nad Czechosłowacją natrafiliśmy na boczny wiatr, który poważnie opóźnił nasze przybycie — dorzucił porucznik Trenkwald ze śladami licznych ran na twarzy, czole i dłoniach.

— Zapewne bez śniadania!?! — zatroszczył się Wrącki.

— Prawdę mówiąc, to tak, gdyż nie można przecież brać pod uwagę dwóch butelek wody sodowej na lotnisku w Warszawie — zaśmiał się Trenkwald.

— Panie Laskowski, polecam panu naszych miłych gości. Sam pożegnam panów na chwilę, gdyż muszę śpieszyć na Radę — tłumaczył się Wrącki, ściskając dłonie lotnikom.

W tak zwanej „Małej Sali“, przeznaczonej na poufne zebra-
nia Rady Ligi, w wygodnych, głębokich fotelach siedzieli człon-
kowie Rady. Ciężkie story zasłaniały całkowicie okna, nie przepu-
szczając słońca. Było ciemnawo, rozkosznie, chłodno. Znużeni
całodziennym słuchaniem jednobrzmiących prawie zażaleń roz-
maitych stowarzyszeń wychodźczych, dyplomaci odpoczywali,
napawając się spokojem i aromatem tytoniowego dymu.

Wszedł Wrącki. Równocześnie służba oświetliła salkę mle-
cznemi lampami.

Wrącki rzucił wzrokiem na zegarek.

— Przepraszam za spóźnienie — rzekł, skłaniając lekko
głowę — ale musiałem zająć się swymi gośćmi. Wyobrażcie sobie
panowie, że od wczorajszego wieczoru nic w ustach nie mieli.

Lord Crawford poruszył się w swym fotelu.

— Mam nadzieję, że kolega pozostawiłeś ich w naszym
bufecie? — zapytał.

Wrącki skinął potakująco głową.

— Z przyjemnością uścisknę dłoni tak dzielnych lotników — rzekł lord, który rzeczywiście miał pasję do „ludzi powietrza”.

Wrącki poprosił Van Rijka o głos.

W krótkich słowach zaznajomił słuchaczy ze sprawą.

Przed trzema tygodniami do posła polskiego w Waszyngtonie, z jednego z małych miasteczek zachodu nadeszła pocztą niewielka paczuszka, składająca się z kilkudziesięciu fotografii o charakterze technicznym. Do paczki dołączony był list, w którym ktoś, mianujący się majstrem opisuje pokrótce, że przesłane fotografie są poczynionymi przezeń odbitkami planów, jakie fabryka, w której pracuje, otrzymała do wykonania.

Otóż ów majster pisze dalej w swym liście, że jak twierdzą inżynierowie fabryczni, plany te są olbrzymim niebezpieczeństwem dla Europy i dlatego, jako Polak, kochający swój ojczysty kraj, przesyła je ambasadzie, celem dokładnego zbadania.

— Jeden rzut oka wystarczy, aby z fotografii tych wyłoniła się ponura rzeczywistość strasznego niebezpieczeństwa dla Europy — za-

167

kończył Wrącki, rozkładając na stole wyjęte z blaszanego pudełka fotografie.

Kilkanaście par oczu poczęło je przeglądać.

Pierwszy d'Aumale wpadł na ślad.

— Sapristi! — zakrzyknął. — A to co? Śmierć Europy?

Crafword przysunął się doń.

— Pokaż pan... ja dotąd na nic takiego nie natrafiłem... same jakieś kloce, albo coś w rodzaju kesonów.

D'Aumale podał mu fotografię i, usunąwszy się nieco na bok, z pod oka obserwował twarz lorda.

Ten wlepił wzrok w kontury Florydy, wysp Bahama i ciągnącej się od nich ciemnej kreski, zmieniającej dotychczasowe koryto Golfsztremu.

D'Aumale dostrzegł, że dłonie lorda poczynają coraz silniej i silniej drżeć ze wzburzenia, że mocno zaciśnięte szczęki nadaremnie silą się na wypowiedzenie jednego chociażby słowa.

Wreszcie Crawford rzucił na stół fotografię i osunął się na fotel.

— Zbrodniarze! Zbrodniarze! Zbrodniarze! — krzyczał nienaturalnym, zdławionym przez wściekłość głosem. Wyglądał tak strasznie, iż sądzono ogólnie, że to jakiś atak nerwowy, lub apoplektyczny.

— Wojna! — wykrztusił, dusząc się w napadzie kaszlu.

Wszyscy poczeli oglądać fotografię, która uczyniła takie wrażenie na spokojnym skądinąd Angliku. D'Aumale osadził monokl w oku.

— Zdaje się... — wycedził przez zęby. — Ba! — dorzucił po chwili z nutą żalu w głosie.

— W wypadku, gdyby powiódł się projekt jankesom, moje ogrody różane koło la Rochelle... kaput!

— To coś niesłychanego! — zabrzmiał głos przedstawiciela Włoch. — Okrucieństwa Wielkiej Wojny są wobec tego niczem!

— So... so! Naturellement! — przywtórzył skwapliwie Ernest von Graeber.

— Cóż pisze panu dalej rząd polski? — pytał Wrąckiego van Rijk.

— Właśnie chciałem to zakomunikować kochanym kolegom — mówił Wrącki, zbliżając się do stołu. — Otóż rząd mój poleca mi przedłożyć Radzie projekt odroczenia publicznych posiedzeń do czasu porozumienia się rządu polskiego z rządami państw zainteresowanych.

— Słusznie! — oznajmił pierwszy Crawford.

— Sytuacja zmieniła się tak zasadniczo, że należy czemprędzej zapomnieć o tem, co było! Tamto... to drobnostki w porównaniu z dzisiejszą wiadomością.

— Ale kochany lord nie obejrzał, zdaje się, wszystkiego? — ozwał się d'Aumale, potrząsając trzymaną w ręku niewielką odbitką fotograficzną.

— No... czyżby tam było jeszcze coś ciekawego! — poruszył się niespokojnie Crawford.

— Naturalnie... a zwłaszcza dla pana bardzo ciekawe! O, widzi kolega... Ziemia Baffina... cieśnina Grenlandzka, a w niej prąd zimny... podbiegunowy. A teraz dostrzega pan tę kreseczkę... o tę... to właśnie tama, kierująca ten prąd na pełny ocean, czyli, inaczej mówiąc, na Europę. Tak... tak, dostajemy dwa upominki od Ameryki — zakończył żartem Francuz.

— Daj, kolego, spokój! — machnął obojętnie ręką Anglik. — Jestem tak wytrącony z równowagi, że muszę zapomnieć na chwilę o tem wszystkim. Panie przewodniczący! — zwrócił się w stronę van Rijka. — Zgadzam się na wniosek kolegi Wrąckiego!

— I ja też! — dorzucił d'Aumale.

— Wybornie — ucieszył się Crawford. — Idziemy w takim razie do bufetu na cocktail! To uspakaja nerwy!

W piętnaście zaś minut później van Rijk, otoczony dygnitarzami Biura Sekretarjatu, w obecności nie należących do Rady przedstawicieli państw, w obliczu tysiąca niemal dziennikarzy, oznajmiał, że posiedzenia Ligi zostają odroczone na czas bliżej nieokreślony.

Wrażenie tych słów było piorunujące. Dziennikarze, aczkolwiek otrzaskani ze wszelkiego rodzaju niespodziankami, tym razem nie wiedzieli, doprawdy, co sądzić o tym wypadku.

Wtem któryś z nich przypomniał o polskim aeroplanie.

Wnet zahuczało w sali, jak w rojnym ulu.

Rzucono się na poszukiwanie Polaków. Niema nigdzie! Ani w bufecie dziennikarskim, ani też w gabinetach, znajdujących się obok. Dopiero w Sekretarjacie powiedziano im, że oficerowie bawią w bufecie dyplomatów.

Skrzywiło się niestrudzone bractwo dziennikarskie. Ha! Cóż robić? Nadajmy tymczasem depeszę o odroczeniu posiedzeń! Rozpierzchło się wszystko po kabinach telefonicznych i telegraficznych.

Tymczasem kapitan Gromnicki rozśmieszał do łez dyplomatów, opowiadając, jak w ubiegłą niedzielę, podczas pokazu lotniczo - gazowego na placu Saskim rzucono dwie bomby łzawiące i jak gromady wystrojonych kobiet uciekały na oślep, wpadając na domy i w objęcia więcej wytrzymałych na łzy mężczyzn, wywołując tysiączne nieporozumienia.

Gromnicki położył dłoń Trenkwaldowi na ramieniu.

— Otóż jedno właśnie z takich nieporozumień spotkało mego kolegę — opowiadał z szelmowskim błyskiem w oczach. — Akurat w trakcie tego kolega był na Placu Saskim. Cofnął się przezornie w stronę przeciwną od wiatru i śmieje się. Naraz... podskoczył naprzód! Jakaś szykowna kobietka... linja... nóżki... wszystko jak należy! Idzie z przyłożoną do oczu chustką, potrącana niemiłosiernie przez inne panie. Wreszcie zawadziła nogą o sklepowe schodki i siadła na nich. Chwycił ją pod ramię, wyprowadził na Królewską i z pełnym elegancji ukłonem pyta, dokąd ma odwieźć?

— Nie tak było! — śmiał się Trenkwald. — Zupełnie nie miałem zamiaru odwozić nikogo!

— Aha... kto by ci wierzył! Dama odjęła chustkę od oczu... Kolega omal nie upadł... Żona! Poznała go naturalnie i dalejże!

„To tak! To wy sobie takie zabawy urządza! Jeden oślepia po prostu kobietę, a drugi, korzystając z tego, proponuje oślepionej odwiezienie do domu! I naturalnie ty pierwszy! No... zobaczymy." Ale kolega nic nie chciał zobaczyć, gdyż widząc, że magnifika przyszła już do siebie, uciekł i przezornie ukrył się na lotnisku.

Śmiech, z jakim przez cały czas przyjmowane było opowiadanie, dziwił niepomniernie właścicieli bufetu i całą służbę. Od tylu lat panowała tutaj cisza, gdyż jeśli nawet zebrało się w przerwach kilkadziesiąt osób, zbijały się one w małe gromadki, szepcząc półgłosem. Jeśli z jakiegoś kąta sali dobiegał odgłos śmiechu, to był on tak dyskretny, tak nic nie mówiący, że za objaw wesołości uważany być nie mógł.

Ale taki śmiech jak Liga Ligą nie brzmiał tutaj.

Właściciel i służba bufetu wprost nie poznają swych gości.

Wygolona, zażywna dość twarz Crawforda, kurczy się co chwila w bezustannych prawie wybuchach wesołości. D'Aumale świeci wszystkim w oczy swym monoklem i z charakterystyczną domieszką gallickiej ciętości opowiada anegdotkę z życia dyplomatycznego. Ernest von Graeber jest wprost rozanielony. Van Rijk dygocze cały od śmiechu. Wrącki patrzy na lotników dumny z tego, iż zdołali oni w ciągu tych krótkich chwil zdobyć tyle sympatji wśród grona zarozumiałych i zazwyczaj nadętych dyplomatów.

Reszta członków rady i przedstawiciele mniejszych państw, zwabieni tą zabawą, powoli przyłączali się do towarzystwa, wpadając natychmiast w taki sam nastrój.

Właściciel i służba bufetowa dziwili się coraz więcej.

Zwłaszcza, że dziennikarska „kaczka“ wypłynęła już na szerokie wody. Szeptano powszechnie, że polscy lotnicy przywieźli rozkaz do Dowództwa Marynarki Stanów, znaleziony na morzu

przez szkolny okręt Lwów. Otóż rozkaz głosił że, korzystając ze zbliżenia się okresu wichrów, wiejących na Atlantyku w kierunku wschodnim, należy już raz wreszcie przeprowadzić decydujący atak gazowy na Anglię i brzegi Francji i Hiszpanji.

Kaczka kwakała coraz śmieiej.

ROZDZIAŁ XI.

Jane szeroko rozwartemi oczami wpatrywała się w tytuł naczelnego artykułu londyńskiej Daily Mail. Pochylone nad stołem plecy raz po raz wstrząsał febryczny dreszcz. Od czasu do czasu z zaciśniętych kurczowo warg wydzierał się bolesny jęk.

Minuty przebiegały na zegarze obok, jedna za drugą, pokojówka kilkakrotnie pukała w drzwi, przepowiadając opóźnienie na wykłady, a biedna, nieszczęśliwa Jane po raz setny odczytywała złowieszczy nagłówek artykułu.

„Sekretarz do spraw zagranicznych Stanów, James Twyford i nawpół obłąkany profesor Warington chcą zamrozić Europę. Rząd Stanów i Kongres, jak również i Senat zgodzili się na ten potworny plan. Dzielny Polak, majster fabryczny, zdołał sfotografować plany i przesłać je do Warszawy. Dzięki niemu Europa dość wczesnie dowiedziała się o niebezpieczeństwie. Zamia-ry okrutnych Jankesów spełzną na niczem!”

Ona wiedziała kim jest ten „dzielny Polak”, majster fabryczny! Od pierwszego momentu zrozumiała, że majster, to Stef!

Teraz dopiero z zakamarków pamięci wybiegały korowody słów, zdań... kręciły się w zawrotnych płasach, aby w końcu ułożyć się w te dwa tylko wyrazy: „to oni”.

Zresztą... nie trzeba uciekać się do tak dalekich wspomnień. Parę miesięcy temu sam oświadczył jej wprost, że jakkolwiek kocha ją z taką samą jak i poprzednio mocą, jednak nie może zapomnieć, iż ojciec jej jest zaciętym przeciwnikiem Europy i powszechnie po cichu powtarzają, że wraz z Waringtonem opracowuje plan zniszczenia Starego Świata.

Gdy z oburzeniem odrzekła, że to nieprawda, że plany w pałacyku dotyczą terenów naftowych, nabytych przez ojca, podszedł do niej, objął ją lekko i wyraźnie... ach, jak wyraźnie powiedział, że takie właśnie antieuropęjskie plany widział w gabinecie jej ojca i w przyległych doń pracowniach.

Powiedział to tak pewnie, że w niej serce jak gdyby zamarło na chwilę. Pamięta, że pod czaszką przewinęła się straszna, daleka i taka obca myśl, że słowa te staną się przyczyną łez i bólu.

— Aha... jeszcze jedno!

Oznajmił jej, aby nie zapomniała nigdy, że kocha nie Harry'ego Burlingтона, lecz Stefana Podhorskiego.

--- Tak, tak, to on, to Stef, wydał plany swemu krajowi!

Czuła, że otwiera się przed nią przepaść, czarna, bezdenna!

Przymknęła zmęczone oczy.

Stała po jednej stronie przepaści. Od jej stóp, ponad przepaścią, ciągnęły się dwa kołyszące się na linach wiszące mostki. Po drugiej stronie przepaści, na krańcu jednego z przejść stał ojciec, na krańcu drugiego zaś Stefan.

Najpierw zauważyła ojca. Patrzył na nią i uśmiechał się dobrotnie.

W dalekich mgłach dziecińczych wspomnień widziała zawsze tę mądrą, uśmiechniętą twarz.

Rozczulenie chwyciło ją za gardło. Zdecydowanie wstąpiła na most wiodący ku postaci ojca.

Wesoły, zwycięski okrzyk, wymawiający jej imię, powstrzymał ją na miejscu. To Stef, radosny, kipiący życiem, promieniający miłością, dyszący pożądaniem. Wyciągał ku niej chwytlive, zachłanne ręce, śmiejąc się kusząco i nawołując wciąż ku sobie pieśczośliwymi słowami.

Zadrgało w niej wszystko. Serce porwało się naprzód jak szalone. Rozmarzone oczy jak urzeczone patrzyły na wysmukłą młodzieńczą postać. Na w pół rozchyłone usta dygotały w pożądaniu pocałunków.

Z radosnym okrzykiem wbiegła na most miłości.

W ostatniej chwili, jak gdyby mimochodem, rzuciła wzrokiem na postać ojca.

Stał jeszcze na tem samym miejscu. Nie uśmiechał się już jednak i twarz jego nie miała wyrazu dobrotliwości. Stał z pochyloną głową, jakby nad mogiłą pogrzebanego szczęścia. Podniósł na nią smutny... bardzo smutny wzrok.

Pamiętała doskonale to spojrzenie. Ojciec miewa je zawsze, gdy rozmowa dotknie pamięci zmarłej matki Jane.

— Ojczy! — wydarł jej się z piersi rozpaczliwy szloch.

— Hej! Hej! Jane! Chodź! już dość czekaliśmy na siebie! Hej! Wiosna idzie!

— Boże! — jęknęła i zasłaniając oczy dłońmi runęła w przepaść, pomiędzy jednym a drugim przejściem.

Łoskot padającego na ziemię ciała przeraził do reszty pokojówkę. Przez chwilę potrząsała drzwiami, lecz widząc, że ani myślą ustąpić, pobiegła jak szalona na dół, alarmując Williamsa i resztę służby. Na to nadszedł Podhorski, powracający z lotniska.

Dowiedziawszy się, o co chodzi, roztrzącił biadających i pognął na górę. Jednym pchnięciem ramienia wyważył z zawias drzwi.

Wpadł do sypialni dziewczyny. Za nim przerażona do ostateczności pokojówka i spocony, głośno sapiący Williams.

Na dywanie przed biurkiem leżała skulona postać Jane. Zdawała się spać cicho.

Jednym skokiem znalazł się przy biurku. Porwał ją w ramiona, zauważył, że na czole perłą się duże krople potu, że ręce jej są przeraźliwie zimne.

Zląkł się.

Złożył delikatnie Jane na łóżku.

— Amonjaku! — krzyczał. — Octu wreszcie!

Kucharczyk w ciągu paru minut przyniósł butelkę esencji octowej.

— Precz stąd wszyscy! Rozepniesz szlafroczek miss i wytrzesz ją octem, aby odzyskała przytomność! Prędejj!

W kilkanaście minut później doktor krzątał się już koło chorej, a Twyford, stojący nieruchomo w nogach łóżka, śledził każdy jego ruch.

Wreszcie lekarz, stary przyjaciel Twyforda, wyprowadził go po cichu z pokoju.

— No, James, możesz wracać do swojej roboty. Żadnego zapalenia mózgu nie będzie... ręczę! Kto to pierwszy zadysponował ocet? — pytał rozglądając się.

— Ja! — zabrzmiał głos Stefana.

— Wyśmienicie pan zrobił — ucieszył się lekarz. — W takich wypadkach dłuższe pozostawanie w stanie omdlenia kończy się źle!

Twyford wyciągnął rękę ku Stefanowi.

Ścisnął tak silnie jego dłoń, że Podhorski mimowoli syknął z bólu.

Twyford mówił:

— Wiesz pan, czem jest dla mnie ta dziewczyna! Otóż wszelkie wyrazy, jakimi starałbym się odmalować moją wdzięczność dla ciebie, są niczem. Ograniczam się więc do krótkiego tylko — dziękuję!

Pomimo zapewnień lekarza, Jane bardzo powoli przychodziła do zdrowia.

Do tego czasu dopiero parę razy rozmawiała z ojcem. Rozmowy te były tak krótkie, że Twyford, zapytawszy córkę o zdrowie, zazwyczaj już nie otrzymywał odpowiedzi, gdyż Jane albo zupełnie nie odpowiadała, lub też naprawdę zasypiała w trakcie rozmowy.

Podhorski nie widział jej ani razu.

Wreszcie lekarz orzekł, że ta ciągła senność, ta obojętność, z jaką chora przyjmuje widok znajomych twarzy, ta cała w ogóle ociężałość jest pozostałością po wielkim wstrząsie nerwowym, który, prawdę mówiąc, jeszcze dzisiaj trapi Jane i trapić ją będzie czas dłuższy.

Rozmowa ta toczyła się w obecności Podhorskiego, którego Twyford coraz więcej traktował jako swojego człowieka.

Ojciec Jane zaczął łamać sobie głowę nad przyczyną owego wstrząsu.

Podhorski milczał, lekko zmieszany.

On wiedział, co było powodem choroby, a raczej cierpienia Jane.

Ale wyjawic ten powód było jednocześnie wzbudzić podejrzenie w Twyfordzie.

Stefan, pomimo, że dokładnie zdawał sobie sprawę z bolesnych szamotań duszy Jane, stojącej faktycznie na rozdrożu, nie stracił jednak wiary w potęgę i słodycz miłości. Wierzył, że uczucie musi wreszcie zwyciężyć.

A jednak napadały nań momenty zwątpienia. W takich momentach czuł się zawsze bardzo niespokojny i przybity.

To też serce zadrgało mu radością, gdy pewnego popołudnia, prawie już przed zmierzchem pokojówka Jane oznajmiła mu, że pani prosi go o odwiedzenie jej, gdyż chce mu podziękować za troskliwość, jaką okazywał w czasie jej choroby.

Przyjęła go z radosnym uśmiechem.

— Składam dzięki swemu wybawcy! — krzyknęła, gdy stanął w progu.

Z szacunkiem ucałował podaną, sobie dłoń.

Ruchem głowy zwolniła pokojówkę.

Stefan przylgnął ustami do jej rąk.

— Jane... dziewczyno jedyna! Ukochanie ty moje! Tak tęskniłem do twego widoku, że miejsca nie mogłem sobie znaleźć! Jane... tęsknota i ni

Przytuliła się doń ufnie, mocno.

— O, znam dobrze te oba uczucia i wiem, że to prawda, Stef — szepnęła, składając głowę na jego ramieniu.

Przysunął usta do dziewczęcej skroni. Zaróżowiła się lekko pod tem dotknięciem.

Młode ciało przebiegł rozkoszny dreszcz.

— Kocham cię, Stef! — szepnęła tuląc się do niego.

— Wiem, że kochasz — mówił, jak urzeczony wpatrując się w słodkie źrenice dziewczyny.

Owinął jej kibić ramieniem.

Wyczuł krągłość jej piersi. Ciepło jej ciała uderzyło weń, mącąc myśli.

Począł wodzić drżącymi, pałającymi wargami po złocistych splotach jej włosów.

Nagle upatrzawszy moment, gdy usta jej były rozwarte, pionującym ruchem wtulił w nie głodne wargi.

Zaszamotała się cała w rozpaczliwym odruchu obrony. Jedno... drugie szarpnięcie głowy w tył... jakiś niezdecydowany ruch odepchnięcia go od siebie, cichy jęk, dźwięczący akcentem zdumienia i nagle Jane zarzuciła mu ręce na szyję, tuląc się doń mocno... mocno.

Słowa przysiąg, zaklęć, szepty napełniły gabinetek Jane atmosferą miłości.

Jeszcze chwila, jeszcze jeden... drugi, pocałunek, jeszcze jedno spotkanie się drżących z niepojętego wzruszenia i uniesienia piersi, a na oboje spłynie słodkie zapamiętanie.

Pierwszy Podhorski resztkami woli zdołał wyrwać się kuszącemu czarowi miłosnej ekstazy.

— Kocham cię, Jane! — szepnął ujmując jej dłonie i z odalenia patrząc na twarzyczkę, pokrytą ciemnym rumieńcem wzburzenia.

Rozwarła oczy. Żrenice, zamglone lekko tumanem uniesienia, utkwiała w poblądłej twarzy Podhorskiego.

— Wierzę, Stef! Wierzę i to jedno tylko jeszcze.... — ukryła twarz w dłoniach. Reszta słów rozplynęła się w niedosłyszalnym szepcie.

Pochylił się ku niej.

— Coś chciała powiedzieć, jedyna? Tylko jeszcze...?

Zerwała się z kozetki z roześmianymi oczami.

— A... otóż tylko jeszcze raz! — zakrzyknęła wesoło, pochylając się nad nim i całując go w czoło.

— Ha! Ha! — śmiał się Stefan. — Tylko raz! Stanowczo za mało! Nie godzę się.

— Skoro nie można więcej! — przekomarzała się Jane.

Spowaźniał momentalnie.

— I dlatego właśnie przyrzekłem sobie, że za rok musimy być już małżeństwem. Z wolą, ojca, czy też... bez! Wszystko jedno! — rzekł z niezwykłą, mocą, w głosie.

Pochyliła głowę w milczeniu.

— Idź już, Stef! — szepnęła, — Czuję lekki ból głowy.

Ucałował delikatnie jej dłonie.

Omam przytem nie krzyknął głośno.

Ręce Jane, jeszcze przed chwilą pulsujące gorącą krwią, zimne teraz były przeraźliwie. Wąskie palce drżały bezustannie w błyskawicznych napadach febry.

Wracając, obiecywał sobie natychmiast jutro zawiadomić o tem doktora, jako o szczególe, dowodzącym, że choroba dziewczyny staje się coraz poważniejszą.

Nie wiedział, biedny, że ani jutro, ani przez długie dni następne nie ujrzy Jane i nie ucałuje jej kochanych dłoni.

Około dziewiątej rano do pokoju Podhorskiego, wsunął się nieśmiało Williams.

— Czy słyszał już pan, panie Burlington o wypadku? — pytał, utkwivszy weń przerażone spojrzenie wyblakłych oczu.

— O wypadku? Jakim? — zdziwił się.

Williams obejrzał się dokoła, jakby w obawie, aby nikt nie usłyszał jego słów.

— Dzisiaj, gdy mister Twyford wysiadał z auta przed gmachem Kongresu, jakiś człowiek strzelił do niego z rewolweru.

— Nie może być! — zerwał się Podhorski z krzesła — No i cóż! Ranny, czy... ? - reszta słów zamarła mu na ustach.

— Nic nie wiemy! Telefonowaliśmy kilkakrotnie do Biura Sekretarjatu, lecz zupełnie nie odpowiada — rozkładając bez nadziejnie ręce, desperował wierny sługa.

— Kto strzelał? — rzucił Podhorski.

— Jedni mówią, że Włoch, drudzy, że Węgier.

W tej chwili odezwał się dzwonek telefonu, stojącego na biurku.

Stefan ujął słuchawkę.

Mówił Twyford.

Okazało się, że rezultat zamachu ograniczał się na razie do rozdarcia przez kulę rewolwerową rękawa na lewym ramieniu. Rany żadnej, ni też nawet kontuzji przytem nie było. Strzelał Włoch. Twyford prosił Podhorskiego, aby przybył do niego, gdyż za pół godziny muszą lecieć.

Uspokoił Williamsa co do zdrowia Twyforda, polecając mu równocześnie przygotowanie walizki, zabieranej zwykle przez jego pana w drogę. Zawartość walizki miała powiększyć się o jeden garnitur marynarkowy, mający zastąpić ubranie, jakie miał na sobie Twyford w chwili zamachu.

— A panience w ogóle... — bąknął Williams, będący już przy drzwiach.

— A panience ani słowa o zamachu! Broń Boże! Pozatem, Williams, liczę tylko na was przez te dwa czy trzy dni naszej nieobecności. W czwartek, wezwana depeszą, powraca z urlopu pani Brown. Lecz do czasu jej przyjazdu musicie, Williams, bardzo uważać! W razie zasłabnięcia natychmiast zawiadomić lekarza... no i nas. Ale to będzie trudna sprawa, gdyż jak pan Twyford zapowiada, mamy w tym czasie być w kilkunastu miejscowościach. No, a teraz niechaj Williams się spieszy! Zawiezie walizkę! Auto ma być lada chwila.

W gabinecie Twyforda zastał profesora. Mieli odbywać podróż we trzech.

Poprosił o marszrutę ze względu na lotniska, jednocześnie ułożył z Twyfordem schemat lotu.

Mieli wyruszyć zaraz.

Udał się na lotnisko, gdzie jak zwykle maszyna gotową była do drogi. Po drodze nadał jeszcze w automacie telegram do Wiecheckiego tej treści:

„Pojutrze nocujemy Charleston”

Nazajutrz około szóstej, znajdując się nad Charlestonem, sporem miastem na wybrzeżu

Atlantyku, Podhorski spsikusował coś w motorze, tak, iż zaszła nieodzowna konieczność lądowania i dokonania potrzebnych reparacji w motorze. Faktycznie nieoczekiwany pobyt w Charleston nie zmienił zasadniczo planu wycieczki. Zamiast późnym wieczorem będą na miejscu jutro o ósmej z rana.

Gdy jechali z lotniska do miasta na kolację, Wartingtona uderzyły jaskrawymi literami złożone afisze, oznajmiające, że dzisiaj o godz. 9 i pół znany badacz problemów politycznych i społecznych, Lon Testlin wygłosi odczyt pod tytułem: „Dlaczego prawdziwi Amerykanie dążyć powinni do zagłady Europy?”

Twyford zainteresował się.

— A to co? — zdziwił się. — My nie posilkujemy się temi sposobami propagandy, opierając działalność naszą jedynie na powadze praw. Chyba, żeby się zawiązało towarzystwo, popierające w ten sposób zamierzenia rządu? A może to który z entuzjastów sprawy? Oryginalne!

— Wartoby się przekonać, co to takiego — mruknął profesor.

— Naturalnie! — przytwierdził Twyford. — Pójdziemy we trzech, gdyż kochany Burlington dopiero chyba jutro rankiem weźmie się do tej rurki naoliwiającej.

W połowie odczytu Twyford pochylił się ku Stefanowi.

— Musisz pan sprowadzić dzisiaj jeszcze do mnie prelegenta! To wybitna jednostka! Inteligencja!... ha... ha...! Koniecznie! Zaraz po odczycie!

Po półtoragodzinnej rozmowie sam na sam z prelegentem, Twyford przedstawił profesorowi i Stefanowi nowego i cennego współpracownika w wielkim dziele.

Pan Lon Testlin, tak bowiem brzmiało teraz nazwisko Wiecheckiego, w ciągu paru godzin zdołał kompletnie zawojować Twyforda.

Biedny profesor Warington mimowoli dowiedział się, że szczegółowy plan zamrożenia Europy sporządzili już przed trzydziestu paru laty inżynierowie Ewans i Kraff i że projekt skierowania prądu Labradoru ku brzegom europejskim też nie jest nowy, gdyż kwestja ta swego czasu była szczegółowo omawiana na łamach miesięczników naukowych.

Warington w ostatnim dniu wycieczki zżółkł, jak cytryna, a na nowego kolegę patrzył z szacunkiem i jak gdyby bojaźliwie.

Dostało się też i Twyfordowi.

— Pan mówi, że to niedozór zarządu fabryki, odlewającej najważniejsze części tamy? — pytał niedowierzającym tonem. — Dobrze, ale w jednym z europejskich pism, które reprodukowały cały szereg odbitek z planów, dostrzegłem taki kwiatek: odbitkę, przedstawiającą plastyczny plan tamy od Bahamów aż do brzegów Florydy i dalej. Sądzę, że fabryce taki krajobraz był zupełnie zbyteczny! Ale właściwie ta odbitka zbudziła przedwcześnie czujność Europy... ta jedna odbitka!

Twyford zasepił się.

— Tak. Że też oddając plany do fabryki, nie posegregowaliśmy ich — rzekł jakby z wyrzutem do Waringtona. — Uniknęlibyśmy tego wczesnego alarmu, który jest dla nas, powiem nawet, ryzykowny.

— Sądzę, że nauczeni doświadczeniem, więcej nie popełnimy podobnej pomyłki. Jesteśmy wytłumaczeni do pewnego stopnia brakiem ludzi, na których moglibyśmy polegać. Teraz mu-

si się wszystko zmienić. Poszukam ludzi, dla których praca nad zagładą Europy będzie tem samym, czym jest dla mnie. Mister Testlin — czy chce pan być moim współpracownikiem?

— Tak — odpowiedział krótko Wiechecki.

Twyford ścisnął jego dłoń tak silnie, jak

dłoń Stefa, kiedy to dziękował mu za przywrócenie przytomności ukochanej córce.

Rankiem, kiedy jeszcze rosa błyszczała na trawie zabrał się Podhorski do naprawy rzekomego defektu motoru. W gruncie rzeczy chciał skorzystać z tego, że Twyford i Waring ton, zmęczeni nieomal całonocną rozmową, przesypiali ranek i porozmawiać z Wiecheckim.

Jakże był zdziwiony, gdy idąc na plac sportowy, na którym wylądował, zobaczył Wiecheckiego opartego o kadłub samolotu.

Obserwował go bacznie syn właściciela hotelu, któremu Twyford polecił pilnować maszyny.

— Good morning — wykrzyknął wesoło Podhorski. Stary mrugnął na niego i kącikiem lewego oka wskazał strażującego Amerykanina. Lotnik odprawił ruchem ręki młodego jankesa. Teraz mogli swobodnie porozmawiać.

— Mam pomagać Twyfordowi w jego pracy nad zagładą Europy. Czyż nie jest to wspaniałe? — śmiał się Wiechecki zacierając ręce

— Istotnie, nie spodziewałem się tak szybkiego załatwienia sprawy — mówił Podhorski.

— Trzeba zachować jak najdalej idącą ostrożność. Ja postaram się, abym miał bezpośrednio do czynienia z budową tamy. Mój wynalazek za parę miesięcy będzie już całkiem gotowy do użytku. Powiadam ci, że ani w jednej czwartej nie dorównywa mu żaden z dotychczas znanych materiałów wybuchowych. Mam nadzieję, że kiedy tama poleci do góry a postaram się, żeby wtedy

stał na niej Twyford, to ten zaciekły wróg Europy spadnie z pewnością prosto z nieba na Paryż lub Londyn — śmiał się Wiechecki.

Podhorski zasepił się. Tragedja ostatnich tygodni, przeżytych w ustawicznej trwodze o Jane i o los ich miłości, stanęła mu żywo przed oczyma.

Wiechecki próbował go pocieszyć.

— Nie trap się! Ręczę ci, że wielebnego papusia europożercę wyślemy razem z jego tamą do lali.

Znagła Wiechecki rzucił głośno kilka zdań angielskich. Podhorski, schylony nad motorem, obejrzał się i zobaczył Twyforda i Wartingtona idących spieszonym i energicznym krokiem.

— Musimy się spieszyć, musimy podwoić szybkość — wołał miliardier już z daleka, potrząsając niesioną w rękę gazetą. — W Europie cały szereg dzienników wzywa Ligę Narodów do natychmiastowego obsadzenia zatoki Meksykańskiej i wybrzeży Labradoru.

Podhorski kończył w milczeniu przygotowania. Wsiedli całą czwórką razem z Wiecheckim. Wystartowali lekko, niemal bez wstrząsów.

ROZDZIAŁ XII.

W gabinecie Twyforda, poza spuszczone roletami odbywała się ważna narada. Dokoła szerokiego stołu, z którego podniecony profesor Wartington pozrzucał na ziemię wszystkie papiery, siedzieli prócz wymienionego Twyford, jego sekretarz dr. Simpson i Wiechecki. Radzono nad poważną, sytuacją,

jaka wytworzyła się na skutek odkrycia zbrodniczych planów Ameryki przez Europę.

Codziennie pisma angielskie, francuskie, niemieckie, włoskie, polskie i tyłu, tyłu innych narodów wołały na alarm i wzywały Ligę Narodów do jak najszybszej i jak najskuteczniejszej akcji. Noty dyplomatyczne, wymieniane między Genewą a Waszyngtonem, przelatywały ponad oceanem tam i z powrotem jak mewy strwożone nadchodzącą burzą. We wszystkich stolicach europejskich odbyły się demonstracje przeciwko Stanom Zjednoczonym. W Berlinie i w Paryżu doszło do krwawych starć pomiędzy tłumami a policją i wojskami broniącymi gmachów amerykańskich ambasad. We Włoszech poturbowano cały szereg turystów amerykańskich i rzucono bombę na siedzibę reprezentacji Stanów w Rzymie. Wszędzie poprzez cały kontynent Europy wyciągały się zaciśnięte i żądne zemsty pięści ku gwiazdzistemu sztandarowi. Nawet w Moskwie i Leningradzie, pomimo, że Sowiety nawiązały w ostatnich latach całą sieć bardzo ścisłych stosunków handlowych z Japonją i Ameryką, nawet tam, gdzie nieodzownie potrzebowano kapitału jankesów, odbyły się dość liczne wiece protestacyjne o wcale burzliwym charakterze.

Ameryka milczała.

Ani jedna z gazet amerykańskich nie zamieściła słowa odpowiedzi na ataki pism europejskich. Dziennikarze czekali na to, co każe im pisać potężny Twyford. Żaden z tych pokornych sług trustów i miliardów nie odważyłby się ani na parę własnych zdań wyrażających opinię o byzniesie wszechwładnego Twyforda.

A miliard również nie wypowiedział jeszcze oficjalnie ani słowa. Teraz właśnie zwołał naradę, aby powziąć jakąś decyzję, któraby pozwoliła mu zyskać na czasie i uspić częściowo czujność Europy.

— Kochani przyjaciele — mówił — wiecie już, w jakim celu was tu sprowadziłem. Dzisiejsza narada zadecyduje o tem, czy powiedzie się nasz plan zniszczenia Europy, czy też skończy się fiaskiem. Wypowiadajcie się więc śmiało ale i rozważnie.

Pierwszy zabrał głos profesor Warington. Mówił podniesionym głosem, krzycząc chwilami i miotając się na krześle w podnieceniu. Uważał, że Ameryka jest za silną, by miała tłumaczyć się Europie ze swojego postępowania lub stosować drogi wykrętu, świadczące o słabości. Należy po prostu nie zwracać uwagi na Europę. Jako wyjaśnienie sprawy Golfsztremu wystarczą nic nie mówiące noty dyplomatyczne pomiędzy rządem Stanów a Ligą Narodów. Tymczasem zaś należy we wszystkich fabrykach, kamieniołomach i portach organizować budowę tamy. Trzeba mieć wszystko gotowe, wszystko pod ręką, ażeby samo budowanie trwało jak najkrócej.

Twyford patrzył w mówiącego stalowemi oczyma. Potrząsnął lekko głową na znak, że nie zgadza się z wywodami uczonego

— Nie, kochany profesorze — wymawiał twardo każde słowo. — Europa w tej chwili nie jest tak słabą, abyśmy mogli ją sobie zupełnie lekceważyć. Wypady floty europejskiej ku brzegom Florydy i w zatokę Meksykańską mogą nam udaremnić całą robotę. Potrzebujemy trochę czasu, abyśmy mogli zabezpieczyć wyspy Bahama przed atakiem zjednoczonej floty Starego Świata. Sądzę, że słabość przejawia się właśnie w niemożności opanowania nerwów — zakończył lekką, aluzją, do zniecierpliwienia Waringtona.

Wiechecki siedział ze zwieszoną głową pogrążony całkowicie w rozmyślaniach. Zapytany przez miliardera o zdanie, zaczął mówić spokojnie i dobitnie.

— Profesor Wartington, który jest wielce szanownym gentlemanem i uczonym, nie zdaje sobie sprawy z trudności, jakie mamy pokonać. Strata każdego dnia przez przyspieszenie wojny pomiędzy Europą a Ameryką może na kilkanaście miesięcy, a nawet na lat parę odroczyć budowę tamy. Dlatego stawiam wnioski, aby na razie całą sprawę oficjalnie zbagatelizować i śmiać się głośno z Europy, która tak łatwo dała się nastraszyć zwyczajnym, dziennikarskim bluffem. Samą nazwę „Golfsztrem” należy wyzyskać jako etykietę na towary, aby przez nadanie całej rzeczy charakteru amerykańskiej reklamy zatrzeć w ten sposób jak najwięcej ślady.

— Plan jest istotnie świetny — zdecydował Twyford, uderzając dłonią w stół.

— Jeżeli tak, to nie pozostaje nam nic innego, jak przyjąć go do wiadomości — odparł kwaśno nieco urażony profesor Wartington i obojętnie wsadził ręce w kieszenie.

Rozmawiano jeszcze przez krótką chwilę, Poczem dr. Simpson pochwyił słuchawkę te-95 lefonu i wszystkim agencjom telegraficznym Nowego Świata podyktował krótki, wesoło zredagowany komunikat, który wyśmiewał bojaźń Europy i tłumaczył całą sprawę jako amerykańską reklamę towarów noszących etykietę „Golfsztrem“.

Nazajutrz wszystkie dzienniki natrzęsały się z Europy, którą można nastraszyć jak małe dziecko. Pisma humorystyczne zamieszczały całe mnóstwo karykatur przedstawiających Włochów, Francuzów i Hiszpanów, chodzących po Paryżu, Rzymie czy Madrycie w futrach niedźwiedzich, lisich i futrzanych czapkach i rękawicach. Zwłaszcza „New-Herald“ i „Chicago Tribune“, które wydały kilkudziesięciostronnicowe nadzwyczajne dodatki, wiodły w tem prym i skarbiły sobie łaskę Twyforda. Równocześnie z masą artykułów wierszy, nowel i feljetonów o Golfsztremie ukazały

się w pismach ogłoszenia często całostronicowe, wołające głośno, że buty marki „Golfsztrem“ są bezwzględnie najlepsze, że kapelusze marki „Golfsztrem“ nie mają równych sobie, że naczynia kuchenne opatrzone godłem „Golfsztrem“ dziedziczy się z pokolenia na pokolenie wskutek ich niezrównanej dobroci itd.

Zdawało się, że cała Europa była skompromitowana. Istotnie i tam zaczęto się śmiać z Ligi Narodów, która tak szybko uległa przestרחowi. Śmiano się tak przez kilka miesięcy. Ustała wymiana depesz pomiędzy Genewą a Waszyngtonem. Europa uspokajała się coraz więcej i zamiast broni kuła miliony dowcipów i żartów na temat Golfsztremu i niedoszłej wojny z Ameryką.

Nagle jak grom z jasnego nieba uderzyła w Stary Świat przędziwna i zagadkowa wieść. Oto na Antyllach i na południowej Florydzie wybuchła straszna epidemia żółtej febry. Zaraza miała być wyjątkowo złośliwa i niebezpieczna. Podobno co dnia umierały tysiące i dziesiątki tysięcy ludzi. Amerykańska Riviera obejmująca brzegi Florydy, opustoszała zupełnie. Letnicy uciekali całymi gromadami w głąb Stanów, a szczególnie w Góry Skaliste i na granicę Kanady, w których to miejscach wyrastały hotele i pensjonaty jak grzyby po deszczu.

Tali pisały i tak informowały świat dzienniki amerykańskie.

Rząd Stanów Zjednoczonych postanowił całą część zatoki Meksykańskiej, oblewającą północne wybrzeża Kuby, południowe brzegi Florydy oraz wyspy Bahama wraz z kontynentem Florydy i wysp Bahama odciąć od świata. Dokładnie w dniu 14 lipca, w dniu zburzenia Bastylji telegramy rozniosły po Europie groźną wieść:

„Wczoraj o godzinie 23-ej angielski parowiec pasażerski „Peace“ natrafił na wys. Bahama 75°36 dł. zach. i 23°58* szer. półn. na minę i wyleciał w powietrze. Zawiadomiona o wypadku eskadra angielska, płynąca drogą okrężną z Azorów, wysłała dy-

wizjon trawlerów na poszukiwanie min i wyznaczenie przejścia dla eskadry w kierunku Nord Ost na Haiti. Poszukiwacze min zostały ostrzelane gwałtownie przez krążownik Amerykański „Red Goal“, przyczem jeden z nich zatonął, a drugi doznał poważnej awarii. Statki, ścigane przez krążownik, uciekły na pełne morze poza osłonę bojowych krążowników angielskiej eskadry. Krążownik amerykański, widząc płynące w szyku wojenne okręty skręcił na Nord West i począł oddalać się bardzo szybko. Wczesnym rankiem eskadra angielska, krążąca w zdumieniu dokoła Antyllów, została zaalarmowana radjodepeszą, że krążownik „London“, idący na przdzie, znajduje się w boju. Natychmiast komendant eskadry wydał rozkaz palenia co sił pod kotłami i zwiększenia do maximum szybkości. W przeciągu dwóch godzin cała eskadra nawiązała już kontakt z nieprzyjacielem, którym okazały się pancerniki floty Stanów Zjednoczonych „Mississippi“ i „Detroit“ oraz eskadra lekkich krążowników typu „Red Coal“.

Amerykanie odpowiedzieli milczeniem i salwami pełnych burt na wszystkie sygnały żądające wyjaśnień i przypuszczające nieporozumienie. Wobec tego flota angielska rozpoczęła regu-198 larą bitwę morską, ściągając z dalekiego pływania łodzie podwodne i kontrtorpedowce. Po nieomal dziesięciu godzinach Anglicy odpłynęli na Sud-Ost. Straty angielskie są bardzo znaczne. Zatonął krążownik „London“ o pojemności 23 tys. ton i krążownik „England“ o pojemności 25 tys. ton oraz trzy kontrtorpedowce, dwa trawlerzy i jedna łódź podwodna.

Straty amerykańskie nie są ustalone, mają być jednak znacznie mniejsze, wskutek tego, że Anglicy spotkali się z całkiem niewytłumaczonym atakiem“.

Na ulicach stolic europejskich rozrywano dzienniki. Między Londynem : Genewą a Waszyngtonem poczęły znowu latać ponad

oceanem depesze. W powietrzu wisiała burza... Europa tym razem groźnie pytała Ameryki:

— Co to wszystko znaczy?!

ROZDZIAŁ XIII.

Wiechecki wpadł silnie podniecony do restauracji, gdzie w zacisznym kącie przesiadywali z Podhorskim codziennie, spędzając na rozmowie długie wieczorne godziny.

— Musisz natychmiast uciekać do Europy!

— Co się stało? — pytał Podhorski, chwytając starego za ramię.

— Powiadam ci, że źle jest z tobą i że jeżeli w przeciągu dwudziestu czterech godzin stąd się nie ulotnisz, to czeka cię Sing-Sing. Ja nie mogę ci nic powiedzieć, a jeszcze przeciwnie by ratować sprawę i siebie, muszę cię całkowicie zasypać.

— Jak to? Co to wszystko ma znaczyć?

— Uspokój się. Wszystko ci wytłumaczę i opowiem. Mamy jeszcze dwie do trzech godzin czasu na ostatnią może naszą pogawędkę. Ty przed świtem musisz być już na lotnisku i uciekać stąd samolotem poza granice Stanów Zjednoczonych, lub wprost przez ocean do Europy. Czy twój aparat w porządku?

— Owszem. Właśnie wczoraj dokonałem dokładnych oględzin motoru. Trzeba tylko postarać się o odpowiedni zapas benzyny. Ale to głupstwo.

— Tak — tak musimy się jeszcze dziś pożegnać — mówił Wiechecki zapatrzony przed siebie.

— Na miłość boską — mów pan wreszcie, co się stało — zniecierpliwiał się Podhorski.

— Stało się to, czego dawno się obawiałem. Nieostrożność twoja i lekkomyślność Jane są przyczyną wszystkiego. Wczoraj Twyford natrafił przypadkiem na list Jane do ciebie, w którym to liście była mowa o Podhorskim przebranym za Burlingtona. Zdaje się, że w tej całej sprawie mocno zasłużył się ten sługus Williams, który oczami i uszami zbiera wszelkie spostrzeżenia dla Twyforda.

— Czy Twyford zwrócił się już do policji, aby mnie aresztowała? — pytał Podhorski, paląc papierosa za papierosem.

— Jeszcze nie, ale ja mu zaraz jutro rano o tem przypomnę. Teraz, gdy ty zasypałeś się i obudziłeś czujność i podejrzliwość Twyforda w stosunku do najbliższego otoczenia, ja muszę wszystko robić, abym nie stracił zaufania, jakim mnie ten wielki zbrodniarz darzy dotychczas.

— Tak, ma pan zupełną słuszność — przytaknął tępym głosem lotnik.

— Powiem ci w dodatku jeszcze coś innego. Jeżeli udałoby ci się nawet wykręcić przed Twyfordem i jakoś się z tym Podhorskim załatwić, to znowu natrafisz na Burlingtona, na którym musisz się potknąć. Wiedz bowiem, że jednym z naczelników przy budowie tamy na wyspach Bahama jest niejaki pan Bill Burlington.

Podhorski zerwał się jak oparzony. Cóż to za fatalny zbieg okoliczności. Trzeba mieć doprawdy wyjątkowego pecha!

— Trudno. Tak jest i sytuacji w niczem nie zmienisz. Cała robota spadnie teraz na mnie. Doprawdy, że sam jeszcze nie wiem, w jaki sposób uda mi się podminować tę przekłętą tamę. Chcąc uratować Europę będę musiał i szkodzić jej trochę. Mój materiał wybuchowy nie może pozostać moją wyłączną własnością i tajemnicą, jeżeli mam zyskać sobie całkowite zaufanie Twyforda. Jak ci wiadomo, rozpoczęło się już kotwiczenie min na

północo-wschód od wysp Bahama. Robi się tam obecnie niby ćwiczenia trzech eskadr naszej floty, by móc się potem tłumaczyć, jeśli przed całkowitem założeniem pól minowych jakiś statek zatonął. Ja postaram się, abym miał pod swoim kierownictwem wszystkie prace związane ze stosowaniem materiałów wybuchowych. Tylko w ten sposób będę mógł coś wskórać.

— A więc nie pozostaje mi nic innego jak ucieczka i opuszczenie ukochanej Janc — mówił Podhorski, kryjąc twarz w dłoniach.

— Tak, mój drogi, musisz to zrobić dla dobra sprawy.

Wiechecki przyglądał mu się w milczeniu. Żał mu było szczerze serdecznej męki młodego człowieka. Od czasu wstąpienia na służbę Twyforda Podhorski nie miał ani jednego dnia, by nie był zawieszony pomiędzy surowością obowiązków wobec ludzkości a prawem do własnego szczęścia. Nikt inny nie poświęcił tyle co Stefan, dla sprawy ratowania Europy. W końcu okazuje się, że jeszcze za mało tego poświęcenia. Biedny chłopak ma widocznie przeznaczone, by do dna wychylił czarę goryczy.

Podhorski budził się powoli z zadumy. Twarz jego tężała w męskim, twardym postanowieniu.

— Skorzystam z nieobecności Twyforda i pożegnam się z Jane, a o świcie polecę do Europy — rzekł mocnym głosem, wstając od stołu.

— Czy nie lepiej ci lecieć na granicę Kanady?

— Chcę już jak najprędzej być w Europie. Polecę szlakiem Lindbergha ponad oceanem. Niech pan się nie obawia. Moja maszyna nic zawiedzie mnie. Wielki rajd dla mnie nie nowina.

Opuszczali powoli restaurację, w której prohibicja amerykańska ukazywała już w pełni obłudne oblicze. Już kilkunastu jankesów podnieconych whisky hałasowało i śpiewało ochryłym głosem wesołe i sprośne piosenki. Wiechecki i Podhorski przeci-

snęli się pomiędzy stolikami ku wyjściu i pieszo podążyli w kierunku pałacu Twyforda.

Jane spała już, kiedy usłyszała pukanie do drzwi i głos Stefana wymawiającego jej imię. Z bijącym sercem narzuciła na siebie piżamę i zapaliła światło. Do późnej nocy siedzieli spleceni kurczowym uściskiem żegnających się ramion.

Nad rankiem pałac Twyforda znowu został zaalarmowany trwoźną wieścią, że córka miliardera ciężko zasłabła. Przy łóżku mdlejącej i gorączkującej Jane znowu stanęli najlepsi lekarze.

W tym samym czasie potężny aparat Podhorskiego unosił się już nad wodami Atlantyku, lecąc szlakiem Lindbergha ku brzegom Europy.

ROZDZIAŁ XIV.

Starcie eskadry angielskiej z krążownikami amerykańskimi wywarło w Europie potężne wrażenie. Pomimo to Anglja przez kilka tygodni nie mogła wyraźnie zdecydować się na wojnę. Umyślnie powołano rząd robotniczy, umyślnie w jego ręce złożono władzę, aby jak najszerze masy wzięły na siebie odpowiedzialność za decyzję Wielkiej Brytanji. Nowy rząd angielski przez całe dwa tygodnie dokładał wszelkich starań, by załagodzić konflikt. Dzień w dzień odbywały się tajne narady Ligi Narodów usiłującej pośredniczyć w sporze.

Tymczasem nowa i straszna wieść obiegła Europę. Oto okazało się, że zarówno żółta febra, panująca rzekomo na południowej Florydzie i wyspach Bahama, jak i obrócenie w żart całej sprawy Golfsztremu przez prasę amerykańską są jeszcze jednym potwornym kłamstwem jankesów. Kapitan małego holender-

skiego parowca przywiózł niezbite dowody, że na wyspach Bahama buduje się w gorączkowym tempie zbrodnicza tama. Na polach minowych założonych przez marynarkę amerykańską wyleciały znowu w powietrze trzy parowce, jeden angielski i dwa hiszpańskie, a transatlantycki wielki parowiec niemiecki „Hamburg” został storpedowany przez amerykańską łódź podwodną, kiedy płynąc przez zatokę Meksykańską do kanału Panamskiego przejeżdżał na wysokości Great Inagua.

Wobec tych faktów Liga Narodów nie mogła się już zasłaniać pragnieniem utrzymania pokoju. Wszystkie państwa europejskie stanęły na stanowisku, że wojna jest nieunikniona.

Lew brytyjski pierwszy pokazał pazury. Pierwsza Anglja wypowiedziała wojnę Stanom Zjednoczonym. W ślad za nią poszły Niemcy, Francja, Włochy i Polska, a w końcu reszta państw europejskich.

Wojna rozpoczęła się od działań na morzu. Połączone floty angielska, francuska i niemiecka bombardowały przez kilkadziesiąt godzin Nowy Jork, Boston i szereg mniejszych portów wykorzystując odpłynięcie floty amerykańskiej ku południowi. Bombardowanie przyniosło handlowej flocie Stanów Zjednoczonych bardzo poważne straty w tonażu. Podobno zatoneło kilka okrętów transportowych, wiozących materiał żelazny, cement i t. p. do budowy tamy na Labradorze. Atak floty sprzymierzonych musiał jednak ograniczyć się niemal wszędzie do ostrzeliwania tylko stojących okrętów i urządzeń portowych, ponieważ brzegi zabezpieczone były od strony morza zatorami min i broniły ich całe dziesiątki łodzi podwodnych i kilkaset samolotów.

Atak na wschodnie wybrzeża Stanów Zjednoczonych był jedynie demonstracją wojenną Europy. Cały ciężar sprawy przeniósł się bowiem na zatokę Meksykańską. Chodziło tu o dwie ważne rzeczy. Przedewszystkiem należało przeszkodzić budującej się

tamie i, o ile się da, zniszczyć wszystkie urządzenia przygotowawcze, a następnie obsadzić Antyllę.

Po drugie za wszelką cenę musiała Europa dostać w swoje ręce kanał Panamski, bo wtedy mogła przyjść Stanom Zjednoczonym poważna pomoc ze wschodu.

A wschód zachowywał się dziwnie tajemniczo. Japonja, kraina wschodzącego słońca, milczała i prawdziwie wschodnim uśmiechem do niczego nie zobowiązującej uprzejmości odpowiadała na wszelkie interwencje i interpelacje dyplomatyczne. Wiedzano jednak dobrze, że wyspy Nipponu stoją z bronią u nogi.

Na wszystkich wodach okręty i statki japońskie kręciły się to tu to tam, węsząc podejrzliwie i przyglądając się wszystkim i wszystkiemu. Wszędzie goniły za okrętami europejskimi towarzysząc im jak mewy.

To też komendant eskadry francuskiej lekkich krążowników płynących w kierunku Florydy i teraz nie dziwił się, gdy doniesiono mu, że na horyzoncie widać potężny pancernik japoński typu „Kaga”.

— Jestem bardzo ciekawy, co sobie myślą te żółte djabły — mówił do Podhorskiego, który stał obok niego w blokhauzie.

Stefan znalazł się na krążowniku w tym celu, by za wszelką cenę nawiązać łączność z Wiecheckim. Taki był powód oficjalny jego podróży okrętem wojennym.

Od czasu przybycia do Irlandji po desperackim i niesłychanie ciężkim locie, z którego cudem wyszedł cało, rozbiwszy doszczętnie aparat przy lądowaniu, Podhorski nie miał słowa wiadomości od Jane. I chociaż imię jego było na ustach wszystkich mieszkańców starego lądu, chociaż cała prasa europejska wielbiła jego bohaterstwo, a na jego cześć odbywały się nieustanne bankiety, lotnik nie mógł zapomnieć ukochanej dziewczyny. Spokoju nie dawała mu niewytłumaczona obawa, że Jane grozi jakieś straszne

niebezpieczeństwo. Wyrzucał sobie gorzko, że pomimo wszystko nie pozostał przy niej, chociażby w ukryciu, chociażby w przebraniu.

Teraz więc liczył z gorączkową niecierpliwością dni dzielące go od tak wrogo dlań usposobionej przybranej ojczyzny. Dni? Tak, najbliższe dni muszą przynieść zwycięstwo i możliwość wyładowania na amerykańskiej ziemi!

Nie odpowiadając na słowa admirała, wziął z jego rąk lornetkę i przez dłuższą chwilę przyglądał się wielkiemu okrętowi o olbrzymich basztach strzelniczych i potwornych lufach dział, groźnie zapatrzonych w morze.

— Istotnie jest to jeden z najpotężniejszych pancerników japońskich. Ciekawa rzecz, że jemu tu właśnie polecono obserwację. Przecież wystarczyłyby po prostu kontrtorpedowce lub lekkie krążowniki.

Nie skończył jeszcze mówić, gdy do wiceadmirała przybiegł oficer wachtowy lewej burty i doniósł, że dostrzegł na horyzoncie kominy jakiegoś wielkiego okrętu. Prawdopodobnie jest to jeden z pancerników amerykańskiej floty Pacyfiku poruszany elektrycznością i dlatego właśnie z powodu braku dymów nie dostrzeżony z bocianiego gniazda. Wszystkie lornetki, a potem i peryskopy zwróciły się w kierunku wskazanym przez młodego oficera o żywych czarnych oczach.

Podhorski pierwszy z wszystkich stwierdził, że oficer wachtowy nie pomylił się. Sylwetka okrętu coraz wyraźniej rysowała się w błękitnej dali. Po trzech minutach można już było odróżnić nawet baszty i paszcze dział. Odległość okrętu amerykańskiego od krążownika francuskiego; wynosiła około 20.000 metrów i zmniejszała się z każdą chwilą. Bezdymny pancernik płynął z szybkością prawie 24 węzłów w groźnym i spokojnym milczeniu. Nagle na prawej burcie z jego przodu wykwitł biały blask.

— Idzie strzał próbny — zauważył oficer wachtowy, pilnie szukający przez lornetkę lecącego po niebie pocisku.

Po kilkunastu sekundach w odległości mili morskiej od tyłu krążownika trysnął w górę potężny słup wody.

— Za krótki strzał — mruknął Podhorski. W tej samej chwili na horyzoncie wynurzyły się znowu bezdymne kominy jedne, drugie, i trzecie.

— Mają na tyłach eskadrę pancerników niemieckich, która tam miała iść według rozkazu admiralicji flot sprzymierzonych. Na pewno śpieszno im, by uciec w głąb zatoki Meksykańskiej — mówił Collinet.

— Dziwi mnie tylko, że na żadnym z tych olbrzymów nie widzę ani chmurki dymu. Czyżby tak śpiesznie wycofały się z walki i zerwały kontakt bojowy z Anglikami? — zauważył niski, krępy kapitan artylerji, Dubois.

— To jest naprawdę charakterystyczne. Żadna baszta nie dymi. Chyba przecież eskadra niemiecka nie dała się zwyciężyć. Zresztą miały pójść za nią trzy silne krążowniki włoskie, z którymi wczoraj wymienialiśmy sygnały — mruczał wiceadmirał, obserwując drugi słup wody, który wytrysł już w znacznie bliższej odległości od okrętu niż poprzedni.

Podhorski liczył oczami płynącą w dali flotyllę amerykańską. Cztery pancerniki i sześć kontrtorpedowców. Flotylla francuska, prowadzona przez wiceadmirała Collinet, była stanowczo za słabą, by o własnych siłach mogła mierzyć się z tak potężnym nieprzyjacielem. Tylko w tym wypadku, jeżeli za jankesami płynie silna eskadra niemiecko - włoska, można liczyć na zwycięstwo lub w najgorszym razie odparcie ataku.

Komendant Collinet wydał już rozkazy do boju. Pociski amerykańskie padały w odległości kilkudziesięciu metrów od okrętu.

Już jedna z fontann wody obryzgała pokład i cofających się do blokhauzów oficerów.

Teraz zaczęły grać działa francuskie. Najpierw baszta przednia, potem druga, trzecia i czwarta. Po dziesięciu minutach krążownik francuski bił już pełnymi salwami prawej burty.

Nad pokładem, ponad masztami, pomiędzy rejami i kominem poczęły przelatywać amerykańskie pociski. Po upływie niespełna kwadransa przednia baszta dostała pocisk i skryła się w chmurze czarnego dymu, z którego wydobywały się krzyki i jęki rannych.

Podhorski, zamknięty w stalowym blokhauzie, gryzł palce z poczucia bezsilności. Gdybyż teraz mógł mieć swój aparat i uzbrojony w bomby unosić się w powietrzu ponad amerykańskim pancernikiem.

W tejże samej chwili drugi straszliwy wstrząs targnął okrętem. Drugi pocisk ciężkiej artylerji pancernika trafił w jedną z komór amunicyjnych krążownika. Strasznemu pociskowi nie mógł oprzeć się stosunkowo cienki pancierz pomiędzy dwiema basztami. Okręt począł chłonać wodę i wyraźnie zanurzać się tyłem.

Wiceadmirał wydał rozkaz natychmiastowej zmiany kursu i zwiększenia do maximum szybkości. Nie pozostawało bowiem nic innego do zrobienia, jak natychmiast wycofać śmiertelnie ranny okręt z boju.

Drugi i trzeci z płynących w szyku torowym krążowników eskadry francuskiej, nadbiegały całą siłą pary, by zająć w boju miejsce towarzysza i dozwolić mu uciec przed całkowitem zniszczeniem. Dokoła obu śpieszących z pomocą okrętów tryskały całe wieńce słupów wody. Wszystkie cztery pancerniki amerykańskie skierowały na nie teraz ogień.

Wice-admirał rozpaczliwie wzywał depeszami pomocy. Reszta krążowników jego eskadry donosiła mu, że znajduje się w

walce z kilku krążownikami amerykańskimi lekkiego typu i że za chwil kilka oczekuje skoncentrowanego ataku kontrtorpedowców. Dlatego nie może przyjść Collinetowi z pomocą.

Krążownik, na którym znajdował się Podhorski, już po godzinie stracił kontakt bojowy z nieprzyjacielem. Na gwałt zabierano się do pompowania wody i naprawy najpoważniejszych uszkodzeń. Łodzie ratunkowe przygotowywano do spuszczenia na wodę.

Po dwóch godzinach pojawił się na horyzoncie obserwowany uprzednio pancernik japoński typu „Kaga“. Zauważono zaraz, że bierze kurs wprost na tonący krążownik francuski. Wszyscy przypuszczali zgodnie, że okręt krainy Wschodzącego Słońca spieszy Francuzom z po mocą.

Jakież było zdziwienie załogi francuskiej, która wyległa na pokład, kiedy stalowy kolos azjatycki zmienił na odległość dziesięciu kilometrów od krążownika prosty kurs i zaczął płynąć równolegle do tonącego statku. Jeszcze nikt z patrzących nie ocknął się ze zdumienia, kiedy z japońskiego pancernika buchnął dym i blask. Padł pierwszy strzał. Teraz już nie było żadnej wątpliwości. Zbliżał się w bojowej gotowości żółty i podstępny, prawdziwie azjatycki wróg.

Załoga krążownika zawyła ze wściekłości i oburzenia. Wszyscy rzucili się na swoje stanowiska. Ranni wlekli się po pokładzie ku blokhauzom. Wszyscy wiedzieli, że zbliża się śmierć i że nic już nie uratuje okrętu. Postanowili więc drogo sprzedać życie. W zacieklej pragnieniu zemsty nawet ranni zaciskali okrwawione pięści.

Z japońskiego pancernika gruchnęła salwa pełnej burty. Prawie dziesięć tysięcy kilogramów żelaza spadło na śmiertelnie ranny okręt.

W mgnieniu oka maszty, reje i kominy runęły na pokład. Bocianie gniazdo, rzucone w morze, chybotąło się na jego powierzchni przez kilka sekund jak korek.

Podhorski widział w chmurze pocisków nadchodzącą śmierć. Nie myślał jednak nie tylko o sobie, ale nawet o Jane. Miał wciąż przed oczami tragedję Europy i upiorne widmo jej zamrożenia. Nie omylił się w swoich przekonaniach co do Japonji. Stało się jak przewidywał. Co za szkoda, że pomimo jego zapewnień i niemal zaklinań, dyplomacja europejska zawierzyła uprzejmym uśmiezkom podstępnych azjatów. Zaciśnięte aż do krwi usta Podhorskiego mamroczą:

— Przeklęte żółte djabły.

Trzecia salwa pancernika gruchnęła w rozbity krążownik. Blokhauz, w którym siedział Podhorski, rozleciał się w drzazgi. Podhorski uczuł silne uderzenie w lewe ramię.

— Dostałem odłamkiem — pomyślał całkiem spokojnie. Pochylony, począł posuwać się ku burcie, znacząc pokład kałużą krwi z rozdartej ręki. Tuż przy burcie upadł. Jeden z marynarzy pchnął go i zrzucił do opuszczonej na morze łodzi ratunkowej, która zaraz oddaliła się pośpiesznie.

Krążownik zanurzał się coraz szybciej. Jeszcze jedna salwa pancernika, a w pół minuty po wybuchu kłębiła się i bulgotała woda na miejscu zatopionego okrętu.

W chwilę potem pancernik japoński, dumny z dokonanego dzieła, odpłynął ku brzegom amerykańskim.

A tymczasem na horyzoncie z północnej strony ukazały się szare sylwetki nowej jakiejś floty, która w rozwiniętym szyku bojowym nadpływała pełną parą. To eskadra niemiecka, wzmocniona trzema krążownikami włoskimi, śpieszyła na pomoc flocie francuskiej. Panująca od rana nieprzenikniona mgła sprawiła, że flota niemiecka mimowolnie zesła trochę z wyznaczonego przez

naczelne dowództwo kursu i dopiero odgłosy dalekiej walki umościły jej naprawę błędu.

Ukazanie się tak poważnych posiłków zdetonowało butnych jankesów. Na maszt okrętu admirałskiego pośpiesznie wciągnano flagi sygnalizujące odwrót. Po chwili flota amerykańska parła całą siłą w stronę niedalekiego wybrzeża, by pod osłoną dalekonośnych baterij nadmorskich przemknąć się do zatoki Meksykańskiej. Sprzymierzeńcy, bojąc się dostać w zasięg tych baterij, nie wszczynali pościgu, ograniczając się jedynie do oddania kilku salw za uciekającym szybko wrogiem.

Jeden z krążowników francuskich przyjął na pokład pozostałą przy życiu część załogi zatopionego okrętu, wśród której znajdował się również ciężko ranny Podhorski. Wkrótce cała sprzymierzona flota zawróciła na południo-wschód, biorąc kierunek na Małe Antylle, będące jeszcze pod władzą Wielkiej Brytanji i Francji.

Dwuletnia wojna skończyła się klęską Europy. Ani Liga Narodów, ani żadne z państw europejskich nie przypuszczało, że po stronie Ameryki stanie Japonja, która musiała się maskować aż do ostatniej chwili, kiedy to padły pierwsze strzały z japońskich pancerników. To niespodziewane zjawienie się Japonji na placu boju stało się przyczyną klęski europejskiej zarówno w słynnej bitwie morskiej koło Azorów, jak i w wiekopomnym starciu pod Ascension.

Europa była teraz zdana na łaskę i niełaskę zbrodniczego Twyforda. Prace nad budową tamy na wyspach Bahama i przy brzegach Labradoru postępowały coraz szybciej naprzód. Europa z rezygnacją zwiesiła głowę i patrzyła ponuro w zbliżające się widmo bladej, śnieżnej śmierci.

Nic nie pomogły protesty największych ludzi świata. Nic nie pomogło nawet zorganizowanie opozycji przeciw Twyfordowi w

samych Stanach Zjednoczonych. Żelazny miliardier i nieubłagany wróg Europy umiał sobie poradzić z oponentami. Część ich musiała ująć poza granice Stanów, a inni poszli jęczeć w celach Sing-Singu.

Zdawało się, że nic już nie uratuje Europy

Nagle pewnego majowego popołudnia lunął na bruk miasta europejskich deszcz nadzwyczajnych wydań wszystkich dzienników. Tłuste, ogromne litery krzychały nieomal w szale:

EUROPA URATOWANA!

Z treści nadlatujących co parę minut depesz wynikało niezbitnie, że widmo zamrożenia Europy już należy do przeszłości. Oto w dniu 16 maja wieczorem wyspy Bahama zatrzęśły się od straszliwych wybuchów. Cała, już na przestrzeni czterdziestu pięciu kilometrów wybudowana tama wyleciała w powietrze. Ofiarą wybuchu padł również miliardier Twyford, który zamieszkał w pięknej willi na tamie, aby kierować jej budową. Sprawcą wybuchu ma być Polak Wiechecki, który był przyjacielem i doradcą Twyforda. On to właśnie według przeprowadzonego śledztwa podminował tamę w czasie jej wznoszenia i następnie w chwili, gdy budowa dobiegała końca, spowodował wybuch.

Tak mówiły depesze.

Na ulicach miast europejskich ludzie szaleli z radości. Kiedy wydania wieczorne przyniosły wiadomość o zmianie nastroju w Ameryce na skutek śmierci Twyforda i o zwyciężającym z każdą minutą kierunku przyjaznej dla Europy polityki i kiedy pisma te potwierdziły wieść, że zbawcą Europy jest Polak Wiechecki, stolice Starego Świata oszalały z entuzjazmu dla Polski.

Do białego ranka trwały całonocne radosne manifestacje.

W kilkunastu językach wielbiła Europo im; Polski — imię
zbawicielki Starego świata i Ludzkości

ROZDZIAŁ XV.

Jane gwałtownym podrzutem zbudziła się ze snu.

--- Co to?

Gdzieś wysoko, pod kopułą pogodnego nieba, rozlegał się donośny warkot potężnego motoru.

— Stef!... — przebiegło jej błyskawicznie przez głowę, lecz w tej samej chwili oprzytomniała. Z cichem łkaniem osunęła się na leżak.

Od czasu nagłego odlotu Podhorskiego życie nieszczęśliwej dziewczyny stało się jednym pasmem udręczeń. Przerażona potwornym zamierzeniem ojca nie ustawała w prośbach, aby zaniechał daleko już posuniętej akcji. Na próżno! Twyford rozgorączkowany i niepomny na nic, co nie miało związku z jego szaleńczą ideą, odtrącał córkę brutalnie, a gdy zrozpaczona oświadczyła, że wyrzeka się go, nie chcąc mieć ojca zbrodniarza, uwięził ją po prostu.

W obawie, że Jane popełni jakiś nieoczekiwany wybryk, posunie się do publicznego oświadczenia w prasie, lub czegoś w tym rodzaju, kazał starymu Williamsowi wywieźć ją do jednej ze swoich posiadłości na zupełnym odludziu i tam otoczył tak czujną opieką, że nikt z zewnątrz nie mógł mieć do niej dostępu.

W tej okropnej samotni panna Twyford popadła w ciężką apatię, gorszą od choroby. Dni całe spędzała w leżaku, ustawionym na trawniku w cieniu ogromnej lipy. Nie chciała czytać, nie pomyślała też nawet o zabraniu się do nauki, chociaż ojciec

zaopatrzył ją we wszystkie potrzebne dzieła, nadsyłał nowe książki i wydawnictwa. Nie dostawała tylko gazet, nic zatem nie wiedziała o losach Stefana.

Pewnego dnia chłopiec przywiózł z poczty świeżą paczkę książek. Deszcz lał bez przerwy i o wyjściu na dwór nie było mowy. Po chwili wahania Jane przysunęła do siebie leniwie paczkę i zaczęła rozcinać powoli sznurki. Dwie najnowsze powieści — z zachęcającą obwolutą, głoszącą o rekordowej cyfrze nakładu. Dwa ostatnie numery tygodnika kobiecego, przegląd sportowy.....

Odsunęła pisma i wzięła pierwszą z brzegu powieść. Książka otworzyła się sama. Jane o mało nie krzyknęła. Niektóre słowa widocznie wielokrotnie otwieranej umyślnie w tem miejscu powieści, były lekko podkreślone. Czytała je pośpiesznie po kolei:

„Lotnik... Europa... Bohater... bożyszczce.... wieść... ta... od... jego... stary... nauczyciel... i... przyjaciel... szukaj... zawsze...”

A więc nareszcie! Więc Stef żyje! Stef żyje! Jane zerwała się rozradowana i podniecona, ale zaraz osunęła się na krzesło z powrotem.

Czy on ją znajdzie? Teraz, kiedy okrutny ojciec śpieszy z wprowadzeniem w czyn planu, dla którego zwalczania Stef ją opuścił, czy ona może mieć nadzieję, że do niej powróci?

Apatja zmogła ją na nowo...

I znów pędziła dni pod rygorem bezwzględnie przestrzegany przez starego Williamsa, czuwającego z ostentacyjną podejrzliwością nad każdym jej krokiem. Zadanie jego nie było co prawda trudne, gdyż Jane nie usiłowała bynajmniej wydostać się z pod kontroli, nikt też nie próbował jej odwiedzić, z tej prostej przyczyny, że nikt nie znał miejsca jej wygnania. Jane ożywiała się tylko wtedy, kiedy miała nadejść poczta, ale wkrótce zorjentowała się, że nie powinna zdradzać swej ciekawości, spoglądała

więc na przesyłki z pozorną obojętnością, chociaż serce jej biło, a ręce drżały, gdy brała do rąk nową książkę.

Lecz tajemniczy komunikat nie powtórzył się więcej.

Dlaczego?

Widocznie Wiechecki nie zawsze mógł skorzystać z okazji, a może nie miał dla niej żadnej dobrej nowiny....

Czekała cierpliwie, dopóki nie nadeszła nowa wieść....

Oto w paczce książek znalazła kopertę, a w niej wycinek gazety, podkreślony czerwonym ołówkiem:

„W ostatniej chwili dowiadujemy się, że w bitwie morskiej... został zatopiony przez pancernik japoński... krążownik francuski... na którego pokładzie znajdował się wiceadmirał marynarki francuskiej Collinet oraz słynny lotnik, Podhorski. Załoga krążownika nie posłuchała wezwania do opuszczenia pokładu, wobec czego nikt nie uszedł z życiem“.

Na marginesie widniały skreślane czerwonym ołówkiem słowa:

„Dobrze łotrowi i zdrajcy“.

Pismo było Twyforda....

Minęły dwa lata. Jane odchorowała ciężko śmierć narzeczonego i dopiero teraz zaczęła nareszcie wracać do zdrowia. Był koniec maja. Niestychana wieść o wysadzeniu tamy i śmierci Twyforda nie dotarła jeszcze do zakonspirowanej siedziby wygnanki, która — jak powszechnie sądzono — zginęła wraz z ojcem. Jane całe dni spędzała w ogrodzie na leżaku, dosłownie nie wiedząc nic o bożym święcie, osłabiona i blada, prawie bezustannie pogrążona w półśnie. Lubiła ten stan — nawiedzały ją wówczas nito sny ni marzenia, w których nieodmiennie widywała Stefana. Wierzyła wtedy, że on żyje, że jest przy niej, a gdy się budziła, zawsze wybuchała płaczem.

I teraz płakała gwałtownie, ocierając co chwila powieki i szukając na niebie samolotu, którego warkot absorbował mimo woli jej uwagę. Lecz oczy, oślepienie od łez i słońca, nie dostrzegły nigdzie maszyny, chociaż monotonny odgłos silnika wzmacniał się w ogłuszający huk.

O, teraz widzi! Co to? Zamknął gaz? Będzie lądował? Tak, podchodzi do lądowania, szybując równo i łagodnie.

Jane patrzyła jeszcze, gdy aparat skrył się za drzewami ogrodu. O, musiał już dotknąć ziemi, bo warczy, warczy coraz głośniejszej, coraz bliżej....

I znów cisza. Kto to może być? Czy to do niej?

— Mój Stef już nigdy tak nie przyleci — myśl ta odezwała się w jej sercu bolesnym ukłuciem.

Zasłoniła ręką oczy, ale zaraz podniosła głowę. Ktoś uderzył głośno w furtkę, widoczną stąd w perspektywie szerokiej ścieżki.

Z domu wybiegł chwiejnymi krokami Williams i podążył niezgrabnie ścieżką. Jane widziała, jak uchylił furtkę i zaraz chciał ją zamknąć, lecz drzwi, pchnięte z zewnątrz, otworzyły się tak gwałtownie, że stary kamerdyner upadł na ziemię. Zanim zdążył wstać, na ścieżce ukazało się dwóch mężczyzn w kombinezonach lotniczych. Jeden zatrzymał się przy Williamsie, a drugi rozejrzał się po ogrodzie i ruszył szybko w stronę trawnika pod lipą.

Szedł, zgrabny i wysmukły pomimo ciężkiego ubioru pilota, w ręku niósł zdjęty przed chwilą hełm, bujna czupryna połyskiwała odbłaskami słońca.

Jane zerwała się z leżaka, lecz nie była zdolna postąpić kroku. W mokrych jeszcze od łez oczach pojawiło się niedowierzanie, zdumienie, a potem niewysłowiona radość.

Wyciągnęła rękę...

KONIEC